

D. 1.
TOM CCLXXXIII.

ROK 71.

ZESZYT 849.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

W R Z E S I E Ń.

1911.

TOM III.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO	409
2. NA OBCZYŻNIE,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	441
3. ZE STOSUNKÓW POLSKO-RUSKICH W GALICYI WSCHODNIEJ, przez <i>H. Wiercińskiego</i> i <i>Leona Wasilewskiego</i>	448
4. SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	465
5. WARSZAWSKIE LICEUM KRÓLEWSKIE,—przez <i>Wład. Skupia</i>	489
6. WŚRÓD MOCZARÓW I JEZIOR FLORYDY,—przez <i>Witolda Szyszłę</i>	529
7. DRAMAT MUZYCZNY RYSZARDA STRAUSSA,—przez <i>d-ra Józefa</i> <i>Władysława Reissa</i>	563
8. PIŚMIENICTWO:	
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER: „Gra fal,—przez <i>Henryka Gallego</i>	577
LUBAWSKIJ M. K. prof.: „Oczerk istorii Litowsko-russkawo Gosudar- stwa,—przez <i>Ig. B.</i>	579
MACISZEWSKI MAURCY D-R: „Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej,—przez <i>I. B.</i>	581
OTTONÓWNA: „Z Bożej łaski,—przez <i>A. Drogoszewskiego</i>	583
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
W imię interesów drobnej własności rolnej.—Nowe prawo o koma- sacyi.—Interpretacyjna instrukcyja i jej krytyka.—Kred- yt dla własności drobnej za pośrednictwem Banku włościańskiego.—Projekt kredytu melioracyjnego dla gospodarstw drobnych.—Ziemstwa na Litwie i Rusi.— Epilog sprawy Rapperswylu.—Drożyzna współczesna, jako zagadnienie społeczne	586
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Józef Kościelski i ś. p. Edmund Bogdanowicz,—przez <i>L. W.</i>	602
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	606



Do. II. 1.

KARTKI

z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757 — 1795).

X.

Dalsze nauki miałem pobierać w Lipsku. W tym celu po świętach Bożego Narodzenia 1772 r. (a zatem w 1773) wyprawiono mnie w drogę w towarzystwie Jana Węgierskiego, syna niedawno zmarłego pułkownika. Mieliśmy przejeżdżać przez Warszawę; ojciec dał mi listy do pani hetmanowej i Mokronowskiego i wyruszyliśmy takim furgonem, jaki służy do przewożenia amunicji, był to furgon jeszcze dawnej, saskiej roboty; nie mieliśmy z sobą ani nauczyciela, ani służby, z wyjątkiem młodego chłopca, szlachcica Siekluckiego, który towarzyszył nam konno, a umiał strzelać wybornie. Węgierski miał jeszcze ze sobą starego Warmińczyka, pijacznę wielkiego. Konie braлиśmy pocztowe, wyróciliśmy się raz jeden tylko. Przezorność moja i Siekluckiego uratowały nas od straty naszych tłumoków, które już były odcięte przez jakichś złodziei, będących widocznie w zмовie z pocztalionem.

Nazajutrz po tym wypadku w biały dzień kozacy porwali nam z furgonu dywan. Odczepiliśmy dwa konie, na jednego siadł woźnica, na drugiego Sieklucki i puścili się za nimi w pogoń; kozacy dywan porzucili na ziemię a sami zemknęli. Nieco dalej zatrzymali nas znów kozacy, domagając się paszportów, ale mój mundur dragonów, którego nie zrzucąłem, zaimponował im widocz-

nie, bo dali nam pokój. Szykany, czynione na każdym kroku przez wojska nieprzyjacielskie o 3 mile od Warszawy, wyjaśniły mi, dlaczego Polacy tak bardzo pragnęli pozbyć się ich jak najprędzej. Przy przejściu Wisły znów kozacy. Przybyliśmy nakoniec do pałacu pani krakowskiej (hetmanowej Branickiej), znajdującego się na Podwalu, o kilka kroków od kolumny Zygmunta i zamku. Przedstawieni jej byliśmy nazajutrz rano. Poznaliśmy wówczas cały dwór królewski, jej braci, całą rodzinę, przyjaciółki króla, dawnych znajomych naszych rodziców, moje piękne koleżanki z pensyi pani Souchet i wiele innych. Wszyscy na nas byli bardzo łaskawi.

Było to w kilka tygodni po porwaniu króla; z racyi szczęśliwego uwolnienia balom, fetom, teatrom nie było końca. Mieszkaliśmy w pałacu pani Branickiej, która wszędzie brała nas z sobą i tak trwało to do końca karnawału. Nadeszły nareszcie listy od ojca mego do kasztelana gnieźnieńskiego, stryja mego i do dziadka macierzystego, szambelana Rostworowskiego; trzeba było zakończyć ten uroczy pobyt i puścić się w dalszą drogę.

Z Warszawy do Poznania wybraliśmy drogę krótszą, ale mniej uczęszczaną. Dzięki budowie naszego furgonu i wielkim tłumokom Węgierskiego, który nigdy nie podróżował, a będąc pieszczonym i psutym jedynakiem, żadnej wygody nie chciał się wyrzec, mieliśmy masę rozmaitych wydarzeń. Zanim dojechaliśmy do Howca, wywróciliśmy się trzydzieści dwa razy. Stryja mego, kasztelana gnieźnieńskiego, znaleźliśmy w dobrym zdrowiu; 80-letni staruszek trzymał się równie dzielnie i krzepko, jak przed 10 laty. Śliczne wychowanki wyrosły i wypiękniały. Codzień odbywaliśmy spacer. Uroda i skromność mego towarzysza jednały mu ogólną sympatyę. Co do mnie—podoobałem się dzięki mej żywości i wesołości.

Powodzenie też u owych panienek mieliśmy ogromne, od nas tylko zależało, aby temu przelotnemu podobaniu dać jakieś głębsze podstawy. Ale, pomny na wskazówki mego ojca, nie uczyniłem nic w tym kierunku. Ostatnie trzy dni karnawału spędziliśmy w Poznaniu, dokąd głównie ciągnęła nas reduta czyli bal maskowy. Ponieważ miałem już dosyć dużo znajomych, intrygowałem na zabój wszystkie piękne panie. Pod koniec balu poznano nas, zdemaskowano i było dużo wesołości.

Spotkałem wówczas mego wuja, Ksawerego Rostworowskiego, do którego miałem list polecający od mego ojca. Nazajutrz zostaliśmy wprowadzeni do najpierwszych domów w Poznaniu: kasztelanowej Gurowskiej, starosty konińskiego Mycielskiego, Go-

rzeńskich i innych, wszyscy prawie posiadali w Poznaniu pałace i przyjeżdżali w zimie na karnawał lub kontrakty. Ogólne powodzenie moje wzbudziło zazdrość w pewnym pyszałku, Krzyckim, świeżo przybyłym z Paryża, wystrojonym i eleganckim, który w domu kasztelanowej Gurowskiej, chcąc mnie ośmieszyć, odwrócił w innem znaczeniu zdanie francuskie, które wypowiedziałem. Wówczas z całą grzecznością i zimną krwią, mając za sobą młodych wojskowych i wuja, Ksawerego Rostworowskiego, wezwałem go, ażeby cofnął swój żart, dla mnie niemiły. Krzycki był o tyle rozsądny, że przyznał się do winy w obecności tych młodych osób, przy których chciał mnie poniżyć; pomiędzy nimi znajdowała się i jego siostra, która mi się nadzwyczaj podobała. Zdarzenie to powiększyło jeszcze łaski, które miałem u pań, ale Krzycki stał się mym skrytym nieprzyjacielem. Postąpiłem źle względem niego, gdyż nie trzeba nigdy nikogo upokarzać. Zostając w Poznaniu na redutę i przedłużając tym sposobem mój pobyt, uczyniłem źle, gdyż postąpiłem wbrew woli ojca, który mi nakazywał jechać prosto do Lipska; ten bal był powodem i dalszego opóźnienia, gdyż poznaliśmy na nim niezmiernie miłe panny Chłapowskie, które przybyły do Poznania na karnawał ze wsi; rodzice ich zaprosili nas, abyśmy, jadąc z Poznania, zboczyli do nich do Turwi, cośmy przyrzekli uczynić z wielką skwapliwością.

XI.

Pożegnaliśmy z żalem wszystkich znajomych w Poznaniu i z błogosławieństwem stryja kasztelana udaliśmy się w dalszą drogę. Zatrzymaliśmy się w Gołuchowie, majątku dziadka mego macierzystego, Rostworowskiego. Był on w wieku podeszłym, miał bowiem lat 80, ale oprócz nieco osłabionego słuchu, nic nie znamionowało w nim tak późnej starości. Rzadko zdarzyło mi się w życiu napotkać równie wykształconego i inteligentnego staruszka. Całe życie swoje spędził w Dreźnie na dworze Augusta II i III, a po śmierci ostatniego usunął się na wieś z tytułem szambelana i tajnego radcy. Ożeniony z wdową, nie miał swoich dzieci, ale zajmował się troskliwie wychowaniem ośmioletniego synka z pierwszego małżeństwa tejże wdowy, do której należał piękny majątek, w którym zamieszkiwali. Oprócz tego opiekował się dwoma synowcami, Ksawerym i Andrzejem, których sam również wychował i to na zacnych ludzi w całym tego słowa znacze-

niu. Wdzięczny dotąd jestem memu ojcu, że mnie tam posłał, gdyż zdrowe rady, piękny przykład rozumnej oszczędności, połączonej z zasadami humanitarnymi, wpłynęły bardzo na dalsze moje postępowanie.

Dziadek przyjmował nas bardzo gościnnie, oprowadzał po całym majątku, pokazał mieszkania włościan; zastaliśmy tam wielki porządek i dostatek, włościanie ci swego pana kochali i cenili, jak ojca. Oglądaliśmy wszystkie ulepszenia gospodarskie, osuszone błota, pokopane kanały, pozakładane owocowe ogrody, wysadzone drzewami drogi, porządne zabudowania. Dał nam kilka cennych książek agronomicznych i ekonomicznych, przytem kilka listów rekomendacyjnych do dawnych znajomych w Dreźnie i Lipsku. Nakoniec polecił bratankowi swemu a memu kuzynowi Ksaweremu, aby towarzyszył nam w dalszej drodze przez Głogów, Dreźnie do Lipska, gdzie tenże miał pomódz nam w naszej instalacji.

Ksawery Rostworowski, nie wiele co starszy od nas, był rad następczącej się sposobności odbycia przyjemnej podróży; bardzo starannie wychowany przez swego stryja, do głębokiego wykształcenia łączył zasady religijne i moralne; był przytem miłego charakteru i niesłychanej wesołości. Ciągłe siedzenie na wsi znudziło go już trochę, więc też wdzięczny był nam niezmiernie, żeśmy mu następczyli sposobność do rozrywki.

Wyjechawszy z Gołuchowa, postanowiliśmy dotrzymać danej obietnicy i wstąpić do starego kasztelana międzyrzeckiego, Chłapowskiego. Kasztelan był bardzo bogaty, ale pozbawiony wyższego wykształcenia, oddany był całkowicie zbieraniu grosza i spijananiu starego wina. Zajechaliśmy tedy do Turwi. Stary kasztelan miał syna rozpieszczonego jedynaka, dwie córki oraz wychowanicę, krewną daleką bez matki. Cała ta młodzież, do której przyłączyliśmy się we trzech, utworzyła bardzo wesołą kompanię.

Kasztelan swoim skąpstwem i zabiegliwością zebrał znaczną fortunę, był kawalerem orderów i senatorem; mieszkał atoli bardzo skromnie i całe urządzenie domowe odpowiadało dominującej wadzie jego charakteru. Bijący w oczy był kontrast Turwi z Gołuchowem, który mieliśmy świeżo w pamięci.

W dzień nie używaliśmy żadnych przyjemności; dwa razy dziennie kasztelan zwoływał wszystkich domowników i odmawiano wspólnie dosyć długie pacierze. Po późnym obiedzie, który się odbywał o godzinie siódmej, wypiwszy dużo wina, gospodarz szedł spać, a cała młodzież dopiero wówczas używała swobody. Domowi pragnęli wynagrodzić całodzienne umartwienie swych

gości, otwierano więc śpizarnię i zaczynała się uczta. Po kilku dniach opuściliśmy Turwie, w kompanii, powiększonej przez młodego Chłapowskiego, który się z rozkazu swego ojca do nas przyłączył.

Ksawery Rostworowski nader miłym i użytecznym był mentorem, dzięki swej znajomości kraju i niemieckiego języka, oszczędził nam wszystkich przykrości i formalności celnych. Przy wjeździe do Drezna przysłała mu wesoła myśl pozmieniania naszych nazwisk przy meldowaniu się na rogatkach. Węgierskiego przedstawił jako Kozłum brztum czere-mere Berenkowskiego, ze mnie zrobił Litwina, nazywałem się Szczek-brzdęk Periatetkiewicz, Chłapowski został Włochem Soporiferi-deri-feri sentisomonibus juritapatanii, sam krótko podpisał się de Fink Prusak. Gruby i tłusty Saksończyk nie poznał się na żarcie. Jakież było nasze zdziwienie, gdy siedząc w hotelu przy ogólnym stole z wielu Rosyanami, Kurlandczykami, Liwończykami, którzy, podobnie jak my, udawali się do Lipska, ujrzeliśmy na Thor-zettel wypisane nasze pozmieniane nazwiska, które z powodu swej długości całą stronę zabierały. Jeden z gości, zaintrygowany ich oryginalnością, zwrócił się o wyjaśnienie do hrabiego Szpilerowskiego (Szpilera, syna pocztmistrza z Gdańska, który podawał się za Polaka i jechał także do Lipska). Hr. Szpilerowski wytłómaczył z całą powagą, że nazwiska te, znajome mu zresztą ze słyszenia, należą do najpierwszych rodów w Polsce, że rodacy jego mają zwyczaj przed nazwiskami kłaść nazwę wsi, z których pochodzą i dlatego czasem są takie długie. Czere-mere były to bardzo piękne majątki w sąsiedztwie hrabstwa jego leżące. Co się tyczyło Soporiferego, wątpił azali to mógł być Włoch, przypuszczał raczej, że to musi być jaki Wołoch lub Grek. Zapewnił, że po przyjeździe do Lipska postara się jak najściślej z nami znajomość. Uważaliśmy za stosowne nie kompromitować go i nie zawstydzać jego próżności, ale dla uniknięcia wyjaśnień legitymacyjnych, postanowiliśmy skrócić pobyt w Dreźnie, chociaż prawdopodobnie nie nam wielkiego nie groziło, bo Ksawery Rostworowski był tu osobiście znany, jako kamerjunker dworu saskiego.

Do Lipska wjechaliśmy już pod właściwymi nazwiskami i umieściliśmy się w ucziwym i zamożnym domu kupca Feuera nawprost Alt-Marktu. Listy polecające okazały się wielce pożytecznymi; jeden z nich był do rektora uniwersytetu a zarazem bibliotekarza i redaktora słynnego lipskiego dziennika, pana Bel, drugi do ministra angielskiego, lorda Worth; wszyscy Anglicy a także i Rosyanie, których cesarzowa Katarzyna swoim kosztem

do uniwersytetów zagranicznych wysyłała, byli temuż ministrowi oddani pod kontrolę, on to zdawał raporta co do ich sprawowania i postępów. Inny list polecał nas radcy tajnemu Kaudenbachowi, eks-ministrowi dwóch Augustów i dyplomacie na dworze angielskim, który w swoim czasie wiele usług oddał Stanisławowi Augustowi przed jego wstąpieniem na tron. Mieliliśmy także listy do pana barona Schönfelda, słynnego ekonomisty i do bankiera pana Fregué.

Oto pod jaką dostaliśmy się opiekę. Widać stąd głęboki rozum i wytrawne doświadczenie mego ojca, który zamiast nam dać jednego może nudnego guwernera, dał nam odrazu kilku i to doskonałych: Bela do nauk ogólnych, Kaudenbacha do znajomości światowych, Schönfelda dla umiejętności ekonomicznych, Freguéta do stosunków finansowych. Nad wszystkimi stał zacny i szanowny dziadek Rostworowski, jako główny kierownik mego wychowania. Dzięki jemu i Ksaweremu znaleźliśmy umieszczenia doskonałe. Skorośmy się już w mieszkaniu roztasowali, zaczęliśmy wizyty od barona Freguégo, który był o naszym przybyciu uprzedzony. Osiemdziesięcioletni starzec nie poruszył się z fotela za naszym wejściem, ale z głębi swojego kontuaru zawołał: „Witam was, panowie, znałem waszych rodziców i hetmana Branickiego; macie kaźden u mnie po 220 dukatów rocznie do waszego rozporządzenia; powinno to kaźdemu wystarczyć, jeżeli umiejętnie pokierujecie wydatkami i posłuchacie rad waszych rodziców, które są tu oto przed wami”—i pokazał nam listy naszych ojców. Listy te zapewniały nam zupełną swobodę co do użytku tych pieniędzy; nie wymagano kaźnego z nich rachunku pod warunkiem oczywiście, aby cyfry naznaczonej z góry nie przekraczać.

Zabraliśmy obydwaj z Węgierskim po 50 dukatów kaźdy, podziękowaliśmy bankierowi, obiecaliśmy słucać rozkazów naszych rodziców, a jego rad i napomnień. Tym to rozporządzeniem zawdzięczaliśmy pojęcie o pewnym porządku w wydatkach, o koniecznej rachunkowości, do której wobec szanownego bankiera musieliśmy się stosować i przyjemnie mi pomyśleć, żeśmy położonego w nas zaufania nie nadużyli. Przy pożegnaniu obiecaliśmy wzorować się na pięknym przykładzie, jaki nam przedstawia cały dom bankiera, uczynność i uprzejmość jego komisantów. Pochlebne te słowa, które zresztą z prawdą bynajmniej się nie miały, rozmarszczyły surowe czoło starca. Wezwał czterech swoich pomocników i przedstawił nam ich osobiście: Anglik, Włoch, Hiszpan i Holender byli synami jego korespondentów; odznaczali się wysokimi zdolnościami i wzorowem prowadzeniem. Zalecił

nam towarzystwo swoich uczniów, za których sprawowanie rzeczy, udzielił nam wielu książek specjalnych handlowych, nakoniec otworzył nam drzwi swego domu i zaprosił do używania spaceru w swym prywatnym ogrodzie, jednym z najpiękniejszych w Lipsku.

Trzeci nasz towarzysz, Chłapowski, nie poszedł za naszym przykładem; mając w rękę przekaz na 280 dukatów, odebrał zaraz całą sumę i pobrzękując w kieszeni pieniędzmi jak orzechami, wyszedłszy od bankiera, podżartowywał sobie ze wszystkich danych przez nas staruszkowi obietnic. Ogarnęła go wkrótce istna gorączka wydawania pieniędzy. Węgierski, którego powierzchowność wzbudziła takie zaufanie u kasztelana międzyrzeckiego, że mu opiekę nad synem powierzył, niezmiernie się nim martwił i obydwoj doszliśmy do przekonania, że wizyta w Turwi nie poszła nam na pożytek. Co do nas, powróciwszy do domu, zrobiliśmy plan naszych miesięcznych wydatków odpowiedni do 50-ciu dukatów, spisaliśmy go na papierze i opatrzyliśmy podpisami. Obiad dziennie miał kosztować jeden złoty polski a kolacya $\frac{1}{4}$ złotego.

Te plany i obrachunki przerwane zostały wejściem marszałka dworu Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wojewody nowogrodzkiego, który wyraził nam głębokie zdziwienie swego pana, żeśmy dotychczas zaniedbali złożenia mu naszego szacunku. Odpowiedzieliśmy grzecznie, że skoro tylko zainstalujemy się w Lipsku, nie omieszkamy tego uczynić. Starego wojewodę znaleźmy z Węgierskim od dawna; wielki to był Źziwak; pan ogromnej fortuny, ozdobiony mnóstwem orderów (był nawet kawalerem Złotego Runa), oddał się zupełnie nauce. Zapisał się na członka wielu akademii, otaczał się uczonymi, których zapraszał na wspańnięte obiady, obsypywał podarkami, a ci wzajemnie nie szczędzili mu pochlebstw, które mu zupełnie głowę zawróciły. Ulubionym przedmiotem jego rozmowy była mapa Polski, ułożona jego kosztem przez Włocha Zannuniego, oraz studia nad pochodzeniem narodu polskiego. Wszystko to było w chwili, kiedy trzy ościennie państwa rozrywały na części jego ojczyznę. W życiu prywatnym taki uczony dziwak rzadko jest przyjemnym. W pierwszym swem małżeństwie z wdową, ks. Sapieżyną, nie był podobno szczęśliwym, to też po jej śmierci, wydawszy i wyposażywszy dwie jej córki, postanowił raz jeszcze ożenienia próbować; ułożył sobie, że młoda, uboga, z dobrej rodziny panienska, która wszystko mu będzie zawdzięczała, da mu to szczęście, za którym gonił napróżno. Sposobność ku temu trafiła się wkrótce.

Jan Klemens Branicki, wielki hetman koronny, otrzymał order Złotego Runa. Ks. Jabłonowskiemu przypadło w udziale dołączenie mu tych oznak. W ciągu uroczystości, odbywających się z tej racyi w Białymstoku, ks. Jabłonowski, występujący w stroju granda hiszpańskiego, zauważył w orszaku panien pani hetmanowej młodą i piękną księżniczkę Woroniecką, z którą niejednokrotnie wesołe spędzaliśmy wieczory na dworze białostockim. Stary wojewoda, sprawdziwszy starożytność i genealogię jej rodu, uznał, że znalazł to, czego szukał. Zamiast jednak postąpić, jak każdy porządny człowiek, uciekł się do środków nadzwyczajnych. Wyjeżdżając z Białegostoku, porwał skrycie młode stworzenie, wyjechał następnie z kraju, osiedlił się w Lipsku, kupiwszy piękny dom z tarasem na przedmieściu.

Nie bardzo byliśmy spragnieni widoku i towarzystwa księcia, ale wizyta była konieczną. Przybywszy przed pałac, przeszliśmy wśród dwóch rzędów służby, Polaków, ale w strojach wschodnich; u głównych drzwi marszałek dworu zatrzymał nas, mówiąc, że musimy zaczekać, ponieważ opóźniliśmy nasze przybycie o kilka minut, a jego książęca wysokość, której wszystkie sekundy w ciągu dnia są obliczone i zajęte, prosi, ażebyśmy się zatrzymali w sali cesarskiej.

Wprowadzono nas po schodach do długiego, wąskiego pokoju, gdzie po dwu stronach stały rzędy popiersi cesarzy rzymskich w karykaturze i pomalowanych na niebiesko. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł jezuita w długiej sutannie; poznałem go odrazu, był swego czasu w Białymstoku. Pamiętałem jedną jego dysputę naukową ze stryjem Melchiorem, w której stryj mój dowiódł mu czarno na białem niedorzeczności jego dowodzeń. Jezuita oświadczył nam, że jego wysokość jest gotów udzielić nam audyencji. Dodał przytem, że honor ten jest łaską nadzwyczajną, jedynie dla nas uczynioną; innym bowiem studentom wstęp do pałacu stanowczo jest wzbroniony. Zrozumiałem, o co mu chodzi i odpowiedziałem, że będąc uczniami i wychowañcami ojca Melchiora Starzeńskiego, którego jego pamięci przypomniałem, mam nadzieję, że potrafimy się należycie zachować.

Dopuszczono nas w końcu do samej osoby księcia, który był niezmiernie uprzejmy i mówił nam wiele o swych zajęciach. Udzieliłem mu trochę szczegółów o Jadźwingach, dawnych mieszkańcach Podlasia, ich zamkach, śladach pomiarów, które zostawili; mówiłem o katastrach z 1568 r. i rękopismach mego ojca. Prosiłem go w końcu o udzielenie mi swych rad i protekcyi. Za tę przemowę czekała nas nagroda. W salonie ukazała się jej wyso-

kość księżna pani z książką i zeszytem w rękę. Poznała nas odrazu, ale nie dała tego poznać po sobie; na jej pięknej twarzy odbijały się, jak w zwierciadle, rozmaite wrażenia, wywołane wspomnieniami wesołych chwil jej młodości, spędzonej w Białymstoku, ale nad wszystkim górować musiała powaga, przynależna jej stanowisku obecnemu. Biedna kobieta wyrecytowała przed księciem swoją lekcję z pomocą zeszytu — złożyliśmy powinszowania postępów, jakie uczyniła w naukach i powstawszy, zaczęliśmy się żegnać. Otrzymaliśmy od księcia raz na zawsze zaproszenie na wszystkie posiedzenia literackie, odbywające się raz na tydzień, a zwykle poprzedzone obiadem.¹⁾

XII.

Pora, poprzedzająca topnienie śniegu i ostateczną odwilż, jest najodpowiedniejszą do odbywania pospiesznych podróży; należy tylko wystrzegać się jazdy nocą, to też droga z Lipska zeszła mi prędko i szczęśliwie.

Do domu przybyłem w sam dzień św. Macieja, patrona mego ojca, i to zaledwie na kilka godzin przed przybyciem zaproszonych gości. Spodziewano się mego przyjazdu dopiero po Wielkiej Nocy; przyspieszeniem powrotu sprawiłem wielką uciechę rodzicom, którzy, znalazłszy we mnie wiele zmian na korzyść pod każdym względem, radowali się serdecznie moim widokiem. Stryj jezuita, zamieszkujący na stałe dom nasz, kontent z dobrze załatwionych sprawunków, ucieszył mi się nadzwyczajnie, ja sam rad byłem z siebie, z ludzi, z widzenia wszystkich, których kochałem i dotąd w mej pamięci dzień ten świeci mi, jako jeden z najszczęśliwszych w mem życiu.

Goście wkrótce zjeżdżać się zaczęli. Ojciec mój, posiadający w wysokim stopniu takt, znajomość życia i obcowania z ludźmi, lubił niezmiernie towarzystwo i liczne zjazdy, dbał również o powodzenie u dam, w czem byłem do niego podobny i w dniu tym odebrałem dowody, że jeżeli czuły byłem na wdzięki dam, to i one nie pozostawały dla mnie obojętne. W liczbie gości znajdował się pewien kawaler maltański, bardzo już niemłody, wraz

¹⁾ Por. Antoni J.: Jeden ze szczepów zasłużonego rodu (Jabłonowskich). „Opowiadania,“ serya czwarta, tom I. Warszawa, 1884.

z niedawno poślubioną małżonką. Różnica wieku była między nimi wielka. Kawaler maltański zasiadł wkrótce po obiedzie do faraona, a młodzież, do której żona jego oczywiście należała, rozpoczęła gry towarzyskie. W ciągu zabawy dawano mi lekko do poznania, że odemnie tylko zależało, aby z powodzeniem odegrać rolę Lovelace'a. Panie szykowały toalety na bal... Ograniczyłem się na frazesach. Trudno uwierzyć, a jednak uraza pani kawalerowej maltańskiej stała się przyczyną, że ominęła mnie jedna z lepszych partyi w kraju i przeszkodziła osiedleniu się w Galicyi.

Po wyjeździe gości ojciec zabrał mnie na konferencyę i wtajemniczył w rozliczne swoje kłopoty. Rząd austriacki dopominał się legitymacji szlachectwa. Należało uporządkować genealogię, tytuły własności, które spoczywały w lwowskich archiwach, odszukać a następnie zarejestrować.

Przygodni, włóczący się po kraju, komisarze byli przyczyną ciągłych niepokojów i nieprzyjemności. Zjawiali się nagle po dworach, zabierali dokumenty i kwity, przytem rozpoczynali natychmiast śledztwo i poszukiwanie tytoniu, win zagranicznych, śledzi i piwa angielskiego, które jako w kraju, należącym do do Austrii, uważane były za kontrabandę. Cyrkularze, wezwania płynęły jedne po drugich, pisane w języku niemieckim, niezrozumiałe były dla mego ojca. W całym domu jeden tylko stary służący mógł się jako tako z Niemcami porozumieć, ale stylu biurowego rozwickłać nie był oczywiście w stanie.

Wogóle rząd austriacki występował wrogo przeciw panom i szlachcie, zajmował się gorliwie stosunkiem ich do włościan, oczywiście na korzyść tych ostatnich. W kościołach, gminach, karczmach czytywano im okólniki, wzywające do zrzucenia ciężkiego jarzma i składania skarg i zażaleń bezpośrednio rządowi. Nałożono podatki na karczmy. Ojciec mój usunął w swoich dobrach Żydów od szynkowania, nakazano mu składać rachunki skonsumowanej wódki. Wojskowi ze swej strony obrachowywali konie, ludzi, służbę. Do tylu i tak rozlicznych zajęć liczba dotychczasowa urzędników państwowych okazała się zbyt ograniczoną; jak sobie na to radzono, zobaczymy poniżej.

Niedogodną również i niemiłą rzeczą dla właścicieli było to, że ich prywatni urzędnicy, rządcy i administratorowie, solidaryzowali się z rządem i jego komisarzami. Pod pozorem zwiększonej pracy żądali podwyższenia pensyi, sami zaś umieli posyłać fałszywe rachunki wydatków i prowadzić wesołe życie z wędrownymi „amtmanami.“

Wtajemniczony we wszystkie szczegóły, przystąpiłem niezwłocznie do działania. Zapisałem sobie w notesie sentencję łacińską: „Ne te terreat ullus labor, incipe quiesce, rursus incipe et perfines opus“ i w myśl jej postępowałem. Byłem grzecznym dla grzecznych, ale stawałem się dyabłem wcielonym, jeśli tego zachodziła potrzeba. Otrzymałem od ojca upoważnienie do kierowania kasą i czerpania z niej dowolnie. Zacząłem swą pracę od uporządkowania ksiąg i sprawdzenia rachunków. Przy tej rewizji majątków Olejowa, Markopola i Koniuszkowa wyszło na jaw mnóstwo nadużyć ekonomów, którzy wszystko to, co chowali do kieszeni, kładli na karb chłopów, Żydów i remanentów, a te rosły z roku na rok. Po dwu tygodniach szalonej pracy doprowadziłem do porządku rachunki i wykazałem jasno deficyt: w kasie brakowało 20,000 florenów. Udało mi się odzyskać 14,000 fl. Podobny stan okazał się i w innych majątkach. Sprawców większych nadużyć oddaliłem, mniej winni przejęci zostali strachem i na przyszłość schwycili się innych sposobów a mianowicie ciągnęli zyski przy każdym kupnie i sprzedaży. W gospodarstwie naszym kupowaliśmy jęczmień i owies, sprzedawaliśmy miód i zboże. Wiedziałem już wówczas, że cała tajemnica korzystnego handlu polega na tem, aby kupować towar z pierwszej ręki a sprzedawać ostatniej, t. j. samemu konsumentowi. Owies płaciliśmy w tych latach po 1½ fl. za korzec; jęczmień po 4 fl. Owies odprzedawaliśmy w Brodach po 7 — 8 fl. korzec na jarmarku; jęczmień szedł do browaru.

Wyjątkowe położenie Olejowa w najżyźniejszej okolicy Galicyi, w bliskości Zbaraża, Tarnopola, zwiększone zapotrzebowanie zboża, obfitość pieniędzy w kraju, a w końcu i porządek, jaki zaprowadziłem, stały się przyczyną szybkiego wzrostu fortuny mego ojca. Sam on z osłabionym silnie wzrokiem, choć domyślał się wszystkich nadużyć, nie miał dosyć energii, aby rozstać się ze swym komisarzem, panem Łeckim, który nieuleczalnie chory i niedołączny nie był w stanie podołać wszystkim interesom. Doczekawszy się mego powrotu, chętnie obarczał mnie najróżnorodniejszymi poleceniami, których spisać nie jestem w stanie. Pomijam je zatem milczeniem, pragnę tylko zanotować tu jedno zdarzenie, datujące się z owej epoki, dosyć komiczne i malujące ówczesne położenie.

Pewnego razu chłopci przyszli oznajmić mi, że jakiś jegomość, podający się za komisarza okręgu złoczowskiego, przy objeździe wsi rozkazywał wydawać sobie żywność, pieniądze i konie, upijał się z popami, był przytem upoważniony od rządu, aby

wyrazić olejowskiemu chłopom zdziwienie, że żaden z nich nie podał dotąd skargi na właściciela.

Zasięgnąłem rady mego ojca, który polecił mi czekać cierpliwie jego wyjazdu i skutków owej wizyty. Po upływie czterech tygodni zjawia się sam pan kapitan okręgu złoczowskiego ze swym pomocnikiem i służącym, w którym poznano wizytującego niedawno komisarza. Baron Tannhausen w ciągu pierwszego dnia okazał się bardzo uprzejmym. Nie zadawałajac się samą rozmową, zaproponował grę w karty. Matka moja przyjęła propozycję i rozpoczęto partyę lombra z dość wysoką stawką. Stałem sobie na uboczu i po krótkiej chwili zauważyłem, że pan kapitan okręgu złoczowskiego oszukiwał nieznacznie, porozumiewając się ze swym sekretarzem i znacząc matadory. Miałem się jednak tyle na ostrożności, że nie wybuchnąłem odrazu. Matka przegrała kilkaset punktów.

Nazajutrz kapitan wręczył mi rozkaz wezwania chłopów z czterestu wiosek, mających wystąpić, jako świadkowie w procesie, obejmującym skargi przeciw mojemu ojcu wytoczone. Zakomunikowałem plenipotencję ojca na moje imię wydaną i zażądałem wykazu owych zażaleń... Mieściły się one na czterestu kartkach i z małymi wyjątkami wszystkie były do siebie podobne, zredagowane ręką pana lokaja-emisaryusza. Wkrótce rozpoczęliśmy rozprawy. Z mojej strony oponowałem przeciw gromadnemu zwołaniu chłopów z oddalonych o 3 mile wiosek, dowodząc, że łatwiej będzie panu kapitanowi odbyć ten objazd, aniżeli pięciuset ludziom odrywać się od swojej roboty. Zresztą podług rozkazów, nadeszłych z okręgu, około stu chłopów było zajętych transportem żywności dla wojska, oprócz tego czterdziestu ludzi wezwano do budowania stajni kawaleryjskich. Zwróciłem w końcu jego uwagę, że służący uczynił już zadość jego żądaniom, wszystkie bowiem kartki zapełnione już zostały podpisami chłopów. Pan kapitan zmarszczył brew i odłożył sprawę do dnia następnego. Dało mi to czas na sprowadzenie po dwu gospodarzy najuczciwszych i najznaczniejszych z każdej wsi. Oświadczyli oni, że przymuszeni przez rząd do przewożenia żywności dla wojska rosyjskiego utracili połowę swych koni na Multanach, ale że ojciec mój stratę wynagrodził, wypłacając 1,400 florenów, tudzież ofiarując kilka koni i około 200 sztuk wołów. Uskarżali się w dalszym ciągu na drożyznę soli, zakaz plantowania tytoniu, zwykany urzędników i obowiązek dostarczania armii wozów i robotników. Zaświadczyli, że ojciec mój, chociaż dożyłotni tylko właściciel Olejowa, nie przekroczył nigdy taksy czynszowej, wy-

znaczonej przez ks. Radziwiłła w r. 1747. Wogóle nie pragnęli oni nic więcej nad to, aby jaknajdłużej zachować tak dobrego pana, który się zawsze z nimi po ojcowsku obchodził. Choć zeznania te nie szły w smak panu kapitanowi, zmusiłem go do umieszczenia ich w swoich aktach, co uczynił, aczkolwiek niechętnie.

Inne paragrafy rozporządzeń kapitana dotyczyły przepisów policyjnych. Wszystkie osoby bez stałego miejsca zamieszkania, włóczęgów, którzy objeżdżali wsie, burzyli ludność, podszywali się pod rządowe godności, polecano wydawać w ręce władzy. Po przeczytaniu tego artykułu zapytałem włościan, czy podobny wypadek nie zaszedł w ich gminach. W odpowiedzi pobiegli do kuchni i przyciągnęli za uszy służącego kapitana.

Wkrótce zaproszono nas do stołu. W czasie obiadu wszedł do sali stary służący, który tylko co wrócił z dalekiej podróży. Dano mu posiłek i wina. Po chwili, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, staruszek, który miał wzrok osłabiony, poczyną oczy przecierać, robić jakieś miny, widzimy, że mu się zbiera na płacz. Nie pojmujemy, o co chodzi. Zdziwienie nasze wzrosło jeszcze, gdyśmy zobaczyli, jak staruszek rzuca się panu baronowi Tannhausen na szyję i woła: „Ach, lieber Karl, ist es möglich!“ Pan kapitan czerwony, jak piwonja, wściekły z gniewu, zrywa się od stołu i ucieka. Pokazało się, że ów „Karl,“ zbieg austriacki, żołnierz saski, został służącym u pana Renarda, przebywał w Białymstoku i tam zaprzyjaźnił się ze służącym mego ojca. Z Białegostoku udał się do Wiednia. Zajęcie Galicyi przez Austryaków i potrzeba zwiększenia liczby urzędników sprawiły, że werbowano ich mniej lub więcej szczęśliwie, nie badając pochodzenia. W ten sposób pan Karl został kapitanem okręgu złoczowskiego. Ojciec mój i stryj jezuita zakłopotani całym tym epizodem wysłali mnie do kapitana w celu ułagodzenia i uspokojenia wzburzonego jego umysłu. Zostałem go w wielkim niepokoju i rozdrażnieniu, pragnął gorąco, aby echo tego zdarzenia nie przedostało się poza mury naszego domu. Obiecałem mu solennie, że niedyskretnego lokaja zamknijemy pod klucz, a tajemnicę zachowamy. Pan baron złagodził odrazu. Stryj Jezuita do reszty go rozbroił, cytując ustępy z Pisma św., dowodzące, że zasługą jest dobijanie się celu pracą własną etc.

Cały proces odrazu uciszono. Kapitan w mojej obecności spisał raport prawdziwy i w pochlebnem świetle wystawiający stosunek włościan do mego ojca. Podczas, gdy wszędzie w okolicy chłopci rozgoryczeni na swych panów i podburzani przez rząd

rzucali robotę i zostawiali pola odłogiem, w Olejowie wszystko szło, jak w zegarku. Ceny zboża natomiast się podnosiły, dochody płynęły do kasy obficie. Ludność wiosek wzrastała, powiększona przez przybyłych ludzi z innych włości. W przekonaniu, że cały dobrobyt i umiejętne gospodarowanie opiera się na dobrych stosunkach z ludem, począłem od zyskania sobie ich zaufania. Ojciec mój, widząc dobre skutki mego systemu i zdolności moje administracyjne, powierzył mi zarząd wszystkich swoich majątków.

XIII.

Włościanie, należący do starostwa brańskiego, podburzeni przez pewnego mieszczanina, wytoczyli hetmanowi Branickiemu proces. Dopominali się mianowicie o powrót do dawnych przywilejów, potwierdzonych przez króla przy wstąpieniu na tron, o zrobienie nowych pomiarów, stwierdzających ilość i jakość ich działek; nakoniec domagali się zniesienia wszelkich powinności, przeciwnych tymże przywilejom.

Dla załatwiania podobnych spraw istniał w Warszawie i na Litwie osobny Trybunał, t. zw. Referendaryja, której wyroki były decydujące, nie znosiły apelacji, urządzenie bardzo mądre w teorii, ale będące powodem wielu nadużyć w praktyce.

Zbadawszy całą sprawę, dowiodłem sądowi, że przedewszystkiem nowy pomiar jest zbyt precyzyjny, istniały bowiem plany z r. 1562, chodziło tylko o sprawdzenie, gdzie i o ile granice zostały naruszone. Według tych pomiarów 500 morgów ziemi przypadało na 600 chłopów, stąd widać, że dodawszy im około 100 morgów na trzech folwarkach, dochodziło się do cyfry okrągłej i włościanie bynajmniej pokrzywdzeni nie byli. Kwestya przywilejów i powinności była dla mnie bardzo zawikłaną. Jeden znalazłem na nią sposób wyjścia. Wszystkie sąsiednie starostwa posiadały podobne prawa i odpowiedni stosunek przestrzeni, należało więc odnowić podług ich wzoru dawne prawa chłopów, istniejące od czasów Zygmunta Augusta, lub też utworzyć nowy kodeks odpowiedni do cen produktów i wartości pieniędzy. Prawo dozwalało obu stronom zabierać głos w tej sprawie. Mówka, którą wygłosiłem przy tej okoliczności, zyskała ogólny poklask i przechyliła opinię sędziów na moją stronę. Proces był wygrany, a przynajmniej zyskaliśmy na czasie. Zato wiele pokątnych oso-

bistości, a mianowicie adwokatów, którzy potajemnie burzyli chłopów i przeciągali umyślnie bez końca procesy, zachowało urazę i niechęć do mnie.

W Warszawie przebyłem całe dwa lata i pobyt ten liczę do niezmiernie miłych wspomnień młodości. Kanclerz Młodziejowski umieścił mnie w innym Trybunale, t. zw. Asesoryi, w której król za pośrednictwem kanclerza przydywał i sądził w ostatniej instancji wszystkie procesy, odnoszące się do przywilejów miast i praw królewskich. Jako „asesor“ wszedłem w nowe stosunki i zyskałem nowe pole do obserwacji. Pani hetmanowa Branicka ofiarowała mi w swoim pałacu mieszkanie. Ranki od 9 do 2 zabierały mi posiedzenia, następnie obiadałem u kanclerza, u pani Branickiej lub u którego z kolegów.

Andrzej Mokronowski w czasie tego okresu mego życia otoczył mnie serdeczną i życzliwą opieką i darzył przyjaźnią, której zresztą dowodów nie szczędził mi aż do śmierci. Czytywałem mu głośno, prowadziłem jego korespondencję, a że z natury byłem ostrożny i dyskretny, to zapewne jednało mi jego zaufanie. Za niską cenę ustąpił mi dwa doskonałe ruskie konie i powozik, przytem swoje konie wierzchowe oddał do mojej dyspozycji. Po obiedzie odbywałem zwykle przejażdżkę. Wieczory u pani krakowskiej, na które często król przychodził ze swą świtą, były niezmiernie ciekawe. Życie światowe nie miało jednak wielkiego dla mnie uroku, nie lubiłem tańczyć i nie pragnąłem bynajmniej uchwycić tonu i manier złotej młodzieży. Na to trzeba było urodzić się komedyantem, deklamować tyrady, być zarozumiałcem, graczem, Lowelasem. Nie pogardzałem kobietami, ale często rumieniłem się za nie, bo też trudno zaiste o większe rozprężenie obyczajów, jak to, które panowało podówczas w Warszawie. Ponieważ nie chodzi mi o skandaliczną kronikę Warszawy, ograniczę się na ogólnej wzmiance, iż przekładając towarzystwo zacnych kobiet nad zabawę z mniej enotliwymi, oraz unikając towarzystwa młodych ludzi mego wieku, z tej epoki życia nie wyniosłem ani wyrzutów sumienia, ani rozczarowania.

Panowała wówczas w Warszawie smutna moda, polegająca na wyrobieniu sobie opinii wielkiej odwagi i śmiałości kosztem słabszych fizycznie i moralnie. W tym celu wywoływano lub udawano co chwila pojedynki. Co do mnie nigdy napastującym ani świadkiem nie byłem, ale nie mogłem się powstrzymać, aby nie poskromić pewnego razu zbytnej zarozumiałości dwu panów w rodzaju pana Krzyckiego. Pojedynku nie przyjęli, od tej pory zostawiono mnie w spokoju.

XIV.

W r. 1778 w końcu czerwca rodzice moi przybyli do Strabli. Leży ona tylko o 21 mil od Warszawy, to też w ciągu dwu lat pobytu w Warszawie niejednokrotnie jeździłem na wieś i party energią młodości przeprowadzałem tam różne amelioracye. Między innymi zebrałem kilkadziesiąt wyrostków wiejskich i rozpocząłem regulacyę łąk, leżących poza ogrodem. Myśl ta przypadła ojcu do smaku. Obejrzawszy zaczęta robotę, sprowadził 40 robotników rosyjskich i ukończyć ją rozkazał. Wezwano mnie z Warszawy. Przyjechałem natychmiast bryczką, zaprzężoną w dwa konie ruskie, które służyły 2 lata na bruku warszawskim. Zabrałem ze sobą staruszkę stangretę i dwu służących. Nie był to powrót syna marnotrawnego. Ojciec przyjął mnie z otwartymi ramionami, matka pamiętała posłuszeństwo jej rozkazom. Ojciec uradowany, że wrócił do swych stron rodzinnych, zdawał się oddychać swobodniej i raźniej po austryackiej niewoli. Odmłodniał, jeździł konno, budował szopę dla psów i przyborów myśliwskich.

Pani hetmanowa Branicka odbywała w tym czasie przegląd swoich dóbr i przybyła do Stołowacza, aby skonstatować rezultaty ulepszanego, pruskim systemem prowadzonego gospodarstwa. Dowiedziawszy się, że ojciec bawi w Strabli, wezwała natychmiast jego i mnie, abyśmy towarzyszyli w objeździe i całym przeglądzie. Książd Orłowski, pijar, ten sam, który należał do rady, zebranej po śmierci hetmana, towarzyszył jej stale, trzymając w ręku kopię instrukcyi, którą zredagował i ułożył. Gruby, opasły Prusak, zarekomendowany mu nie wiadomo przez kogo, prowadził całe gospodarstwo, w dniu tym upił się trochę, aby sobie dodać odwagi. Rzeczywiście, miał się czego obawiać, gdyż grunta były zaniedbane a dwie stodoły spłonęły od pioruna. Prusak wymyślił na to sposób, a mianowicie wybudował na miejsce spalonych zabudowań 3 stodoły o 2,000 kroków jedną od drugiej, gdy spytano go o przyczynę tego rozporządzenia, odpowiedział: „Na spalenie krestencyi trzeba, żeby przysłano z nieba trzy pioruny zamiast jednego.“ Ten żart oburzył zakonnika, który szukał tylko sposobności, aby dokuczyć Prusakowi. Bydło nadechodziło, było piękne i dobrze żywione, dzięki obfitym pastwiskom. Książd Orłowski zwrócił jednak uwagę, że nie było dosyć czysto utrzymane. Istotnie, zabłocone i zakurzone było ogromnie. Zapytał więc, czy bywa myte i skrobane podług instrukcyi. „Panie książd—odrzekł Prusak—w Żoliborzu macie 6 burów a 20 księży.

Ja mam sto dwadzieścia krów i dwu tylko pastuchów. Krów nigdy nie skrobałem.“ Sprzeczka stawała się coraz ostrzejsza. Ojciec dał mi znak, abym odciągnął Prusaka na stronę, a sam namówił panią hetmanową, aby poszła obejrzyć ogrody istotnie upiększone przez ogrodnika Richtera. Na odjeźdźnym zaprosiliśmy p. Mokronowskiego do Strabli na polowanie, które powiodło się wybornie. Pan Mokronowski wziął chartami dwa lisy i sarnę. Po dwu dniach udaliśmy się znów do Stołowacza. Tam stale dotrzymywał towarzystwa pani hetmanowej ksiądz, który zanudzał ją na śmierć, wtrącając się we wszystkie interesa i robiąc co chwila awantury.

Mokronowski był tem tak zniecierpliwiony, że wymyślił sposób na pozbycie się go, choćby na czas polowania. Po obiedzie dano znać, że niedźwiedź wypadł z lasu i zduśli kilka sztuk bydła, poczem skrył się w małym lasku nawprost pałacu. Ten niedźwiedź był to mój foryś ubrany w skórę i mający odegrać jego rolę. Pani Branicka była uprzedzona o wszystkim i zgodziła się pod warunkiem, aby księdzu żadnej szkody nie zrobiono. Poleciałem konno en carriere po forysia o dwie mile drogi, zaszliśmy go w skóry i zdążyłem wrócić na czas. Przy obiedzie złożono raport. Przygotowania do polowania zrobiono jak najspieszniej, służbie zabroniono strzelać, a ks. Orłowskiemu wyjęto naboje pod sekretem. Otwartym powozem udaliśmy się do lasu, tam uradzono wysiąść, aby konie nie przelekły się niedźwiedzia i choć ks. Orłowski oponował, gdyż czuł się bezpieczniejszym w powozie, konie odesłano, a my wysiedliśmy wszyscy i ustawiliśmy się w koło. Ksiądz Orłowski na ścieżce od lasu, pani Branicka we drzwiach kuźni. Puszczone psy. Niedźwiedź, bojąc się o własną skórę, pędził prosto na księdza, który rzucił fuzję, zakasał sutannę i zmykał, krzycząc: „Ratujcie panią hrabinę! ratujcie panią hrabinę!“ Pomimo szybkiej ucieczki, niedźwiedź zdążył go dogonić. Ksiądz upadł na trawę, niedźwiedź usiadł na nim i czekał moich rozkazów, że jednak psy nadbiegały, zawrócił do lasu i tam go złapano.

Nie wiem czy ksiądz poznał się na żarcie, ale udał chorego i nazajutrz wyjechał do Warszawy.

XV.

Gospodarstwo Austryaków, jakkolwiek niemiłe dla Galicyi, miało jednak swoje dobre strony, a mianowicie ułatwiało kupno

ziemi i przyczyniało się do wzbogacenia obywateli. Stało się to sposobem następującym. Cesarzowa Marya Teresa zagwarantowała była aktem podziału Polski prawo własności obywatelom, a starostom używalność dożywotnią dochodów. Wszystkie starostwa płaciły czwartą część dochodów wedle taryfy z r. 1768. Ta czwarta część czyli 25% stanowiła w rzeczywiście 7%. Syn i następca Maryi Teresy posiadał szerokie i ambitne plany, których wypełnienie pociągało za sobą znaczne wydatki. Aby wzbogacić skarb, postanowił za jakąkolwiek cenę spieniężyć wszystkie starostwa i dobra koronne w Galicyi, które przynosiły niezmiernie mały dochód. To też warunki kupna tych majątków postawił tak łatwe, że panowie szlachta rzucili się skwapliwie do zawierania umów z rządem. I tak: Wartość ziemi obliczono podług taryfy z r. 1765. Następnie wzywano starostów, aby dożywotnie prawa do dochodów zamieniali na prawa własności, przyczem połowę należności mieli płacić ratami w ciągu lat pięciu z 5%, drugą połowę płacili ich spadkobiercy. Co się tyczy stempla, opłacano pewien nieznaczny t. zw. kaufszelling przy zawieraniu umowy. Z podatków starostowie płacili 12%, reszta przypadła na chłopów. O osiem mil od Olejowa leżała Mogilnica, gdzie starostą był niejaki Skrzetuski. Był to wielki utracyusz, który życie całe spędzał w Warszawie, żył w przyjaźni z wojewodą ruskim, który niejednokrotnie płacił jego długi, a pomimo tego lubił go i cenił. Skrzetuski, jak i inni, zawarł umowę z rządem i zapłacił dwie raty. Skoro jednak nadszedł termin trzeciej, pan Skrzetuski nie miał pieniędzy i groziła mu egzekucya sądowa lub unieważnienie dwóch pierwszych rat. Przybył zatem do Olejowa z prośbą o pożyczzenie pieniędzy. Poczuliśmy się zastanawiać nad tym interesem z ojcem i doszliśmy do przekonania, że Skrzetuski, mając do płacenia 3 raty, t. j. $\frac{3}{10}$ wartości majątku, przy 150,000 dawnych długów, w żaden sposób nie potrafi utrzymać się przy majątku. W ciągu jego wizyty w Olejowie, udałem się do Mogilnicy, obejrzałem majątki i powróciwszy zdałem ojcu sekretny raport. Wyłożyliśmy wówczas panu Skrzetuskiemu jasno cały stan jego interesów i zamiast pożyczki zaproponowaliśmy kupno starostwa za cenę 450,000 fl., t. j. o 130,000 fl. wyżej nad cenę oznaczoną przez rząd. Skrzetuski przekonany zgodził się chętnie na ten projekt. Po spłaceniu długów pozostawało mu około 10,000 fl. na czysto. W czasie kontraktów lwowskich otrzymałem zezwolenie rządu, aby wejść w prawa Skrzetuskiego, a 15 marca 1781 przeprowadziłem ostateczne rachunki z włościanami. W majątkach tych ojciec ustanowił ekonomię, która do rąk oddawała mu 60,000 fl. rocznie.

XVI.

Przy nadchodzącej jesieni szykowałem właśnie wszystko do mających się odbyć polowań, gdy odebrałem od ojca sztafetę, aby udać się natychmiast do Nieświeża, oddalonego o 60 mil od Strabli, a to w następującej sprawie. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, posiadał znaczne dobra w Galicyi. Zmuszony do emigrowania za udział w konfederacyi barskiej, przebywał długi czas zagranicą, a na litewskie dobra nałożono sekwestr. Po kilku latach dozwolono księciu wojewodzie powrócić do kraju, sekwestr zdjęto, ale dochodów zaległych nie zwrócono. Przez ciąg emigracyi książę Radziwiłł, spokrewniony z domami panującymi, odbywał podróż po dworach europejskich, plenipotencyę zaś co do spraw majątkowych w Galicyi oddał niejakiemu Józefowiczowi, eks-Żydowi, który tej plenipotencyi w pełni używał, pożyczając na wszystkie strony na wysokie procenta i sprzedając majątki Radziwiłłowskie niepodzielone. W ciągu lata przybył do Olejowa z propozycją sprzedaży Olejowa i Sasowa, które ojciec mój trzymał tytułem zastawu. „Niech mnie Bóg strzeże—odparł mój ojciec—abym korzystał z nieobecności księcia, mego dobroczyńcy i szukał zysku jego kosztem. Gotów jestem nawet wyrzec się na jego korzyść prawa dożywiania na Olejowie. Nie chcę być jednym z tych, którzy go obdzierają z jego majątków. Zróbmy raczej likwidacyę sum, które mi jesteście winni. Spiszmy umowę, w której panowie zobowiążecie się wypłacić w rocznym terminie całą moją sumę, a następnie sprzedacie majątki, komu będziecie chcieli.“ To zobowiązanie Józefowicz podpisał. Ojciec mój do sumy zastawnej dołożył 40,000 fl. Józefowicz zrobił dobry interes dla księcia, ale sam nie odniósł żadnej korzyści, a że przy każdym interesie zwykł był jakiś procencik dla siebie odciągać, nie odpowiadało to jego wyrachowaniom, przytem odpowiedź ojca była niejako krytyką jego postępowania, stąd niechęć i żal. Mając pod swym wpływem wszystkie biura we Lwowie, począł robić szykany co do leśnego gospodarstwa w Sasowie i zagajników w Olejowie, jako własności książęcej. W terminie zaś umówionej sumy nie wypłacił.

Otóż według listu ojca miałem z ową umową udać się do Nieświeża i osobiście prosić o zakończenie sprawy. Puściłem się w drogę natychmiast, było to w połowie września.

O dziesięć mil przed Nieświeżem napotkałem armię nadworną księcia, złożoną z 2,000 ludzi piechoty i strzelców, oprócz tego

600 szlachty konno, kilka wozów z sieciami, zaprzężonych każdy w sześć wspaniałych mułów z dzwonekami, dalej szła smycz z 200 gończych i mnóstwo chartów. W oberży na drodze przygotowano obiad na ośm nakryć dla samego księcia Radziwiłła. Sekretarz książęcy oznajmił mi, że książę ma przybyć w kwadrans, a znając mnie i ojca zawczasu nalegał, aby zboczyć z drogi i wziąć udział w polowaniu na wilki. Książę, który wkrótce przybył, przyjął mnie bardzo łaskawie i zaprosił, bym należał do polowania, następnie razem z nim powrócił do Nieświeża, gdzie obiecał przejrzeć całą sprawę. Polowanie udało się, zabiliśmy 10 wilków. Wieczorem był bal, na którym ujrzałem wiele pięknych Litwinek, na drugi dzień obławę powtórzono. Trzeciego dnia dopiero udaliśmy się do Nieświeża, gdzie przebyłem trzy tygodnie. Książę był nad wyraz gościnnie, pokazywał swój pałac, zbrojownię, konie, z których cztery kupił był niedawno u mego ojca.

Codzień przybywały listy od różnych plenipotentów i innych osób z rozmaitemi propozycjami. Gdy odczytywałem je księciu, ten przyjmował je ze spokojem i mawiał: „Wszyscy ci panowie wystawiają sobie, że mnie oszukują: ja udaję głupiego, aby się ich prędzej pozbyć. Jestem stary, bezdzietny, a majątek mój wystarczy dla mojego brata Hieronima. Na co mam łamać sobie głowę nad interesami, których nie będę miał czasu ukończyć. Wiem, że hrabia Starzeński jest człowiekiem uczciwym, a Józefowicz zwykłym oszustem, ale jeżeli na jego miejsce wezmę innego, będzie robił to samo.“ Oto była cała rezolucya księcia; dał mi tylko list do Józefowicza, w którym zalecał mu, aby przestał dręczyć mego ojca. Wysłałem ten list i własny opis bytności w Nieświeżu sztafetą do Olejowa, a sam zatrzymałem się jeszcze na dni kilka na wspaniałe uroczystości, które książę Radziwiłł szykował dla ks. Michała Ogińskiego, wiel. het. litewskiego i swoich braterstwa, Hieronimostwa Radziwiłłów.

Jeżeli podróż moja do Nieświeża nie rozstrzygnęła ostatecznie sprawy ojca, to z drugiej strony była mi bardzo użyteczną dla moich wiadomości statystycznych i osobistych obserwacji.

Ks. Karol Radziwiłł pod powłoką dziwactwa był mądrym i przebiegłym; jego podróże po dworach europejskich, odbywane niby tylko dla przyjemności, sprawiły, że za interwencją Prus i Bawaryi zdjęto mu sekwestr z jego dóbr. Podobnież za powrotem z Warszawy udawał naumyślnie dziwaka, opowiadał niestworzone rzeczy o swoich podróżach po Europie, o czynach walecznych na ziemi i morzu, a wszystko robił dla uspokojenia otacza-

jących go szpiegów rosyjskich. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem go, jak wystąpił w czasie zapowiadanych uroczystości. Posiadał on pewną liczbę gotowego, świetnie uorganizowanego wojska, prócz tego ludność wiejską wolną od powinności gruntowej, ale spisaną porządnie i z tej mógł w każdej chwili $\frac{1}{3}$ powołać do broni. Armaty, amunicyje doskonale zaopatrzone, strzelcy i straż leśna w poczwórnym komplecie, byli to wszystko żołnierze świetnie wyćwiczeni. Przytem za sobą czuł całą prawie szlachtę z Litwy i Polesia, gotową porwać się do broni na jedno jego skinienie. Śmiało rzec mogę, że gdyby nie wiek sędziwy i wzrok przyćmiony, które mu nie pozwoliły rozwinąć większej działalności na początku 1788 roku w czasie Sejmu Wielkiego, toby może było mniej rozpraw, mów, intryg, a więcej natomiast dobrych rezultatów.

XVII.

W roku 1783 zawarłem bliższą znajomość z Jackiem Małachowskim, wielkim referendarzem koronnym. Trudno mi było przewidzieć, że znajomość ta miała pociągnąć za sobą wielkie dla mnie przykrości i nawet w znacznej części zmniejszyć moją fortunę. Hrabia Małachowski był jednym z najuczciwszych ludzi w Polsce; wysokiej wartości moralnej, dobry gospodarz, umysł miał jednak nieco ciężki, przytem trudność wielką w wysłowieniu swych myśli, a jeszcze większą w wypisaniu ich na papierze — pod tym względem był niesłychanie zacofany. Za to wysokie urodzenie, dostatki dały mu możność zajmowania wyższych stanowisk, na których odznaczał się dokładnością, oględnością i uczciwością. To go wbiło w pychę. Obdarzony wielką miłością własną, potrzebując co chwila pomocy czyjejs, zawiedziony niejednokrotnie, stał się podejrzliwy i niedowierzający, skoro jednak napotkał kogoś, któremu by mógł zawierzyć, zaufanie swoje oddawał wtedy bezgranicznie. Był on żonaty z hrabianką Czapską. Pani Małachowska była krewną mojej teściowej, Kuczyńskiej. Matka tejże z domu Narzyska rodziła się z Czapskiej.

Hr. Małachowski przebywał w Knyszynie, dobrach niezbyt daleko od Strabli poza Tykocinem i Narwią położonych; dobra te Czapskim oddała Korona na sześć pokoleń. W ciągu swego pobytu w tym majątku wielki referendarz uczynił mi ten zaszczyt, że sam pierwszy przybył do mnie, a przyjeżdżając powiedział, że

przybywa, ażeby mnie prosić do siebie na polowanie. Trzeciego dnia jego pobytu i ja też urządziłem polowanie z naganką nie dalej jak o 600 kroków za dworem. Należał do tegoż polowania i hrabia Ożarowski, starosta surażski, który przyprowadził z sobą także dwie sfory ogarów. Przy pierwszym zakładzie wyszły zaraz na nas sarny, z których każdy z nas zabił po jednej—w drugim zakładzie znów napędzono sarny, aleśmy już ich nie strzelali, tylko biliśmy lisy i zające. Poczem wróciliśmy na obiad. Po obiedzie grono nasze powiększone było przybyciem kilkunastu osób z sąsiedztwa. Zabawialiśmy się przyjemnie i wesoło, aż do późnego wieczora. Czwartego dnia Małachowski odjechał, zapraszając mnie także na polowanie w następnym tygodniu. Było to w ciągu września — wybrałem się na oznaczony dzień ze swoim taborem myśliwskim, strzelcami i psami. Polowanie udało się doskonale. W dniach odpoczynku zwiedzaliśmy konno wszystkie folwarki. Mówiłem już, że hr. Małachowski był jednym z najlepszych agronomów w Polsce. Sam doglądał wszystkiego, pola, karczunki, budowlę, gorzelnie, bydło, kuźnię, w których wyrabiano narzędzia gospodarskie, znajdowały się pod jego osobistym dozorem. Bano go się ogólnie ale i szanowano zarazem; pod pozorną surowością kryła się dobroć i łagodność serca. Pobyt ten kilkodniowy nie był dla mnie bez korzyści—gdyż mi przedstawił prawdziwy wzór dobrego obywatela.

XVIII.

Pomijam tutaj szczegóły, tyjące się spraw moich z 1782 r. Gospodarstwo moje było w kwitnącym stanie. Zbiory się podwoiły. Miałem ziarn 7. Wszystkie konieczne budynki wystawiłem jaknajoszczędniej. Usunąłem Żydów z gorzelnii, a w karczmach umieściłem zasłużonych ludzi. Berlinki, posyłane do Gdańska ze zbożem, przywoziły wino, piwo angielskie, sól, śledzie, które następnie sprzedawane były w oberżach i zajazdach do mnie należących. Dobry handel zbożem polegał na kupowaniu po niskiej cenie miejscowego zboża do gorzelnii i na tuczeniu wołów, podczas, gdy moje lepsze zboże sprzedawało się w Gdańsku bardzo drogo. Zresztą skończenie planu topograficznego Strabli, przeprowadzenie kanałów, amelioracya gruntów, to były rezultaty tegorocznej mej pracy. Co się tyczy stosunku z włościanami, czuwałem troskliwie nad ich gospodarstwem, przeglądałem ich pola,

pomagałem w chorobach, udzielałem w potrzebie pożyczek pieniężnych, a swymi poprawnymi reproduktorami starałem się poprawić rasę ich inwentarza. Ani dnia więcej nad powinność nie wymagałem. Zbioru zboża i siana sam nieraz dopilnowywałem. Oto w skróceniu obraz mojej całej działalności.

Małżonka księcia Karola Radziwiłła z domu Rzewuska, córka hetmana, znudzona swym pobytem na Litwie, otrzymawszy do swego rozporządzenia majątność Białykamień, niedaleko od Olejowa leżący, wskutek nieporozumienia z mężem była wyprawioną przez niego do Galicyi, gdzie zemściła się w okrutny sposób na jednym litewskim biedaku, który się zwał Cieszejko. Był on koniuszym księcia Karola, a księżna posadzała go o plotki, tyczące się jej osoby. Gniew księżnej Radziwiłłowej był straszny, a spadł na głowę nie księcia, ale biednego Cieszejki. Znaleziono go w piwnicach pałacu w Podkamieniu z odciętą głową. Przewidując sprawę kryminalną (jakoż istotnie śledztwo się rozpoczęło), księżna wyjechała do Wiednia, aby tam szukać protekcji i burzy uniknąć. Wydając naprzód dochody z Białegokamienia, rzucając pieniędzmi na prawo i na lewo, zdołała sprawę przytłumić, ale nie będąc w możności spłacenia długów, mając przytem koszta procesu rozwodowego, wymyśliła inny sposób. Wierzycciele jej wiedeńscy otrzymali od cesarza Józefa reskrypt, który zapewniał jej rentę w sumie 12,000 florenów austryackich lub też 48,000 złp. tytułem alimentów, z rozkazem ściągnięcia ich z dóbr księcia Radziwiłła wolnych, nieobdłużonych, a gdyby takich nie było, do sprzedania dóbr przez licytację.

Józefowicz, główny plenipotent księcia, a może i ona sama przeznaczyli do sprzedaży majątki, które prawem zastawu trzymał mój ojciec: Olejów, Markopol i Sasów, następnie Złoczów, Pieniaki i wiele innych folwarków w naszym powiecie. Gdy powołany przez ojca przybyłem do Olejowa, ojciec wykazał mi ocenę taksacyjną, równającą się sumie długów hipotecznych. Plenipotent, zachowując urazę do mego ojca, tak sprawę pokreślił, że nie zostawił ojcu czasu na zarejestrowanie swej sumy zastawnej na Sasowie. Sądy szlacheckie rozstrzygały w podobnych razach nie publicznie, gdyż wprowadzono podówczas we Lwowie jurydykę bardzo skomplikowaną i kosztowną, śledczą i tajemną. Nie było dozwolonem stawać i bronić się osobiście. Sprawa przechodziła z rąk do rąk adwokatów, poczem przysyłano stonom wyrok krótki, lakoniczny, nieumotywowany, którego trudno było zrozumieć. Trzeba było odbyć podróż do Lwowa, zwrócić się do adwokata, podawać prośbę o wymotywowanie wyroku. Od-

powieść otrzymano po 4 lub 5 tygodniach, poczem wszystko rozpoczynało się na nowo. Każdy bezstronny przyzna, że wyrok zależał w zupełności od adwokata i jego sekretarzy. W razie zdrady lub niedbalstwa którego z nich, proces był niezawodnie przegrany. Pozostawała apelacya. Trybunał wyższy nie był nigdy zdania swoich poprzedników. Stąd zwłoki, nowe rozpatrywania w aktach i sprawy ciągnęły się do nieskończoności.

Tak było i z Sasowem. Ci, którym sprawa została powierzona, zaniedbali ją lub też spuszczały się na swoich pisarzy; jednym słowem ojciec przegrał proces we wszystkich trzech instancjach. Wiadomość ta zgnębiła go i omal nie przyprawiła o chorobę. Nie pozostało nic innego, jak stanąć na licytacji i nabyć Sasów.

Zbadałem wszystkie zwyczaje i obyczaje w podobnych okolicznościach. Radca Krywecki, Węgier z pochodzenia, staruszek wiekiem pochylony miał sobie powierzone prowadzenie sprzedaży w małym ciemnym pokoiku. Ze strony księcia znajdował się Józefowicz plenipotent, ze strony ojca, który był chory, ja stawałem, opatrzony w formalne pełnomocnictwo. Mając je w rękę, począłem rozważać w mojem sumieniu. Ze strony księcia nie dotrzymano umowy z r. 1778, nie wypłacając sumy w terminie. Podróż moja do Nieświeża niewiele pomogła. Sprawiedliwości w sądach nie uzyskałem. Czy należy postępować ze skrupulatną oględnością wobec ludzi złej wiary? Rozwahałem to sam w sobie, gdy spotkałem się na korytarzach z radcą Kryweckim. Ten mówi do mnie: „Ojciec pański musi kupić bezwarunkowo Olejów, Markopol i Sasów, aby wzmocnić swe prawa, które mu wydzierają. Trzeba te majątki kupić koniecznie.“ Zaczęto się schodzić. Józefowicz przybył jeden z pierwszych. „Panie! rzekłem mu, proszę pamiętać o liście księcia do mego ojca—list ten do dziś istnieje, jeżeli pan będziesz chciał pokrzywdzić mego ojca, to możesz być pewnym, że tego gorzko pożałujesz!“

Tłum powoli napełnił pokój. Gdy zegar wybił godzinę, Krywecki, nie mówiąc słowa, począł spisywać protokół, a ja przez ten czas mogłem się porozumieć z niektórymi osobistościami, które zamierzały także stanąć między licytantami. Wytłómaczyłem im lojalność mego ojca, który ma tak znaczną sumę na tym majątku i gospodarując od tylu lat, pragnie go nabyć. Po tej rozmowie kilku z tych panów, przyznając słuszność moim wywodom, usunęło się na stronę. Radca przystąpił do zwykłych formalności i ogłosił rozpoczęcie licytacji. Przyniesiono zapaloną świecę. Jeżeli radca pragnie przedłużyć licytację, kładzie dukata blisko

lichtarza; jeżeli pragnie ją skrócić, kładzie go na samym prawie wierzchu świecy. Rozpoczyna się sprzedaż, gdy dukat upadnie, licytant utrzymuje się przy kupnie. W ten sposób kupiłem dla mego ojca, który się tego bynajmniej nie spodziewał, trzy majątki: Olejów i Markopol za 650,000 złp., a Sasów za 342,000 złp., dodając około 18,000 za dwa pierwsze, a 42,000 za Sasów z lasami. Licytacja ciągnęła się dalej — pozostałem jeszcze, żeby się jej ciągowi przypatrzeć. Bywałem nieraz przez prostą ciekawość świadkiem licytacji w Lipsku i Warszawie. Otóż mogłem sprawdzić naocznie, że nigdzie nie odbywało się to w podobnie beceremonialny sposób, jak we Lwowie. Trudniej było gdziekolwiek indziej kupić pojedynczy sprzęt, niż tu trzy majątki za milion złotych. To też było powodem, że wielu obywateli w Galicyi wychyłało się bardzo lekkomyślnie z majątków.

Ojciec był mi niezmiernie wdzięczny za przeprowadzenie tych interesów—chciał mnie dłużej zatrzymać, ale ja uprzedzając zbliżające się roztopy, wróciłem do Strabli.

XIX.

Zbliżał się sejm w r. 1782 i sejmiiki wszędzie zostały ogłoszone. Sądząc po zdolnościach, które okazałem w Warszawie, dano mi do zrozumienia, że mam pewne szanse zostania posłem. Miałem opinię bezstronnego i rzeczywiście takim byłem. Było kilku znaczniejszych obywateli, którzy mieli mir u szlachty, bardzo licznej na Podlasiu. Ja byłem początkującym dopiero. Dochodziły do mnie z boku rady, jak trzeba postąpić, żeby sobie zyskać głosy, a więc dobrze by było temu pożyczyc pieniędzy, tamtemu zrobić pewną przysługę, innemu jaki piękny sprawunek—wszystko to nie przemawiało do mego przekonania. Zapowiedziałem, że wyjeżdżam do Galicyi i pozornie czyniłem przygotowania; gdy tymczasem w gruncie rzeczy poczyniłem kroki do zebrania sobie licznej partyi w pośród biedniejszej szlachty, którą od lat kilku otaczałem opieką. Od roku 1778 starałem się być z nimi w dobrych stosunkach, dopomagając im do brania pod uprawę tych gruntów w starostwie, które pod obowiązki pańszczyźniane nie podpadały, albo których chłopci obsiewać nie chcieli — czuwałem nad tem, żeby z nich zbyt wielkiego czynszu nie ściągano—i bardzo mi za to byli wdzięczni. Zyskałem sobie tą długoletnią opieką ich życzliwość, przyrzekli mi wszyscy stawić się na sejm-

miku; liczba ich dochodziła przeszło 800. Hr. Małachowski przyobiegał mi również swoje poparcie; było też około czterdziestu urzędników w starostwie, na których głosy mogłem liczyć.

W przededniu sejmiku udałem się do Brańska, gdzie oprócz moich stronników nikt się mnie nie spodziewał. Zacząłem od złożenia wizyty Hryniewickiemu, burmistrzowi miasta Bielska, a zarazem sędziemu cywilnemu, który był trochę obrażony, że mu w pierw poufnie nie zwierzył się z zamiarów i nie umówił o poparcie. Przyjmował on tymczasem śniadaniem jakich czterdziestu obywateli. Po przywitaniu ofiarował mi kielich wódki, mówiąc głośno tak, żeby wszyscy słyszeli: „Jesteś waszmość synem mego dawnego przyjaciela—dzielny to i zacny człowiek, a wielki przyjaciel szlachty. Jeżeli masz zamiar wstępować w ślady swego rodzica, to może wypijesz za zdrowie panów braci!“

„Panie sędzio, odrzekłem, gotów jestem krew przelać za nich i z nimi razem, podczas gdy pan tu spokojnie będzie ich sądził lub godził. Kielich jest zamały—proszę o większy—i wychyliłem go duszkiem.“

O mało nie uduszono mnie w uściskach.

„Panie sędzio—rzekłem, zwracając się do gospodarza, wezwano mnie, ażebym się o mandat ubiegał—pragnę go otrzymać. Czy będziesz mi sędzio przyjacielem, czy wrogiem?“ Uściskaliśmy się—przystał do mojej partyi. Udaliśmy się wszyscy do kościoła. W nieobecności podkomorzego, krótkim przemówieniem otworzyłem sejmik. Pierwszy raz w życiu znajdowałem się na podobnem zebraniu, przeszło 2,000 osób, z których każda uważała się równą największemu magnatowi. Podczas kiedy nieliczny komitet dopełniał formalności i spisywał akt otwarcia sejmiku, powstało kilkakrotnie zamieszanie. Jeden ze szlachty rozprawiał bardzo głośno, że miał do mnie pretensyę z powodu, iż moi ludzie ubili mu 12 gęsi. Chcąc sprawę załagodzić, ofiarowałem dukata, ale szlachcic z wielką godnością odmówił przyjęcia i rzekł: „Masz waszmość prawo zabijać gęsi, które robią szkodę w pańskim polu, ale nie powinieneś pozwalać, aby je służba zjadała.“ Inną awanturę spowodował przybyły z Warszawy jakiś młodzik, mianujący się być członkiem Komisji Edukacyjnej. W chwili gdy rozpoczynał swoją oracyę, przerwano mu zapytaniem, czy umie mówić Modlitwę Pańską? Pokazało się, że nie umiał, wówczas zmuszono go do opuszczenia kościoła. Taki sam los spotkał syna jednego z urzędników sądowych, który z polecenia ojca wstawiał się i bronił złodziei, co okradli kościół. Widać więc było, że ze-

brani tu obywatele choć przeważnie ludzie bez wykształcenia, mieli jednak poczucie religii i sprawiedliwości.

Zanim rozpoczęło się głosowanie, Karwowski, rejent koronny, chciał być obranym. Przyprowadził z sobą oddział z 300 szlachty dobrze uzbrojonych, na dobrych koniach z okręgu goniądzkiego. Mieli wszyscy trąbki przewieszane przez plecy i w takim rynsztunku, z wielkiem naszym zdziwieniem, wtargnęli do kościoła. Były to wszystko osobistości nieznane szlachcie brańskiej. Przybywali z odległości dziesięciu mil, ale byli porządnie umundurowani w granatowych mundurach i co prawda na oko lepiej się przedstawiali od mojej partii, która była ubraną zupełnie dowolnie. Powstało ogromne zamieszanie, z którego wybrnęliśmy w ten sposób, że wytlómaczyliśmy nowoprzybyłym, że się stawili zapóźno i że nie mają ani prawa, ani powodu rozpoczynać sejmik nanowo. Zresztą odbyło się wszystko dosyć spokojnie. Zostałem obrany posłem wraz z Hryniewickim.

Po wyjściu z kościoła zastawiliśmy obiad na 1,500 osób i drugi na 200, gdzie było wszystkiego z wielką obfitością i porządkiem. Wszyscy byli zadowoleni, a co było zadziwiające, że w takim tłumie nie zginęła ani jedna łyżka, ani jedna serweta; kilka było stłuczonych szklanek i kieliszków i kilku poturbowano z ludzi ze starostwa, co chcieli sobie parę butelek wina na bok usunąć. Bardzo to świadczy na korzyść moralności szlachty polskiej, szczególnie porównywując ją ze wspomnieniami balu księcia Schwartzenberga w Paryżu.

Trzeba było jechać na sejm do Warszawy. Była to historia przypuszczalnie sześciu tygodni czasu. Hrabina Branicka ofiarowała mi kwaterę w swoim pałacu.

Zacząto od obioru marszałka. Hr. Krasieński, oboźny koronny, obrany został jednogłośnie. Używał on jaknajlepszej sławy przez swoją prawosć, pobożność, gościnność, które mu zjednały ogólny szacunek. Był ożeniony z siostrą hr. Józefa Ossolińskiego, który, jak już powyżej powiedziałem, był spowinowacony z rodziną mojej żony. Cieszyłem się, że ten wybór jednomyślny był prawdziwym holdem oddanym cnocie. W kilka dni później poznałem moją omyłkę.

Wszystko było zorganizowanem i postanowionem z góry. Sejm zwołano li tylko dla formy i dla stosowania się do litery prawa. Nikt się nie dobijał o łaskę marszałkowską na sejm sześciotygodniowy. W ciągu całego czasu zajmowano się tylko

kwestyami podrzędnymi jako to: kilku likwidacyami, wyborami, kilku skargami przeciw czynnościom Rady Nieustającej.

Rada Nieustająca była to instytucja ustanowiona przez trzy mocarstwa, w celu utrzymania niezgody pomiędzy obywatelami a koroną i pomiędzy samymi obywatelami. Bardzo niewielu senatorów i spokojnych obywateli starało się o otrzymanie miejsca w Radzie. Ci, których fortuny się chwiały, lub potrzebowali wyższej pensyi, przyjmowali je, bawili się doskonale w Warszawie i niby to odbywali sesye. Intryganci z prowincyi, a tych nie brakowało nigdy, wytaczali procesy spokojnym wieśniakom i byli pewni wygranej. Rada Nieustająca miała prawo objaśniać prawa pomiędzy jednym a drugim sejmem i czuwać nad Trybunałami. Taki krętacz udawał się do Rady Nieustającej i zadawał pytania zawikłane, nad temi pytaniami wszczynały się dyskusye, umieszczane następnie w aktach procesowych, które, gdy doszły do rąk sędziów, wprawiały ich w ogromnie trudne położenie — stąd sprawy, ciągnące się do nieskończoności i różne powikłania w pośród spokojnego zwykle społeczeństwa.

Z rezolucyi Rady Nieustającej z każdej sprawy można było ułożyć całe tomy; na każdym sejmie znajdowali się skarżący; sejm znosił niektóre wyroki, inne zmieniał, inne objaśniał i usprawiedliwiał; ale zamiast zajmować się sprawami ogólnej doniosłości, roztrząsał tylko interesy czysto prywatnej natury.

Tak było i na tym sejmie. Kilka rezolucyi dotyczyło sprawy księcia biskupa krakowskiego, Sołtyka, będącego w nieporozumieniu z kapitułą. Kapituła starała się oddać pod dozór swego biskupa, dowodząc, że cierpiąc na obłęd umysłowy, stał się niezdolnym do pełnienia obowiązków. Rada Nieustająca wnieszała się do tej sprawy, która z kolei rzeczy dostała się pod obrady sejmowe. Z powodu znacznej odległości Podlasia od Krakowa nie znałem dobrze tej sprawy i nie wiedziałem napewno czego się trzymać, a w równem też byli położeniu inni posłowie z Litwy i Podola. Posłowie krakowscy i sandomierscy różnili się między sobą w zdaniach; mazowieccy byli przeciw biskupowi. Prawdą było, że zdrowie księcia biskupa uległo znacznemu osłabieniu wskutek gwałtownego porwania go przez Repnina i wywiezienia w głąb Rosyi. Później znów nie mało ucierpiał, skoro się znalazł wobec przewrotnej opozycyi swojej kapituły. Chciał poprawić obyczaje duchowieństwa i zwrócić je do sumiennego wypełniania obowiązków. Te wszystkie przeciwności skwasily charakter dumny i wyniosły; przytem zawiódł się na jednym

z tych, którym najwięcej ufał, Kołłątaju, który sam pragnąc zostać biskupem krakowskim, podsunął tę myśl prymasowi. ¹⁾

Wogóle obserwacje, które czynilem nad deputowanymi, doprowadziły mnie do smutnych wniosków. Wszyscy zamiast mieć swoje własne zdanie i jako tako wyrobiony sąd o rzeczach, posłuszni byli przeważnie obcym i to bardzo różnym wpływom. Odczytywali głośno mowy redagowane albo przez księży Pijarów, albo przez jednego z dwunastu adwokatów, stojących na czele palestry. Co do mnie miałem również zaszczyt otrzymania przygotowanej mówki w sprawie biskupa Sołtyka. Zamiast jednak przyjęcia jej posłusznie i z wdzięcznością, odpowiedziałem posłowi, który mi ją doręczył, wyjęciem mojej własnej przemowy, w której jasno wyłożyłem swoje zapatrywanie w tej kwestyi. Powiedziałem więc:

„Że kwestya czy książę biskup krakowski jest zdrów na ciele i umyśle, czy zdolny jest rządzić duchownemi i doczesnemi sprawami swojej dyecezyi, powinna być rozszadzona przez specjalistów lekarzy, bo sejm o tem decydować nie może. Że ja osobiście podzielam oburzenie ogółu przeciw intrygom kapituły i przeciw zdradzieckim przyjaciołom. Że mojem zdaniem dochody biskupstwa krakowskiego są tak wielkie, iż powinna znaczna ich część przejść na dobro Rzeczypospolitej, na utworzenie kasy państwowej na najpilniejsze potrzeby, na wzmocnienie armii i t. d.“

Od tej chwili pozostawiono mnie już w spokoju i udzielono mi bez żadnej trudności pozwolenia wyjazdu do Białegostoku, gdzie przy końcu sejmu przybyć miał wielki książę Paweł z małżonką. Cały wielki świat warszawski otrzymał otwarte lub uboczne zaproszenie, aby przybyć do Białegostoku i usświetnić dwór hr. Branickiej. Jej bratanek, książę Stanisław Poniatowski, mój kolega od Teatynów namówił mnie, aby się tam udać również. Przystałem chętnie, bo atmosfera Warszawy, przesiąknięta intrygami, stała się pod koniec sejmu ciężką i przygniatającą.

W Białymstoku zastaliśmy już zgromadzonych około sześćdziesięciu osób. Arcyksięstwo przybyli niebawem. Przyjęci byli z pełną godności uprzejmością—co im się tak podobało, że posta-

¹⁾ Sprawę bisk. Sołtyka na sejmie 1782 r. szczegółowo opisuje Kazimierz Rudnicki w monografii „Biskup Kajetan Sołtyk“ (Kraków, 1906), s. 201 sq.; por. w tejże sprawie dokumenty ogłoszone przez Mich. Balińskiego (Pamiętniki o Janie Śniadeckim.“ Wilno, 1865, t. II, 21 sq.), a niezużytkowane ani przez Rudnickiego, ani przez jego recenzentów.

nowili kilka dni dłużej zabawić. Codziennie zwiedzano ogrody, parki i okolice Białegostoku. Wieczorem zaś codzień były bale, na których w. księżna zaściewała wszystkie panie urodą i niesłychanym wdziękiem, z jakim umiała przemówić do każdego, co się bliżej niej znajdował. Ale też i ona nie mogła się uskarżać na brak dowodów czci i uwielbienia.

Przedstawiono w. księciu jeden z najlepszych batalionów strzelców konnych, sformowanych przez hr. Brühl'a, naszego głównego dowódcy artylerji. Mnie polecono, ażebym przedstawił księciu rycerza dawnego polskiego w zbroi i przyłbicy na przepyszny koniu, ażeby miał wyobrażenie o dawnej kawaleryi polskiej.

Wielka księżna zauważyła w pośród mężczyzn niejakiego Kruszewskiego, siedemdziesięcioletniego już, ale bardzo dzielnie wyglądającego w polskim mundurze obywatela i powiedziała mu, że chce z nim tańczyć. Bardzo się dobrze wywiązał z zadania, bo doskonale jeszcze tańczył. Po tańcu zapytała go się, wiele też lat sobie liczy?—na to odpowiedział, „że w tej chwili zapomniał swojego wieku, ale że zacznie liczyć znów od dnia, w którym miał zaszczyt tańczyć z wielką księżną.“ Księżna pobiegła zaraz do swego małżonka i z wielkiem ożywieniem opowiadała mu, jaki zręczny i piękny komplement usłyszała. Mówiła, że tutejsza grzeczność i galanterya daleko jej się lepiej podobały niż wiedeńska, bo na balu w Wiedniu coś jej z klejnotów skradziono.¹⁾

XX.

Kontrakta lwowskie nie odznaczyły się niczem ważniejszem w tym roku, ale ojciec mój zażądał mojego przyjazdu, bo miał ciężkie bardzo z rządem kłopoty. Wyszło rozporządzenie ogólnych nowych pomiarów we wszystkich krajach, należących do korony austriackiej.²⁾ Pomiary te były w celu opodatkowania gruntowego.

Cesarz Józef II dużo przebywał z ekonomistami francuskimi, przejął się ich systemem; otoczywszy się demagogami, przyswoił

¹⁾ Pobyt w Białymstoku ks. Pawła, późniejszego cesarza Pawła I, opisyje ks. Stanisław Poniatowski w swym pamiętniku, wydanym przez dra Józ. Korzeniowskiego w „Revue d'histoire diplomatique“ z 1895 r.

²⁾ Por. Wacław Tokarz: „Galicya w początkach ery józefińskiej.“ Kraków, 1909; str. 118 sq. 135 sq.

sobie ich idee niewykonalne. Skoro miały być już ziemie na nowo pomorgowane, chłopci mieli otrzymać swoje grunta na własność, mieli być uwolnieni od wszelkich powinności pańszczyznianych względem panów a panowie... panowie byliby zmuszeni opuścić swoje folwarki i oddalić się. Powinności chłopskie zamienione na pieniądze miały przynieść rządowi nieprzeliczone sumy. Liesganig, jezuita i kilku innych geometrów wyrachowało ilość mil kwadratowych, te mile zamienione na morgi, to wszystko pomnożone przez pewną sumę podatkową, stanowiło dla rządu miliony milionów. Ale trzeba było rozpocząć pomiary, uskutecznienie ich wymagało przynajmniej 40,000 geometrów, ażeby rozrachować te masy gruntów, rozrzuconych po takich obszarach i rozdzielić je odpowiednio. Trzeba było przytem zdolnych taksatorów, którzyby umieli klasyfikować ziemie orne, łąki, pola, pastwiska, zagajniki i lasy. Ale to mniejsza. Wielkie geniusze nie znają przeszkód. Posłano ze dwudziestu inżynierów do większych miast, tam werbowano studentów, pisarzy, synów popów, dawano im naprędce wskazówki mierzenia pól i elementarnych zasad geometrycznych, a po kilkodniowej nauce dawano im do rąk świadectwa odbytych nauk i uzdolnienia i wypuszczono tym sposobem 10,000 geometrów, których rozesłano do rozmaitych majątków, gdzie mieli mierzyć, notabene na koszt właścicieli.

Mój ojciec miał takich dwudziestu w swoich majątkach: Olejowie, Markopolu, Sasowie, Mogielnicy i Koniuszkowie. Trzeba było dawać na ich utrzymanie, a nawet na fantazyje. Główni inżynierowie kontrolowali od czasu do czasu prace nowicyuszów, ale najczęściej zamiast poprawić darli papiery, przekreślali mapy i rozpoczynało się na nowo. Cała administracya dóbr mego ojca nie wystarczała tym ogromnym robotom. Moi dwaj bracia, Stanisław i Ksawery, Jachimowski, Wollfart — zajęci byli nieustannie tymi pomiarami, a także przyjmowaniem i zabawianiem panów geometrów, z czego się wywiązywały bardzo nieprzyjemne kolizyje.

Ale co było jeszcze gorszem, to, że panowie miernicy podburzali włościan, co spowodowało w niektórych okolicach w Galicyi zupełne zawieszenie robót w polu. Żniwa tak się opóźniły, że śnieg pokrył znaczną część zbiorów, w górzystych więc stronach Galicyi przyszedł głód. Przeszło 40,000 ludności wymarło z niedostatku. Wyrzucano właścicielom, że nie ratowali w porę, a jak tu było ratować, kiedy zboże zostało na polu nie zebrane. Nie wiele brakowało do ogólnego buntu chłopów przeciw panom.

Miałem wpierv sposobność zaznajomienia się i zyskania zaufania i szacunku włościan mego ojca. Teraz więc jeździłem po

wsiach, rozmawiałem, uspakajałem umysły i dzięki temu utrzymała się pożądana harmonia i porządek wszędzie. Pomagałem braciom i rządcom, nie szczędząc trudu ani pracy. To też u nas najprędzej ukończone zostały pomiary, te posłużyły przynajmniej do poznania prawdziwej wartości dóbr nowonabytych; była to dla właścicieli jedyna korzyść osiągnięta z tylu trudów. Znaczna część panów galicyjskich, znudzonych nieprzyjemnymi stosunkami z urzędnikami od pomiarów, zgryzionych hardością chłopów, opuściła majątki, jedni wynieśli się na Wołyń lub Podole, inni pobankrutowali, albo też trawieni żółcią lub rażeni apopleksją pomierali.

Z niewydanych utworów M. Konopnickiej.

NA OBCZYŹNIE.

Jaskółeczka smętnie nuci,
Skrzydełkami wiatr rozmiata...
Wie ot, z gniazdka że wylata,
Ale nie wie—czy powróci.

I.

Myśl się moja mgłami ściele
Na te pola, na te łąki,
Gdzie liliowe kwitną dzwonki,
Gdzie złociste brzęczą trzmielce.

Zapatrzony, zasłuchany,
Nic nie widzę dookoła,
Tylko nasze ciche łąny,
Tylko nasze zbożne sioła.

Co bolało—już nie pomnę.
Ognie zgasły, przyschły rany...
Tylko szumy gdzieś ogromne
Słyszę z ciszą naprzemiany.

Kosowica z brzękiem płynie
Przez pszeniczne, złote szlaki,
Słońce jarzy się w kalinie,
Lecą pieśnie — niby ptaki...

To rozhuknie echem niwa,
To zaśmieje się, jak żywa...
A jak trzcina grube kłosa
Z chrzęstem lecą na pokosy.

Hej, gromada, wy, gromada!
Czy o bracie zapomnieli?...
Cichość... nocka przędzie błada
Srebrne nici swej kądzieli.

II.

Już najgorsza taka droga,
Już najgorsze takie wrota,
Co wywodzą z twego proga,
Chato moja! — Moja złota!

Już najkrwawsza taka zorza,
Najsmutniejsza taka dola,
Co wypędza het, za morza,
Z swojej ziemi, z swego pola.

Choćby ci też gdzie świeciły
Trzy księżycy i trzy słońca,
Już ty własnej nie masz siły,
Już twa dusza jest mdlejąca.

Choćby tobie dwoje żniwo,
Choćby w żniwie dwoje plonu,
Zawsze tęsknisz do zagonu,
Coś go orał sochą krzywą.

Zawsze dusza ci ucieka
Za te góry, za te wody,
Zawsze chata ci daleka
Jak chleb pachnie i jak miody.

I z ptaszyną oną lotną,
Co po skraju niebios płynie,
Duszę puszczasz swą samotną
Ku zagrodzie... ku rodzinie...

III.

Oj, ty morze, sine morze,
Oj, ty drogo korabiowa!
Z trudna tutaj się uchowa,
Co wyrosło na ugorze.

Mocym pozbył od tęskności,
Dech wydychał za swojemi...
Truchleją mi oto kości,
Że na obcej legną ziemi...

Żeby chociaż jeden dzionek,
Choć ostatnie piersi technienie...
Choć śmiertelny z wieży dzwonek,
Na wieczyste odpocznienie...

Żeby chociaż trumna z sosny,
Co wyrosła w naszym boru...
Żebyż hejnał on żałosny:
„Niebieskiego Pani dworu...”

Żeby chociaż krzyż u drogi,
Na ostatnie te noclegi...
Żebyż wiosną białe głogi,
Żebyż zimą białe śniegi...

Cicho gasną złote zorze,
Wiatr porywa moje słowa...
Oj, ty morze, sine morze,
Oj, ty drogo korabiowa!

IV.

Jać nie byłem nigdy za tem,
Żeby gdzieś wędrować światem,
Jać się trzymał, jak jemiola,
Żywiciela mego sioła.

Świeciły mi różne zorze,
Ta gasnąca i ta złota...
A kto kiedy wiedzieć może,
Jaka burza nim pomiota?

Poiły mnie różne zdroje,
Jeden śmiercią, drugi mocą,
A kto przyśni, choćby nocą,
Wszystkie ciężkie drogi swoje.

Oj, ptaszyny wy lecące,
Wy żałosne wędrowniki!
Leciałby ja — gołąb dziki —
Tam... za wami... pod to słońce...

Pod to słońce, pod te blaski,
Pod jutrzenne te kolory,
Na mazurskie nasze piaski,
Na sosnowe nasze bory...

Leciałbym ja dniem i nocą
Pod gwiaździstem onem niebem,
Na te łany, co się złocą
Mazowieckim naszym chlebem.

V.

Co po chlebie—kiedy dławi,
Co po miodzie—kiedy truje?
Czasem, to ci tak sumuję,
Że jak żywa mi się jawi

Ona dawna moja bieda,
One dawne ciężkie znoje,
Ono wszystko drogie moje,
Co nawrócić się już nie da.

Oj, wziąłbym ja dziś na siebie
I nie takie jeszcze brzemię,
I o czarnym kopał chlebie
Płonny ugor... płonną ziemię.

Oj, wziąłbym ja na ramiona
I nie takie jeszcze krzyże,
Byłem wiedział, ty rodzona,
Że do ciebie się przybliżę...

Jako czajki te nabłotne,
Za łąk twoich drzę zapachem...
Dajże czoło mi samotne
Ukołysać pod twym dachem!

Tu bo serca nic nie bawi,
Nic tu duszy nie lubuje...
Co po chlebie—kiedy dławi,
Co po miodzie—kiedy truje?...

VI.

Nockę jedną, nockę drugą,
Sioło mi się śni ojczyste...
One olsze ponad strugą,
One lipy rozłożyste...

One lasy, one knieje,
 One dęby pradziadowe...
 I aż chwytam się za głowę,
 I aż w piersiach coś się dzieje...

Pod okiścią stoją bory,
 Drobnym śnieżek puchem pruszy,
 Jamnik wietrzy lisiej nory,
 Huk siekiery słycać w głuszy...

Aż tu patrzę—wiosna wstaje,
 Młody liść się winie drzewem,
 Brzmią dąbrowy, brzęczą gaje
 Rozhukliwym ptasim śpiewem...

Ja się budzę cały w męce—
 Pot na czole stoi rosny—
 I wyciągam obie ręce
 Do tej zimy—do tej wiosny...

VII.

Czasem oto zmierzchem klęknię,
 Przeżegnany się do pacierzy,
 A gdy w cichość głos uderzy,
 To aż w sobie się przełęknię.

I już dusza taje rosą,
 Jak gdy słońko szron zagrzeje—
 Już się echem pieśnie niosą,
 Co je lud pod krzyżem pieje...

Za daleką gdzieś drużyną
 Jąkam: Święty! Święty Boże!
 A u stóp mi falą siną
 Huczy wielkie, gniewne morze...

VIII.

Oj ty ptaszę wichrem gnane,
Ty jaskółko czarna, hoża,
Nigdyż patrzeć nie przestanę,
Tam—za góry, tam—za morze?...

Od godziny do godziny
Tęskna w duszy bije troska:
Gdzie to dym mej chaty siny,
Gdzie to cicha moja wioska?

Jaskółeczka na skraj gniazda
Piersią pada, tuli dzieci.
A mnież błędna moja gwiazda
Do mogiły gdzie doświeci?...

MARYA KONOPNICKA.

Ze stosunków polsko-ruskich w Galicyi wschodniej.

I.

Niepowołani obrońcy i nieproszeni opiekunowie Rusi lubią opowiadać o prześladowaniu Rusinów przez Polaków, przeciw którym narzucają się tym prześladowanym za obrońców. Przed rokiem z górą wykazaliśmy bezpodstawność podobnych oskarżeń, dotyczących Chełmszczyzny (ob. „Dzień“ 1909, № 349). Obecnie pragniemy zapoznać czytelnika polskiego ze stosunkami narodowościowymi w Galicyi, by dać mu możność zarówno oryentowania się w tych stosunkach, jak i porównania z istniejącymi po tej stronie granicy.

Na szczęście literatura naukowa i prasa Galicyi posiadają obszernie w tej kwestyi dane, zebrane skrzętnie zarówno przez biura statystyczne, jak i przez jednostki, poświęcające się naukowo omawianiu spraw żywotnych tego kraju. Nie potrzeba więc odkrywać Ameryki na nowo; dość sięgnąć po nagromadzone obficie informacye, ażeby nabrać o rzeczy dokładnego pojęcia. Wobec tej łatwości informacyi, tem dziwniej uderza lekkomyślność, z jaką pewne jednostki — ze źle ukrytą, a z góry powziętą tendencją—opowiadają to, co im do opowiadania potrzebne, podając za rzeczywistość. Chcą w tem naśladować wielkiego Bismarka. Ale nie każda przecież fałszowana depesza prowadzi pod Paryż, i nie każde kłamstwo daje zwycięstwo!

Galicya, według spisu ludności z r. 1900, miała mieszkańców 7,315,939 głów, a w tej liczbie:

3,982,033	uważających się za Polaków
3,080,443	„ „ „ Rusinów

212,427 uważających się za Niemców
41,036 cudzoziemców i różnych.

Objasnić należy, że w wykazanych powyżej liczbach mieszczą się i Żydzi, których odrębna narodowość urzędowo nie została uznana. W r. 1900 do narodowości polskiej przyznało się ich 658,000, do ruskiej—15,000; reszta, z nielicznymi wyjątkami, do narodowości niemieckiej.

Procentowo stosunek liczebny mieszkańców tych 4 kategorii wyraża się jak następuje: Polaków 54.4%, Rusinów 42.1%, Niemców 2.7%, innych 0.5%.

Pod względem wyznania ludność ta dzieli się:

rymsko-katolików	3,335,780	= 45.7%
greko-katolików	3,108,792	= 42.5 „
protestantów	45,812	= 0.6 „
mozaistów	811,183	= 11.0 „
innych	308	= 0.0 „

Zestawiając liczby wykazane w podziale na narodowości z liczbami różnych wyznawców, widzimy, że z górą 43,000 greko-katolików uznało się za Polaków. Stanowi to zaledwie 1.4%, natomiast 30,000 katolików podało się za Rusinów. Stąd też liczbę greko-katolików i Rusinów można niemal uważać za jedno.

Według prawa obowiązującego, wszystkie narodowości są tu równouprawnione; wszystkie mają prawo strzeżenia i pielęgnowania swego języka w równej mierze. Ustawy zastrzegają nadto, że urzędy i instytucje publiczne są obowiązane załatwiać sprawy w jednym z trzech języków krajowych (za jakie są uznane języki: polski, ruski i niemiecki) i to w języku strony, zgłaszającej się do urzędu; że językiem urzędowym władz lokalnych, mianowicie Rad powiatowych i Rad gminnych, będzie ten z języków krajowych, który te instytucje ustanowią prostą większością głosów, Wydział zaś krajowy winien korespondować z nimi w języku, w jakim się owe instytucje do niego odnoszą (prawo z dn. 11 kwiet. 1907 r.). Wszelkie napisy urzędowe na ulicach, gmachach publicznych, znakach granicznych i drogowych, wozach dróg żelaznych, — na blankietach, odezwach, kwitach i biletach kolejowych—są tu również trójjęzyczne. Poszanowanie równości i równorzędności języka zachowuje się tu z całym pedantyzmem. Na żądanie strony, sądy prowadzą indagację w jej języku; w nim protokółują zeznania; w nim przemawiają obrońcy.

Dostęp do wszystkich urzędów jest tu otwarty w równej mierze dla wszystkich narodowości już z mocy samego prawa.

Bywa przecież nieraz gdzieindziej, że prawo pozostaje na papierze—w praktyce zaś obsadzone są urzędy przedstawicielami uprzywilejowanej jakiejś grupy (narodowej lub wyznaniowej), a wtedy niezbędną rekomendacją jest przynależność do tejże grupy. Tu trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, czy urzędnik Z lub X jest Polakiem czy Rusinem; nikt się tem nie interesuje, a stąd nie posiada odnośnej wiadomości. W jednym wydziale (sądowym) pokuszono się przecież o wywiedzenie, jaka jest liczba urzędników każdej narodowości, i skonstatowano, że na ogólną liczbę 1150 urzędników sądowych jest:

Polaków	727	=	63.3%
Rusinów	367	=	31.8 „
Niemców	56	=	4.9 „

To odkrycie miało być dowodem pokrzywdzenia żywiołu ruskiego. Ale oto pokazało się, że w obu uniwersytetach krajowych na wydziale prawnym, z którego rekrutują się urzędnicy sądowi, młodzież polska stanowi 77.8%, ruska 14.5%, niemiecka 7.7%; że więc w stosunku do studujących prawo, procent sędziów Rusinów więcej, niż w dwójnasób, przenosi odsetek akademicki, podczas, kiedy odsetki sędziów dwóch innych narodowości nie dochodzą odsetków studentów.

Troską każdego społeczeństwa, pragnącego rozwijać się samodzielnie, są szkoły, szkoły z wykładem w języku rodowitym uczniów. W tej myśli pierwszym obowiązkiem społecznym jest piecza nad unarodowieniem szkoły. Ustawa z r. 1867 daje prawo stanowienia o języku wykładowym szkoły ludowej temu, kto szkołę utrzymuje. Jeżeli szkoła taka pobiera zasiłek z funduszy publicznych, prawo stanowienia, który z języków — polski albo ruski — ma być wykładowym, wykonywa gmina wspólnie z władzą szkolną krajową w ten sposób, że orzeczenia gminy ulegają zatwierdzeniu władzy szkolnej krajowej. Następstwem tego prawa jest, że obecnie (1908/9) posiada Galicya ludowych szkół polskich 2688, ruskich 2290. Przypada więc 1 szkoła na 1490 ludności polskiej i na 1340 — ruskiej. Jest tu więc raczej uprzywilejowanie tej ostatniej, bo więcej ma szkół w stosunku do swej liczby, niż ludność polska.

Ale zachodzi tu jeszcze jedna okoliczność, niekorzystna dla dziatwy polskiej, uczęszczającej do szkoły ludowej we wschodniej części Galicyi. Jak widzimy, o języku wykładowym w szkołach ludowych decydują mieszkańcy gminy prostą większością głosów. W Galicyi wschodniej Polacy stanowią $\frac{1}{3}$ ludności, rozrzuconej

po całej przestrzeni. Większymi grupami osiedli głównie w miastach; natomiast w okręgach wiejskich stanowią mniejszość, a tem samem poddać się muszą wymaganiom większości, domagającej się słusznie szkoły ruskiej, o ile liczba odpowiednia (40) dziatwy polskiej nie uprawnia do legalnego żądania odrębnej szkoły dla mniejszości. To jest przyczyną, że z ogólnej liczby 187,269 dziatwy polskiej, uczęszczającej do szkoły ludowej w r. 1907/8, 40,611 uczęszczało do szkółek ruskich = 27.7%. W roku następnym liczba ta wzrosła nawet do 45 tysięcy. Działwa ruska mniej jest narażona na uczęszczanie do szkółki ludowej polskiej, gdyż jednocześnie, jak widać ze sprawozdań, znajdowało się w tym wypadku tylko 374 uczniów (= 0.2%) na ogólną ich liczbę 132,480.

Dodać tu należy, że do szkoły elementarnej uczęszczało w roku sprawozdawczym 83.7% wszystkiej dziatwy. Przytem jedno dziecko polskie przypadało na 21.2 głów ludności polskiej i jedno dziecko ruskie na 23.1 głów ludności ruskiej. Pomimo zatem większej liczby szkół ruskich w stosunku do ludności, uczęszczanie do nich dziatwy tej narodowości było słabsze, niż wśród ludności polskiej.

Jeszcze bardziej uwydatnia się ta różnica w korzystaniu ze szkoły średniej i wyższej. W 46 gimnazyach i progimnazyach Galicyi w r. 1908/9 było uczniów:

narodowości polskiej	21,885 = 77.6%
„ ruskiej	6,128 = 21.7 „
„ niemieckiej	172 = 0.6 „
„ innych	22 = 0.8 „

W szkołach realnych i technicznych Polacy stanowią 93% uczniów, Rusini zaledwie 5.9%, Niemcy 0.9%; w szkołach handlowych i przemysłowych: Polacy 68.3%, Rusini 19.1%; w szkołach wreszcie zawodowych: Polacy 70.7%, Rusini 23.2%.

Pomimo znakomitego—w porównaniu z nami—rozwoju szkolnictwa w Galicyi, szkoły publiczne nie są w stanie pomieścić wszystkiej dziatwy, spragnionej nauki. Potrzebom tym zaradza ją szkoła prywatna, których Galicya posiada:

polских	132 = 57.2%
niemieckich	92 = 40.0 „
ruskich	5 = 2.2 „

Ponieważ prawo nauczania i zakładania szkół dozwolone jest tu każdemu obywatelowi, „który wykazał w prawie przepisany sposób swoje ku temu uzdolnienie“ (prawo z 21 grud. 1867 r.)—

ponieważ tym sposobem istnieje *zupełna swoboda nie tylko nauczania, ale i utrzymywania zakładów naukowych*, przeto liczbę szkół prywatnych uważać tu można poniekąd za wykładnik niezaspokojonych przez władze potrzeb mieszkańców tych trzech narodowości Galicyi. W stosunku do mieszkańców każdej narodowości największy brak własnej szkoły odczuwają tu Niemcy, gdy przy nieznacznej swej liczbie = 2.7%, utrzymują 40% ogólnej liczby szkół prywatnych; potem Polacy (54% ludności, a 57.2% szkół prywatnych), a najmniej Rusini (42% ludności, a 2.2% szkół prywatnych). Zestawienie tych cyfr stępić poniekąd musi ostrze zarzutów, czynionych pod adresem „polskich rządów w Galicyi,” o niedostatecznej liczbie ruskich szkół, średnich zwłaszcza, w tym kraju. O tem słów parę.

Według statutu z r. 1867, językiem wykładowym szkół średnich jest język polski, z wyjątkiem 4 niższych klas gimnazjum akademickiego (ruskiego) we Lwowie. Od tego czasu, na wniosek Rady szkolnej krajowej, złożonej w większej części z Polaków, Sejm galicyjski, przeważnie również z reprezentacji polskiej złożony, uchwałił zakładanie gimnazyów, bądź czysto ruskich, bądź utrakwistycznych, i obecnie istnieje 6 gimnazyów ruskich (lwowskie akademickie z filią i 4 w innych miastach) i 2 gimnazya utrakwistyczne, w których razem pobiera nauki $\frac{2}{3}$ młodzieży ruskiej, kształcącej się w gimnazyach krajowych. Staraniem jest władz autonomicznych, ażeby zaspokoić życzenia ludności ruskiej i dać możność wszystkim młodzieży ruskiej pobierania nauki średniej w języku rodowitym. Władze krajowe jednak ostatecznie kwestyi tej nie decydują, a urzeczywistnieniu tych dążeń stoi na przeszkodzie kwestya finansowa, od władz krajowych niezależna; pamiętać bowiem trzeba, że Rada szkolna Galicyi jest władzą nadzorczą i wykonawczą jedynie; że gdy idzie o upaństwowienie szkoły, czy założenie nowej, Wiedeń tu decyduje i niechętnie obarcza budżet nowym wydatkiem; że i te gimnazya ruskie, jakie już istnieją, zawdzięczają Rusini uchwałom Sejmu i staraniom polskich sfer wpływowych w Wiedniu. Niedostateczna więc tu liczba gimnazyów ruskich nie może być policzoną na karb złej woli „rządów polskich” w Galicyi.

Inteligencya ruska Galicyi, dążąc do emancypacji nauki od wpływów obcych, dąży do urzeczywistnienia projektu—posiadania własnego uniwersytetu. Opinia publiczna polska oświadczyła się i oświadcza w tym samym kierunku. Natychmiastowemu wprowadzeniu w czyn tego projektu stoją jednak na przeszkodzie nie tylko względy finansowe, techniczne i t. p., ale nadto i brak uczo-

nych, którzyby podjąć się mogli wykładów w języku miejscowym, czego właśnie gorąco się dobija ruska młodzież uniwersytetu. Kiedy bowiem utworzono katedry uniwersytetu lwowskiego dla wykładów w języku ruskim—czyli, jak chcą miejscowi Rusini, „ukraińskim,“—ze zgłaszających się kandydatów zaledwie niewielu wykazało odpowiednie kwalifikacje i tym katedry oddano. Jest ich obecnie 14, mianowicie: 5 na wydziale teologicznym, 5 na filologicznym i 4 na wydziale prawa i nauk politycznych. Na wprowadzenie na katedry uniwersyteckie języków pozakrajowych, choćby pokrewnych, nie zgodzi się ani rząd centralny, ani młodzież ruska, najliczniej w uniwersytetach reprezentowana, t. zw. „ukraińcy.“

Ten rzekomy ucisk polski Rusinów w Galicyi wyraża się tymczasem w następujących cyfrach:

2,290 szkół ludowych ruskich, 6 gimnazyów ruskich, 2 gimnazyja utrakwistyczne, 14 katedr uniwersyteckich ruskich, 2,163 czytelnicy ludowych ruskich, 194 chóry śpiewackie ruskie, 170 drużyn scenicznych ruskich, 19 składów i 1,198 sklepów wiejskich ruskich, 264 kas pożyczkowych ruskich, 100 spichlerzy ruskich, 13 burs dla uczniów ruskich, 10 kursów dla analfabetów ruskich i kilkadziesiąt ruskich stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych, wśród których tow. „Proświta“ liczy około 30,000 członków i posiada około $\frac{1}{4}$ miliona koron majątku; tow. „Sokół ruski“—24,000 członków; tow. parcelacyjne „Zemla“ lub ziemski Bank Hypoteczny, posiadający 1 milion koron kapitału zakładowego. Wiele z tych towarzystw pobiera zapomogi z funduszków krajowych, zarówno na cele oświatowe (ruskie), jak i ekonomiczne i tak: tow. „Proświta“ w r. b. 1911 otrzymuje 45,000 koron, tow. „Ruska Besida“ (teatr) 24,000 k., „Tow. Szewczenki“—17,000 k., „Tow. Kaczkowskiego“—15,000 k., „Tow. Selskij Hospodar“—15,000 k. Oto są ilustracje onego ucisku polskiego.

A są dziedziny życia społecznego, gdzie Rusini są jakby uprzywilejowani wobec Polaków. Dość przejrzeć i porównać liczbę parafii wyznania rzymsko-katolickiego, do którego należą niemal wszyscy Polacy (97⁰/₀), z liczbą parafii greko-katolickich, obejmujących wszystkich niemal Rusinów (98.6⁰/₀), liczbę świątyń jednych i drugich, liczbę duszpasterzy jednego i drugiego wyznania, wreszcie uposażenie jednego i drugiego, ażeby się o tem przekonać. Cyfry mówią same za siebie, a są one następujące:

W r. 1900 było	Rz.-katolików	Greko-katolików
Ludności głów	3,335,780	3,108,792
Parafii	889	1,875
Na 1 parafię dusz	3,763	1,657
Duchowieństwa parafialnego	1,593	2,150
Na 1 duchownego dusz	3,763	1,657
Majątkości duchowne	10,573,793 kor.	18,420,683 kor.
Uposażenie duchowieństwa	1,350,800 kor.	2,994,067 kor.
Koszt duszpasterstwa na 1 duszę . .	40.4 halerzy	93.6 halerzy

Z powyższej tablicy okazuje się, że duchowieństwo ruskie w Galicyi, pomimo mniejszej liczby parafian, niż je ma duchowieństwo łacińskie, posiada i znaczniejsze majątkości, i znaczniejsze na ogół uposażenie; a stąd kosztu duszpasterstwa każdego wyznawcy kościoła greko-katolickiego, t. j. ruskiego, silniej obciążają mienie krajowe, niż duszpasterstwo łacinników.

Zaznaczyć przytem należy, że znaczna część majątkości duchownych, będących obecnie w posiadaniu duchowieństwa ruskiego, pochodzi z darów i zapisów magnatów polskich i polskiej szlachty, podobnie, jak i w innych dzielnicach kraju. Autor rosyjski A. Łonginow, badający dzieje erekcyi i uposażenia cerkwi unickich w Chełmszczyźnie, wykazał, że fundowali je nietylko panowie polscy, ale nawet biskupi łacińscy, jak np. w Horodyszczu lub w Horodźcu (nad Bugiem), a w liczbie fundatorów świeckich wymienia Ossolińskich, Radziwiłłów, Sapieliów i Zamojskich.

*

*

*

Wykazaliśmy, jak sędzę, bezpodstawność oskarżeń Polaków o ucisk przez nich Rusinów. Oskarżeń tych, wygłaszanych urbi et orbi przez obóz „ukraińców,” nikt świadomy rzeczywistego stanu rzeczy nie bierze na seryo. Jest to działalność agitacyjna, kierowana z zewnątrz, ku pożytkowi tych, którym na utrzymaniu antagonizmu polsko-ruskiego i na utwierdzeniu swego wpływu

i swego autorytetu najwięcej zależy. Sprawa Siczyńskiego odsłoniła rąbek zasłony, osłaniającej ręce kierownicze tej waśni.

To też dziwić się nie można, że przeciwieństwa między „ukraińcami“ a Polakami zaostrzają się jaskrawiej, niż między starorusinami (czyli moskalofilami) a Polakami, chociaż mogłoby się zdawać przeciwnie. Władze polityczne krajowe nie mogą, rozumie się, patrzeć obojętnie na dążenia partyi, która ciąży ku obcemu mocarstwu i zwalczać ją muszą; uważają partyę ukraińców za mniej dla całości państwa niebezpieczną,—a stąd wynika wielka dla niej pobłażliwość; ale społeczeństwo polskie Galicyi, bliżej przypatrując się całej tej robocie, nie mogło nie dojrzeć, dokąd ona idzie. Pomimo całej sympatyi dla samodzielności narodowej i dla równości zupełnej bratnich narodów; pomimo czci dla tradycyi, która oba ludy zbratała—nie może nie widzieć, że w całym tym ruchu „ukraińskim“ w tem stadyum, w jakim się on w chwili obecnej objawia, nie o równouprawnienie idzie bynajmniej, lecz że obrabiane są tu przedewszystkiem interesy polityki niemieckiej, dążącej do urobienia sobie z Rusinów awangardy niemieckiej w łonie wschodniej słowiańszczyzny; utworzenie z nich niemieckiego klina w tej stronie, co ułatwi Niemcom zabory przy granicach zachodnich słowiańszczyzny.

Ta służba niemiecka robi „ukraińców“ nieprzejednanymi. Nieprzejednanymi też będą oni dotąd, dopokąd nie dojdą do przeświadczenia, że byli ślepem narzędziem wroga słowiańszczyzny.

Na ten zwrot przecież jeszcze się nie zanosi. Mało krytyczny a czuły Rusin łatwo się poddaje wpływowi zręcznych agitatorów (wyszłych często z jego własnego łona), których sobie polityka niemiecka zjednać umiała. Nie brak zaś dowodów, że na ten cel Niemcy wydatków nie żałują.

Nawiązane pertraktacye w celu doprowadzenia do porozumienia polsko-ruskiego w Galicyi będą probierzem, czyśmy się bardzo w ocenie tych stosunków mylili.

H. WIERCIEŃSKI.

II.

W ostatnich czasach zaczynają się mnożyć oznaki pewnego zwrotu w stosunkach polsko-ruskich Galicyi. Toczy się wprawdzie walka między poszczególnymi partyjami polskimi a ruskimi ze wzrastającą, zdawałoby się, gwałtownością, a prasa codzienna obydwóch obozów narodowych w dalszym ciągu roz-

brzmiewa echem żalów, skarg i napaści. Nie mniej jednakże nawet walki wyborcze, niedawno stoczone, a doprowadzające zwykle do nadzwyczajnego rozpalenia się namiętności, posiadały cechy, różniące je od analogicznych walk dawnych. Cała prasa stwierdzała jednogłośnie, że po stronie ruskiej nie było tym razem takiego napięcia uczuć antypolskich, jak dawniej. Wymownie świadczy o tem i taki fakt, jak zerwanie narodowych demokratów ukraińskich z syonistami, popieranymi przez nich podczas wyborów w r. 1907 w ten sposób, że zdołali oni urwać Polakom dwa mandaty. Jednocześnie z tymi objawami życia politycznego Galicyi coraz częściej zjawiają się pogłoski o planowanych pertraktacjach polsko-ukraińskich, o koniecznej w warunkach dzisiejszych ugodzie polsko-ruskiej, o spełnieniu najważniejszych postulatów Rusinów (sprawa uniwersytetu ukraińskiego, reforma sejmowej ordynacyi wyborczej) i t. d. Zdaje się, że obydwie strony — tak Polacy, jak i Rusini — dochodzą do przekonania, iż sprawa jakiegoś porozumienia powinna już raz wejść w zakres praktycznych zadań polityki bieżącej. Przekonanie to zdobywa tem większą popularność, że bezwzględnie mu wrogie stronnictwo narodowo-demokratyczne wyszło z ostatnich wyborów niezmiernie osłabione, przepołowione liczebnie. I przeciwnie, w odnowionem „Kole Polskiem“ zastęp zwolenników załagodzenia sporu polsko-ruskiego zwiększył się o paru posłów, którzy, kandydując, wysunęli porozumienie narodowościowe w Galicyi Wschodniej, jako punkt swego programu politycznego.

W ten sposób, nie łudząc się co do bliskości zupełnego rozstrzygnięcia kwestyi ruskiej na gruncie galicyjskim, musimy uznać, że sprawa stopniowego łagodzenia stosunków polsko-ruskich w tym kraju staje się obecnie coraz bardziej aktualną. To zaś nakazuje szerszemu ogółowi społeczeństwa naszego dążyć do bliższego zapoznania się z terenem, na którym ścierają się obydwie narodowości.

Najważniejszym zagadnieniem jest tu wzajemny stosunek sił liczebnych Polaków i Rusinów na obszarze, objętym kwestyą ruską w Galicyi. Do niedawna wiadomości, tej sprawy dotyczące, opierały się na wnioskach ogólnych, wysnutych z dawnych spisów ludności, co lat 10 odbywających się w Austryi. Na podstawie tych danych układano mapy, uwidoczniające udział procentowy ludności według wyznania i języka. Ale te mapy i wykazy dotyczyły tylko powiatów sądowych, jako najmniejszych jednostek terytoryalnych, co było najzupełniej niewystarczające wobec skomplikowanych stosunków narodowościowych Galicyi.

Gdyby Galicya przedstawiała kraj o dwóch jednakowo zwartych terytoryach narodowościowych—polskiem i ruskiem—do wyrobienia sobie właściwego pojęcia o rzeczywistym stanie rzeczy wystarczyłyby mapy granicy językowej. Jednakże wobec tej szachownicy językowej i narodowościowej, jaką stanowi Galicya Wschodnia, potrzebna jest mapa, uwzględniająca stosunki już nie powiatów, ale gmin pojedynczych.

Pierwsza taka mapa, sporządzona przez Czörniga w piątym dziesięcioleciu ubiegłego wieku, a wydana w r. 1857 przy jego dziele „Etnographie der österreichischen Monarchie,“ posłużyła za źródło wszystkich niemal późniejszych map—czy to oddzielnie wydanych, czy umieszczanych w rozmaitych atlasach. A jednak mapa Czörniga, pomimo wielkiej pracy, z jaką ją w ciągu niemal 10-ciu lat układano, nie czyniła zadosyć wymaganiom ściśle naukowym. Zaznaczając niezmiernie skrupulatnie wszystkie wysepki niemieckie, Czörnig ignorował znaczną część takichże wysp polskich, co do których powstania nie posiadał dostatecznych danych historycznych. Skutkiem tej błędnej metody Galicya Wschodnia wypadła na mapie Czörniga daleko bardziej ruską, niż jest w istocie, a mniejszości niemieckie zostały na niej zaznaczone w sposób, mogący wywołać wrażenie, że kolonizacja niemiecka była w Galicyi Wschodniej nie słabsza od polskiej. Te same błędy posiada i druga mapa niemiecka, przedstawiająca stosunki językowe Austro-Węgier, a opracowana przez Lemonnicza na podstawie danych spisu ludności z r. 1880.

Polskich opracowań analogicznych nie mieliśmy i dopiero w ostatnich czasach wydano prawie jednocześnie dwie prace, dokładnie przedstawiające stosunki narodowościowe Galicyi według gmin poszczególnych. Mam tu na myśli „Mapę rozsiedlenia ludności polskiej w Galicyi z dodatkiem statystycznym“ inż. *J. Spetta* (Lwów, 1910), oraz „Rozsiedlenie ludności Galicyi według wyznania i języka“ prof. *J. Buzka* (Wiadomości statystyczne, wydawane przez krajowe biuro statystyczne, t. XXI, zes. II, Lwów, 1909). Mapa Spetta, która właściwie ukazała się wcześniej od dzieła Buzka, unaocznia za pomocą odpowiednio dobranych kolorów rozproszenie i siłę procentową ludności polskiej na podstawie spisu ludności z r. 1900. Monografia Buzka wraz z załączonymi do niej wielkiego rozmiaru mapami również opiera się na spisie z r. 1900, lecz zakrojona jest na daleko szerszą skalę i traktuje rzecz wszechstronniej, wobec czego właśnie z jej danymi, dotyczącymi stosunków polsko-ruskich, chcemy zapoznać czytelników.

Granica między zwartymi obszarami narodowościowymi (względnie wyznaniowymi) Polaków a Rusinów w Galicyi rozpoczyna się na granicy węgierskiej — tam, gdzie dział wód między dopływami Popradu — Łomnicą i Wierzchomlą — przypiera do samego Popradu. Stąd idzie przez powiat nowosądecki w kierunku północnym, przy wsi Królowa ruska w powiecie grybowskiem zwraca na wschód i zatrzymuje ten kierunek aż do gmin Odrzechowa i Pielnia w pow. sanockim, następnie zwraca się na północny wschód, przecina powiaty: sanocki, brzozowski, przemyski i jarosławski i dochodzi do Radywna, gdzie zmienia swój kierunek na północno-zachodni, zatrzymując go aż do granicy rosyjskiej — tam, gdzie potok Złotoryszka (dopływ Sanu) wstępuje na terytorium austriackie. Skutkiem tego, że granica między zwartymi terytoriami dwóch narodowości galicyjskich posuwa się (na ogół biorąc) z południowego zachodu na północny wschód, w Galicyi Zachodniej mamy znaczny obszar, należący do terytorium ruskiego, zaś w Galicyę Wschodnią wrzyna się część terytorium polskiego.

Ale gdy w Galicyi Zachodniej obszar ruski stanowi ostro wyodrębnione terytorium o ludności wyłącznie grecko-katolickiej, na pograniczu polsko-ruskim Galicyi Wschodniej ustosunkowanie się wzajemne narodowości (względnie wyznań) jest całkiem odmienne. Wzdłuż całej granicy etnograficznej w Galicyi Wschodniej wciąż odbywała się wzajemna wymiana ludności. To też ludność nadgraniczna jest tutaj bardzo pomieszana. Wzdłuż całej granicy mamy tu na terytorium polskiem liczne wyspy z ludnością ruską, odwrotnie zaś na terytorium ruskiem także same wyspy polskie. Jednocześnie występuje tu inne zjawisko, nie napotykanne w Galicyi Zachodniej. Mianowicie dość znaczna część ludności grecko-katolickiej posługuje się na pograniczu językowym językiem *polskim*. Dziesięć gmin z ludnością przeważnie lub czysto grecko-katolicką należy tu językowo do obszaru polskiego.

Na obszarze zwartych siedzib ludności polskiej (2,506 gmin) mieszka 63.7% ludności polskiej Galicyi. Natomiast 36.3% ludności polskiej mieszka na zwartym obszarze siedzib ludności ruskiej (3,734 gmin). Przeciwnie, Rusini mieszkają wyłącznie na zwartym obszarze ruskim, gdyż zaledwie 0.9% ludności ruskiej mieszka w rozproszeniu na obszarze polskim. Fakt to niezmiernie doniosłości dla kwestyi narodowościowej w Galicyi i dla wzajemnego ustosunkowania się dwóch zamieszkujących ją szcze-pów. Albowiem gdy obszar zwartych siedzib szczepu polskiego

jest naprawdę polskim (ludność polska stanowi tu 97%), to obszar zwartych siedzib szczepu ruskiego (z wyjątkiem części podgórskiej i kilku pomniejszych części tego obszaru) jest właściwie obszarem mieszanym, polsko-ruskim. Po wyodrębnieniu owych powiatów podgórskich ludność ruska tworzy na tym obszarze 60% ludności, ludność polska — 36.6%.

Zwarty obszar szczepu polskiego składa się, jak już wiemy, z 2,506 gmin, z czego 2,365 leży w Galicyi Zachodniej, a 141 w Galicyi Wschodniej (w powiatach politycznych Jarosław, Przemysł, Brzozów i Sanok). Na obszarze tym jest gmin przeważnie polskich 2,467, wobec czego w gminach polskich mieszka 99.5% Polaków, gdy w gminach ruskich zaledwie 0.2% (w gminach niemieckich 0.3%). A więc rozsiadlenie ludności polskiej na obszarze polskim jest nader korzystne — w zupełnem przeciwieństwie do rozsiadlenia ludności ruskiej. W gminach ruskich mieszka tylko 64.3% ludności ruskiej obszaru, ludność ruska zaś stanowi w tych gminach tylko 76.5% ludności tych gmin, natomiast w gminach przeważnie polskich, mieszka 35.7% ludności ruskiej obszaru. To niekorzystne w najwyższym stopniu rozmieszczenie ludności ruskiej powoduje dość częste wypadki jej polonizacji, skutkiem czego z 51,384 osób wyznania grecko-katolickiego, mieszkających w gminach zwartego obszaru polskiego, 23,900 przysiało się do języka polskiego.

Na zwartym obszarze siedzib szczepu ruskiego w Galicyi Wschodniej spis ludności z r. 1900 wykazuje 565 gmin przeważnie polskich, w których mieszka nie mniej jak 28.7% całej ludności obszaru. Ta wysoka liczba gmin językowo polskich pochodzi stąd, że oprócz gmin rzymsko-katolickich polskimi są gminy izraelickie (niemal wszystkie), oraz takie, w których ludność rzymsko-katolicka i izraelicka ¹⁾, przyznające się do polskości, stanowią, razem wzięwszy, więcej niż połowę ludności. Gminy rzymsko-katolickie (względnie polskie) na obszarze ruskim są pod względem narodowościowym bardziej mieszane, aniżeli grecko-katolickie i ruskie. Mniejszości grecko-katolickie (względnie ruskie) w gminach rzymsko-katolickich (względnie polskich) stanowią znacznie wyższy procent ludności, aniżeli odwrotnie. Znacznie większy ułamek ludności rzymsko-katolickiej mieszka w gmi-

¹⁾ W Austrii Żydzi nie są uważani za narodowość, wskutek czego figurują tylko w rubryce wyznaniowej; żargonu statystyka austriacka nie uwzględnia zupełnie.

nach grecko-katolickich, aniżeli odwrotnie. W gminach grecko-katolickich mieszka 451,526 osób rzymsko-katolickiego wyznania, odwrotnie—w gminach rzymsko-katolickich tylko 159,840 grecko-katolików. Cyfry językowe nie uwidoczniają jednakże tak rażącego stosunku, gdyż w gminach ruskich mieszka 469,293 Polaków, natomiast w gminach polskich 297,431 Rusinów.

Rozmaitość wzajemnego ustosunkowania się liczebnego Polaków i Rusinów na zwartym obszarze szczepu ruskiego występuje odmiennie we Lwowie, odmiennie na obszarach dworskich, inaczej po miastach mniejszych, inaczej po miasteczkach, nie mówiąc już o gminach wiejskich w różnych połaciach kraju. Pod względem wyznaniowym we Lwowie i na obszarach dworskich przeważa ludność rzymsko-katolicka, w gminach wiejskich—grecko-katolicka; w miastach poza Lwowem jest najliczniejsza ludność izraelicka, po niej idzie rzymsko-katolicka; w miasteczkach na pierwszy plan wysuwa się grecko-katolicka, nie stanowiąc jednak większości ($\frac{2}{5}$), izraelicka zajmuje drugie miejsce (trochę mniej niż $\frac{2}{5}$), rzymsko-katolicka wreszcie wynosi mało co więcej ponad $\frac{1}{5}$.

Jednakże pod względem językowym we wszystkich gminach miejskich i na obszarach dworskich przeważa ludność polska, w gminach wiejskich zaś ludność ruska. Razem mieszka w gminach miejskich 45.5% całej ludności polskiej obszaru zwartych siedzib szczepu ruskiego, w gminach wiejskich 46.1%, reszta — 8.4%—na obszarach dworskich. Odwrotnie, 88% ludności ruskiej zamieszkuje gminy wiejskie. Stąd prosty wniosek, że ludność ruska jest wyłącznie niemal ludnością wiejską, gdy ludność polska, o ile chodzi o ludność wyznania izraelickiego, przeważnie wiejską, o ile zaś chodzi o ludność rzymsko-katolicką, przeważnie wiejską. Tak więc rozmaitość terytoryalnego nawarstwienia ludności polskiej na obszarze zwartych siedzib ruskich komplikuje się jeszcze rozmaitością społeczną i wyznaniową, cechującą tę ludność.

Ludność miast i miasteczek w Galicyi Wschodniej jest w wysokim stopniu mieszana, tak że ze 190 gmin miejskich jest tu aż 81, w których żadne wyznanie nie posiada bezwzględnej większości. Natomiast na całym tym obszarze niema ani jednej gminy miejskiej czysto-rzymsko-katolickiej, gmin miejskich czysto grecko-katolickich liczymy tu zaledwie pięć, czysto izraelickich—dwie. Ale i te gminy „czyste“ należą do najdrobniejszych — z ilością mieszkańców od 317 do 1,100. Pod względem językowym gminy

miejskie przedstawiają się całkiem inaczej: 122 jest przeważnie polskich, 60 ruskich i 8 niemieckich. ¹⁾

Ludność rzymsko-katolicka ma większość bezwzględną tylko we Lwowie i w Samborze, poza tem zaś w 9 drobnych miasteczkach o charakterze wiejskim. Większość względną ma ludność ta jedynie w trzech miastach większych (Przemysłu, Gródka Jagiellońskim i Trembowli), oraz w 12 pomniejszych miastach i miasteczkach. Skutkiem tego polskość gmin miejskich obszaru ruskiego zależy przeważnie od przyznania się ludności żydowskiej do języka polskiego.

Z 1,439,247 ludności polskiej na obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego mieszka 954,740 w gminach przeważnie polskich, 15,204 w gminach niemieckich (względnie izraelskich), 9,678 w gminach ze względną większością ruską i wreszcie 459,615 w gminach z bezwzględną większością ruską. Gminy ze słabymi mniejszościami polskimi (niżej 30%) są zwykle położone w pobliżu gmin przeważnie polskich lub też gmin z silnymi mniejszościami polskimi, tak iż grupują się około znacniejszych centrów żywołu polskiego. Wskazuje to na pewien system kolonizacji polskiej na Rusi, będący wynikiem rozwoju dziejowego tego procesu.

Jak widać z map, dodanych do pracy prof. Buzka, punktem centralnym osadnictwa polskiego na Rusi jest miasto Lwów wraz z dwiema wyspami w powiecie politycznym lwowskim. Od wysp tych ciągnie się kilka niemal nieprzerwanych smug wysp i silnych mniejszości polskich, stanowiących rdzeń osadnictwa polskiego w Galicyi Wschodniej. Oprócz tych smug głównych mamy w zachodniej części Galicyi Wschodniej jeszcze dwa pasy osadnictwa polskiego, niepozostające w związku z wyspą lwowską, przytykające jednak bezpośrednio do obszaru zwartych siedzib szczepu polskiego. Na wschód od Lwowa leżą najsilniejsze wyspy i kolonie polskie na Podolu galicyjskiem i w powiatach przyległych. Tu wyspy polskie tworzą dwa potężne czworoboki—północny i południowy. Pomiędzy wyżej zaznaczonymi wielkimi centrami i smugami polskimi leżą mniejsze wyspy, wysepki i gminy polskie lub gminy ruskie ze znacznymi mniejszościami polskimi.

Liczba wysp polskich na obszarze zwartych siedzib szczepu ruskiego w Galicyi Wschodniej dochodzi do poważnej cyfry 218.

¹⁾ W 7 z tych gmin niemieckość ich uwarunkowana została przyznaniem się miejscowych izraelitów do języka niemieckiego.

Największą z pomiędzy nich jest lwowska, która liczy 204,248 mieszkańców, z czego na ludność rzymsko-katolicką przypada 55.9%, na izraelską 23.9%, na grecko-katolicką tylko 18.1%. Po lwowskiej idzie przemyska, dalej stanisławowska, samborska, mościska, trembowelska, zbaraska i t. d. Z 218 wysp polskich 130 jest takich, w których ludność rzymsko-katolicka ma bezwzględną lub względną większość, w 53 wyspach przeważa ludność izraelska, w 25 nareszcie ma ludność grecko-katolicka względną, w 10 zaś nawet bezwzględną, choć zwykle nieznaczną, większość.

Wyspy polskie, liczące więcej niż 5,000 ludności rzymsko-katolickiej, obejmują razem 172 gminy; na jedną wyspę tej wielkości wypada więc przeciętnie 8 gmin polskich. Wyspy z ludnością rzymsko-katolicką od 3,000 do 5,000 składają się przeciętnie z 4 gmin polskich, wyspy liczące 2—3,000 ludności rzymsko-katolickiej składają się przeciętnie z trzech, liczące 1,000—2,000—z dwóch, wreszcie wyspy polskie, liczące mniej niż 1,000 ludności rzymsko-katolickiej—z jednej. Otóż w wyspach większych mieszka 52.3% całej ludności rzymsko-katolickiej obszaru zwartych siedzib szczepu ruskiego, w mniejszych zaś tylko 5.1%. W wyspach największych, liczących ponad 5,000 dusz wyznania rzymsko-katolickiego, mieszka 32.3%, t. j. blisko trzecia część całej ludności rzymsko-katolickiej tego obszaru. Z całej ludności rzymsko-katolickiej omawianego obszaru 73.4% mieszka w skupieniu narodowym, 26.6% w odosobnieniu.

Mieszanina wyznaniowa, panująca na zwartym obszarze siedzib ruskich, przyczyniła się do wzajemnej asymilacji Polaków i Rusinów, co wynika z zestawienia ludności rzymsko-katolickiej a polskiej z jednej strony, zaś grecko-katolickiej a ruskiej z drugiej. Według obliczeń prof. Buzka przynajmniej 36,000 osób wyznania rzymsko-katolickiego przyznała się do języka ruskiego, natomiast cyfra osób wyznania grecko-katolickiego, przyznających się do języka polskiego, wyniosła przynajmniej 107,000. Jest to przedewszystkiem wynik asymilującego oddziaływania wielkich skupień miejskich na korzyść Polaków.

Jeśli z obszaru Galicyi Wschodniej wyłączymy powiaty na granicy językowej, mianowicie Lwów i powiat lwowski, to okaże się, że w pozostałych powiatach (45), przeważnie ruskich, mieszka razem 1,153,401 Polaków, o czem muszą pamiętać tak Polacy, jak i Rusini, dążąc do jakiegoś *modus vivendi* na wspólnem terytorjum. Zwłaszcza poważnie musi zaciężyć ten fakt na układaniu słusznej ordynacji wyborczej do Sejmu Krajowego, jeśli znów nie mają być popełnione błędy—na szkodę obydwóch narodowo-

ści—jakie zawiera ordynacya wyborcza do Rady Państwa z dnia 26 stycznia 1907 roku.

Nie zadawalając się statystyką ustosunkowania się wzajemnego ludności obydwóch szczepli w Galicyi Wschodniej, prof. Buzek dotyka w pewnej mierze i jego dynamiki. Tak np. zastanawia się on nad zmianami, jakie zaszły w okresie lat 1880—1900 w roziedleniu się ludności różnych wyznań w tej połaci kraju i przychodzi do następujących wniosków. W całej Galicyi Wschodniej procent ludności rzymsko-katolickiej rośnie. Jeden jedyny wyjątek stanowi powiat lwowski wraz ze Lwowem, gdzie ten procent nieznacznie się obniżył—z 46.5 na 46.2. Najsilniej wzrósł procent ludności rzymsko-katolickiej w powiatach podkarpackich (z 9.3 na 11.1) i podolskich (z 26.5 na 28.1). Naogół, z wyjątkiem powiatów podolskich, wzrost procentu ludności rzymsko-katolickiej większy był w powiatach ze słabym procentem ludności rzymsko-katolickiej niż w powiatach z silniejszym procentem. Procent ten wzrósł we wszystkich gminach grecko-katolickich bez wyjątku, tak samo jak i w gminach ewangelickich oraz izraelickich. Natomiast w gminach rzymsko-katolickich wzrósł procent ludności grecko-katolickiej, gdy procent rzymskich katolików albo się cofnął, albo też pozostał bez zmiany. Wyjątek stanowią tylko powiaty podolskie i naddniestrzańskie, gdzie procent ludności rzymsko-katolickiej podniósł się również i w gminach rzymsko katolickich, gdy procent ludności grecko-katolickiej w gminach tych cofnął się trochę od r. 1880. Najbardziej wzrósł procent ludności rzymsko-katolickiej w gminach izraelickich i mieszanych.

Ten wzrost procentu ludności rzymsko-katolickiej we wschodniej części kraju tłumaczy się w znacznej mierze imigracją ludności z Galicyi Zachodniej do Wschodniej. W latach 1881—1890 z Galicyi Zachodniej wyemigrowało do Wschodniej mniej więcej 81,000 osób. W latach 1890—1900, kiedy emigracya ogarnęła już całą Galicyę, a nie tylko Zachodnią, jak było uprzednio, przewyżka imigrantów wyznania rzymsko-katolickiego do Galicyi Wschodniej nad emigrantami tegoż wyznania wynosiła 35,000 osób. Skutkiem tej imigracyi ludność rzymsko-katolicka w Galicyi Wschodniej rośnie procentowo od spisu do spisu (r. 1857—21.4%, r. 1869—21.8%, r. 1880—22.1%, r. 1890—22.6%, r. 1900—23.5%), gdy grecko-katolicka ciągle się cofa (r. 1857—66.4%, r. 1880—63.4%, r. 1900—62.7%). W ciągu 43 lat żywioł grecko-katolicki cofnął się o 3.66%, gdy rzymsko-katolicki wzrósł o 2.07. Począwszy od r. 1869 coraz większa część ludności rzymsko-katolickiej

(tak samo jak izraelskiej) całego kraju mieszka w Galicyi Wschodniej.

I absolutnie i procentowo rośnie w Galicyi Wschodniej ludność polska pod względem języka potocznego, co unaocznia następująca tabliczka.¹⁾

	1857	%	1880	%
Liczba osób używ. jęz. polsk.	602,312	19.89	1,076,967	28.08
" " " " rusk.	2,017,700	66.62	2,478,210	64.63
	1890	%	1900	%
Liczba osób używ. jęz. polsk.	1,338,899	31.18	1,611,501	33.59
" " " " rusk.	2,753,248	64.12	3,003,294	62.61

Dodać tu należy, że procent ludności ruskiej cofa się i w Galicyi Zachodniej (4.22% w r. 1857, 3.49% w r. 1880, 3.11% w r. 1900).

Przytoczone powyżej liczby i zestawienia jeszcze raz dowodzą, jak skomplikowane są stosunki narodowościowe Galicyi Wschodniej i jak trudnem jest w takich warunkach *modus vivendi*, któryby uwzględniał interesy obydwóch narodowości i czynił zażość słusznym żądaniom politycznym i kulturalnym obydwóch poważnionych szczepów.

LEON WASILEWSKI.

¹⁾ Obejmuje ona tylko ludność austriacką, bez obcych poddanych.

SZTUKA WE FRANCYI.

(Parę słów o krytyce racjonalnej. — Salony paryskie).

Krytyka sztuki nie należy wogóle do zadań łatwych, wymaga bowiem ze strony tego, który się jej poświęca, prócz posiadania odpowiedniej wiedzy i pewnych darów wrodzonych, umiejętności wzniesienia się ponad własne upodobania, nawet do pewnego stopnia ponad własne rozumienie rzeczy, jednym słowem obiektywności, tem trudniejszej do osiągnięcia, że sztuka, która zwraca się i przemawia do naszych zmysłów i uczuć, jako wynik wrażeń i uczuć osobistych artysty, jest z natury swej subiektywną.

Ta trudność jest tem większą, gdy dotyczy produkcji artystycznej doby współczesnej, zbyt jeszcze nam blizkiej. Wmieszani mniej lub więcej osobiście, a więc moralnie zainteresowani w ruchu artystycznym chwili, nie jesteśmy w stanie ściśle odróżnić cech jego niezmiennych, które pozostaną i w przyszłości charakteryzować będą epokę.

Ale na to trzeba, by ruch ten przestał być ruchem, by się skończył. Wtedy dopiero przyszłe pokolenia, wolne od naszych dzisiejszych uprzedzeń, narzucających nam pewien ideał, w danej chwili przyjęty, ale przejściowy i zasłaniający przed naszym wzrokiem te cechy stałe i zasadnicze współczesnej twórczości artystycznej, będą mogły przy współdziałaniu czasu, który usuwa wszystko, co nie ma w sobie zadatków trwałości, i przy pomocy perspektywicznego oddalenia ująć jej syntezę, wyodrębnić istotne kierunki i określić właściwy ich charakter.

Jednakże pomimo to lub dlatego właśnie, że w chaosie, jaki przedstawia okres wytwarzania się kierunków, publiczność tem mniej może się orientować, krytyka ma rację bytu, jest pożyteczną, gdyż służy za wskazówkę, daje poznać i ocenić usiłowa-

nia wspólne lub pojedyncze artystów, staje się więc łącznikiem pomiędzy ogółem a sztuką.

Jak powiedziano wyżej, krytyk powinien umieć wyzbyć się własnych predylekcji i strzedz się swych wrażeń, by potrafić osądzić, wedle ich wartości, nawet dzieła, które mu się nie podobają, które mu nie dostarczają żadnej przyjemności. Inaczej sąd jego byłby tylko wyrazem jego wrażeń osobistych, a więc pozbawionym ścisłej podstawy, bo, jak wiadomo, wrażenia, dostarczone przez ten sam przedmiot, nie tylko różnią się względnie do osób, które ich doznają, ale ulegają też zmianie u tej samej osoby, stosownie do jej chwilowego nastroju. Istnieje wprawdzie krytyka impresjonistyczna, opierająca się wyłącznie na tem wrażeniu osobistem, która ma niewątpliwie swą zasadę, bo wrażenia człowieka, posiadającego zdolność rozumienia i odczuwania dzieła sztuki, wypowiedziane w formie przyjemnej i artystycznej, mogą być zajmujące i nauczające. Ale taka krytyka nie jest krytyką w ścisłym znaczeniu. Na tym punkcie zresztą zapatrywania są różne. Zwolennicy krytyki impresjonistycznej nie uznają krytyki obiektywnej, jako nie dającej się zastosować do przedmiotu tak subiektywnego, jakim jest sztuka, i mają do pewnego stopnia słuszność, gdy się zauważy, iż nawet krytyka najściślej zawiera i zawierać powinna pewną dozę impresjonizmu, w przeciwnym razie, będąc pozbawioną odczuwania, stałaby się mechaniczną. Ale metoda ta, posunięta do swych logicznych konsekwencji, prowadzi do anarchii i jest dla sztuki niebezpieczną.

Z drugiej strony, krytyka, zwana dogmatyczną, narzucając sztuce reguły i formy skończone i arbitralne, wysnute z niezem nieuzasadnionych koncepcji metafizycznych lub ustanowione na podstawie wzorów, jakie dają nam arcydzieła przeszłości, ogranicza ją do naśladownictwa i posilkowania się cudzem natchnieniem, a więc odbiera jej charakter oryginalny i szczeroci i pozbawia tem samem przymiotów zasadniczych, od których zależy istotna wartość dzieła. Pominąwszy stronę wyłącznie techniczną, poszukiwaniem tych to przymiotów zajmować się powinna przede wszystkim krytyka racjonalna. Na czem polega zadanie sztuki? Czem powinno być dzieło sztuki i jak je odróżnić od zwykłego tworu przemysłu ludzkiego? Oto pytania, które teoretycy sztuki, nawet najnowsi, nie zawsze rozwiązują identycznie.

Sztuka, wedle estetyków starej daty, ma za zadanie odtworzyć i ujawnić piękno absolutne, idealne. Ale piękno w tem znaczeniu jest pojęciem abstrakcyjnem, zrodzonym w wyobraźni filozofów i nie mającem kształtów konkretnych; w jakież więc sposób

artysta, który może wyrazić się tylko środkami materyalnymi i podpadającymi pod zmysły, byłby w stanie odtworzyć ideał zmysłom jego niedostępny?

Aby tedy zastosować swe twierdzenia teoretyczne do sztuki w praktyce, estetycy ci musieli się uciec do kombinacji spekulatywnych i stworzyli w ten sposób teorye t. zw. idealistyczne, które, pomimo swej fantastyczności, stanowiły podstawę estetyki, poczynawszy od Platona, aż do Winckelmannna. Według tych teoryj, mniej lub więcej odmiennych, ale w zasadzie do siebie podobnych, artysta, obierając za wzór przedmiot istniejący w naturze, powinien starać się oddać nie kształty jego rzeczywiste, tak, jak się one przedstawiają oku zmysłowemu, lecz kształty doskonałe jego typu idealnego, które musi widzieć oczyma ducha.

Nie mając żadnej miary dla ocenienia, o ile dzieło sztuki zbliża się do tego typu idealnego, którego nikt nie widział, teoretycy ci uznali widomą jego formę w charakterze sztuki greckiej (odnośnie do rzeźby) i sztuki Odrodzenia (odnośnie do malarstwa), które, wedle nich, objawiają piękno absolutu, synonim absolutnej prawdy i absolutnego dobra.

Z tej to konwencji arbitralnej uczyniono dogmat, bez którego cała kunsztownie zbudowana przy pomocy logiki abstrakcyjnej teoria nie mogłaby mieć żadnego zastosowania.

Teoria ta, która odpowiadała zwłaszcza kierunkowi klasycyzmemu w sztuce, uległa z czasem ewolucyi, stosownie do zmian pojęć i gustów, jakie nastąpiły w późniejszych okresach, i wytworzyła w praktyce t. zw. akademizm.

Przez to miano rozumiemy przewagę rutyny w sztuce, narzuconą jej przez pedantyzm szkolny i stosującą się już nietylko do ideałów, ile do modnych w danym czasie form, uznanych przez vox populi za piękne i szlachetne. Akademizm nie wyrzekł się w zasadzie starych przepisów dawnej estetyki, ale w istocie zachował z nich jeden tylko—obowiązek upiększania natury wedle ustanowionej w powyższy sposób modły, sztuka bowiem w oczach wyznawców tego kierunku nie jest czem innym, tylko upiękzoną reprodukcją natury. Taka definicya sztuki, prowadząca w swych logicznych konsekwencyach do najdziwaczniejszych wywodów dla jej uzasadnienia w teoryi i spotykająca się mimo to nieustannie z zaprzeczeniem ze strony istotnej rzeczywistości, pochodzi z pomieszania pojęcia piękna w naturze z pojęciem piękna w sztuce. Błąd ten jest zresztą wspólny najsprzeczniejszym kierunkom w teoryi sztuki. Znajdujemy go zarówno u idealistów klasycznych i u ich spadkobierców, zwolenników akademizmu, jak i u najza-

wziętych przeciwników tychże—realistów, naturalistów impresjonistów i t. p. Co więcej, ten sam błąd daje się zauważyć, dość często nawet, u tych estetyków i krytyków, którzy rozróżnienie tych pojęć przyjęli za podstawę swych zasad i sądów, do tego stopnia jest on w umysłach ludzkich instynktownie zakorzeniony. Jak idealiści, mając na widoku ideał abstrakcyjny lub konwencyonalny, który umieścili ponad lub poza naturą, żądali od sztuki poprawiania natury w swych dziełach, stosownie do tego idealnego wzoru, tak znowu realiści, dla których ideałem jest sama natura, widzieli zadanie sztuki w możliwie najbliższem i najściślejszem jej naśladowaniu. Stąd dla jednych i dla drugich temat, przedmiot, anegdota mają w dziele sztuki znaczenie przynajmniej równorzędne z myślą w niem zawartą i z wykonaniem. Idealisci dopuszczali tylko t. zw. tematy szlachetne, jako godne sztuki. Realiści, uznając w zasadzie, że wszystko, co istnieje w naturze, jest godnem odtworzenia w sztuce, dawali w istocie pierwszeństwo tematom i przedmiotom pospolitym z wyłączeniem wszystkiego, co mogłoby mieć w objawach lub typach charakter szlachetniejszy. Na tej drodze pierwsi doszli do fałszywego, konwencyonalnego sentymentalizmu i intelektualizmu, drudzy ugrzęźli w trywialnej pospolitości. Jedni zaś i drudzy, wychodząc z tych samych fałszywych premis, pomylili się co do istoty sztuki i szczególnie zacieśnili jej zakres. Szczęściem jednak artyści prawdziwi nie kierują się teoryami, choćby nawet je wyznawali, lecz ulegając instynktownej sile swych władz twórczych, tworzą, niezależnie od wszelkich rozumowań, dzieła, wybiegające poza zakreślone granice i zadające kłam regułom.

I w istocie teorye, które przyczyniają się do zamącenia lub wyjaśnienia, w miarę swej większej lub mniejszej paradoksalności, pojęcia o sztuce i jej zadaniu, nie mają więcej wpływu na jej rozwój, niżeli prawa astronomii na bieg ciał niebieskich. Pomimo swych pretensyi do kierownictwa (co się tyczy sztuki), teorya w takim wypadku jest w samej rzeczy tylko usystematyzowaniem objawów od niej niezależnych i ma o tyle znaczenie, o ile we wnioskach, z nich wyciągniętych, z tymi objawami się zgadza. Ale twórcy teoryi sztuki i ich komentatorowie, posiadający apriorystyczny ideał piękna, musieli je do tego ideału dostroić i w razie, gdy się to nie dało osiągnąć zwykłą drogą logicznego rozumowania, uciec się do sofizmatów, twierdzeń arbitralnych i dogmatów. Tymczasem, jeśli weźmiemy pod uwagę różnicę, jaka zachodzi pomiędzy pięknem naturalnem a pięknem artystycznym, postawimy zaraz na gruncie racjonalnym tę tak

niepotrzebnie zagmatwaną kwestyę, czem jest sztuka i jakim jest jej zadanie. Nic zaś tej różnicy nie wyjaśnia w sposób prostszy i oczywistszy, jak znane określenie Kanta, któremu on zresztą sam nie był wiernym w swych teoryach, mianowicie, że „piękno naturalne jest to rzecz piękna, gdy piękno artystyczne jest to piękne przedstawienie rzeczy.“ Pominąwszy narazie definicyę samego piękna, zauważmy w tem uderzająco trafnem, przy swej zwięzłości, choć nieco niezupełnem określeniu dwa punkty, rujnujące wszystkie teorye arbitralne, zarówno idealistyczne, jak i realistyczne — 1-o piękno artystyczne jest pięknem przedstawieniem rzeczy wogóle, nie zaś tylko rzeczy „pięknej“; 2-o piękno artystyczne, będąc „przedstawieniem“ rzeczy, nie spoczywa w samym dziele sztuki, przyjętem jako przedmiot sam w sobie, jako „rzecz“, lecz wynika z czynności twórczej, dokonanej przez artystę i uwidocznionej w tem dziele. I to daje nam odrazu tłómaczenie ogólnie stwierdzonego zjawiska, którego żadna teorya apriorystyczna wytłómaczyć nie jest w stanie, że „podziwiany w dziele sztuki przedmiot lub objaw, którego nie podziwiamy w naturze.“ Bo w istocie nie podziwiany tego przedmiotu lub objawu, lecz jego odtworzenie, a więc czynność artysty, a po przez nią uczucie lub myśl twórczą tegoż. To samo dzieje się zresztą, gdy przedmiot przedstawiony należy do tych, które nam się w naturze podobają. I wtedy bowiem, w dziele sztuki podziwiać będziemy nie sam przedmiot, który w najgenialniejszym odtworzeniu jest tylko pozorem i nie może mieć właściwości naturalnych swego wzoru, lecz jedynie umiejętność wyjawienia nam wzruszeń estetycznych, jakich doznawał artysta i których przedmiot ten w naturze, czy to był powodem, czy też przez analogię lub jako symbol, posłużył za środek ich wyrażenia w sztuce. Jedną z głównych, jeżeli nie jedyną właściwością, która każe nam podziwiać naturę, jest jej życie istotne w świecie zwierzęcym i roślinnym lub pozorne, objawiające się w ruchu zmiennych efektów świetlnych, a więc i barwnych, w jakich ukazuje się nam natura martwa.

Tego życia prawdziwego sztuka dać nie może, conajwyżej daje nam jego złudzenie, któremu ulegamy dobrowolnie. Ale mógłby kto zauważyć, że to stosuje się tylko do sztuk, zwanych naśladowczemi, t. j. rzeźby i malarstwa, lecz jakże zastosować, co wyżej powiedziano, do architektury i muzyki, czyli sztuk symbolicznych, które nie nie naśladowują?

Pominąwszy fakt, że i te sztuki symboliczne nie wyłączają w zupełności naśladownictwa, a przynajmniej pewnych analogii z naturą zewnętrzną, zauważmy, iż pierwsza odtwarza pojęcia

lub poczucia, druga — wzruszenia i nastroje wewnętrzne swych twórców, a więc objawy, właściwe naturze ludzkiej i przeto naturalne, których wyraz artystyczny, a w nim myśl twórczą podziwiamy albo w harmonii linii architektonicznych, albo w harmonii dźwięków.

Reasumując powyżej powiedziane, możemy stwierdzić, że gdy w naturze dany przedmiot podoba się nam sam przez się dla zalet, jakie mu przypisujemy, dzieło sztuki podoba nam się niezależnie od przedmiotu, jaki przedstawia, dla zalet jego twórcy, jakich w niem dał dowody. Innemi słowami, w dziele sztuki podziwiamy wyłącznie geniusz artysty. Na tym punkcie zgadzają się wogóle wszyscy zwolennicy estetyki racjonalnej, t. j. tej, która, według określenia *Verona*, nie jest „nauką o pięknie,“ lecz „nauką, mającą za przedmiot studyum filozoficzne objawów geniuszu artystycznego.“ Jednakże definicje ich piękna w sztuce, dzieła sztuki i samej sztuki różnią się niekiedy dość znacznie, ale raczej w sposobie ujęcia przedmiotu, niżeli w zasadzie.

Pawel Gaultier piękno wogóle (lub piękność—la beauté) nazywa „wzruszeniem przyjemnem, jakiego doznajemy wobec rzeczy, którą uważamy za piękną.“ *Veron* określa sztukę, jako manifestację wzruszenia, wypowiadającego się na zewnątrz albo przy pomocy kombinacji linii, form lub barw, albo za pośrednictwem szeregu ruchów, dźwięków i słów, poddanych odpowiednim rytmom.“

Według *Wiktora Cherbuliez*, dzieło sztuki „jest wytworem wyobraźni, kierowanej przez rozum,“ albo „obrazem, ułożonym i harmonijnym, którego oryginału dostarczyła natura lub życie ludzkie; który zawiera w sobie zarazem więcej i mniej, niż wzór, i który podoba nam się zarówno z powodu rzeczywistości, jaką posiada, jak i ze względu na tę, której mu brak.“ W tem ostatniem, zresztą dość zawilem i niejasnem określeniu, widzimy, że *Cherbuliez*, który, w swem skądinąd wybornem studyum „*L'Art et la nature*,“ traktuje stosunek sztuki do natury bardzo jasno i z dobrem zrozumieniem rzeczy, zdaje się przywiązywać zbyt wiele wagi do pierwiastku naśladowczego pierwszej, a nawet miesza pojęcie sztuki z pojęciem natury, zwłaszcza, gdy mówi w tenże studyum, że sztuka jest to natura odwikhana i skoncentrowana,“ dając tem zresztą definicję, przy swej nieściśłości, nader trafną, przynajmniej z tej strony stosunku sztuki do natury, jeżeli tylko wyraz „natura“ przyjmiemy w znaczeniu „przedstawienie natury.“

Najściślejszym w swych wywodach jest *Andrzej Fontaine* („*Essai sur le principe et les lois de la critique d'art*“), który sprowadza swe definicje do zupełnej jedności i prostoty. Według niego, cała istota sztuki spoczywa w „myśli twórczej“, od której wszystko w sztuce zależy; do której wszystko się ściąga; poza którą wszystko inne jest tylko znakiem umówionym, środkiem jej wyrażenia i ma znaczenie tylko w stosunku do jej wartości. Wychodząc z tej zasady, daje on definicje niezmiernie uproszczone w swej ścisłości, z wyjątkiem wszakże definicji piękna (w sztuce lub piękności), która szwankuje nieco na tym ostatnim punkcie. Nie mówiąc już o pięknie absolutnem, którego określenie pozostawia metafizykom, twierdzi A. Fontaine, że piękno wogóle jest pojęciem najbardziej nieściśłym i niejasnym, najbardziej subiektywnym, a przeto najłatwiej prowadzącym do interpretacji sprzecznych, wikłających kwestyę zamiast ją wyjaśnić. To też ogranicza się on do pojęcia piękna w sztuce, jedyne, które nas w danym razie zajmuje, i określa je, jak następuje: „Piękno (w sztuce) jest to wyraz zupełny i równoznaczny myśli, jaknajbardziej oryginalny, przenikliwy i harmonijny.“ Dalsze definicje, jak to zaraz zobaczymy, o wiele więcej nas zadowolnią: „Sztuka jest to wyraz myśli dla niej samej,“ zaś „dziełem sztuki jest dzieło, które urzeczywistnia lub stara się urzeczywistnić myśl twórczą i które znajduje pierwiastek swego piękna w wartości tej myśli.“

Ale w definicyach tych uderza nas przedewszystkiem to, że ich autor pierwiastkiem sztuki czyni myśl z zupełnem wyłączeniem uczucia, wzruszenia i wrażliwości, w których zwykliśmy widzieć pierwszy i rzeczywisty, jeżeli nie jedyny czynnik, pobudzający władze twórcze. Stąd teoria jego grzeszy, przynajmniej napozór, intelektualizmem, sprzeciwiającym się do pewnego stopnia rzeczywistości, jaką w produkcjach sztuki wogóle możemy zaobserwować. I zapewne takie pominięcie strony intuicyjnej w twórczości artystycznej jest dość ryzykownem i byłoby błędem zasadniczym, gdyby nie to, że w istocie to jej pominięcie jest raczej pozornem, a w każdym razie nie jest bynajmniej jej negacją. Autor nie zaprzecza znaczenia czynnikom uczuciowo-wraźniowym w procesie powstania dzieła sztuki, ale dla nieobciążania swych definicji, opuszcza je, jako domyślnie objęte w określeniu „myśl twórcza“ i wogóle „myśl.“ Niewątpliwie pierwszą pobudką myśli twórczej są owe czynniki intuicyjne, działające w głębi naszej istoty duchowej, niezależnie od naszych władz umysłowych, ale same przez się, gdyby się w niej nie skupiły, nie mogłyby

wyrazić się na zewnątrz, pozostałyby w stanie nieokreślonym i półświadomym, jak to bywa u ogółu ludzi, którzy widzą, czują i doznają wrażeń, podobnie jak artysta, a jednak tworzyć dzieł sztuki nie są zdolni. Artysta różni się zatem od ogółu ludzi nie tyle, a w każdym razie nie tylko większą wrażliwością, większą zdolnością odczuwania, jak się wogóle przywykło sądzić, ale przede wszystkim tą zdolnością, jakiej brak nie-artysty, ujęcia swych wrażeń i skryształowania ich w myśli twórczej, która pozwala mu nadać im kształty widome i złożyć z nich całość harmonijną. Żadna bowiem czynność, o ile nie jest czysto mechaniczną i odruchową, nie może być wykonaną bez uprzedniej myśli, która najpierw ją wyobrazi, a później nią pokieruje. Zatem myśl twórcza jest rezultatem i pierwszą wewnętrzną realizacją wrażeń artysty. Od niej zależy powstanie dzieła i ona to stanowi „geniusz artystyczny.“ Widzimy stąd, że sprowadzając wszystko w sztuce do wyrazu myśli, A. Fontaine bynajmniej się nie pomylił co do jej charakteru. Przeciwnie, okazał się ściślejszym w swych określeniach i wywodach od innych współczesnych teoretyków sztuki. Porównajmy np. jego określenie sztuki — „wyraz myśli dla niej samej,“ z określeniem Verona, który, pomimo użycia o tyle większej liczby słów, nie zaznaczył jej charakteru głównego, mianowicie jej bezcelowości, co u Fontaine'a wyraża się w słowach „dla niej samej.“ Sztuka odznacza się tem przede wszystkim, że nie ma żadnego przeznaczenia praktycznego, nie jest użyteczną, przynajmniej nie jest nią w swej istocie, pomimo, że ludzie posłużyli się nią dla uprzyjemnienia i ozdoby warunków swego życia. Słuszność ma Cherbuliez, gdy mówi, że „sztuki są w całym tego słowa znaczeniu wiedzą zbytkowną.“ „Architektura wprawdzie dostarcza zamieszkania bogom i ludziom, ale najzwyczajniejszy dom bez ozdób architektonicznych daje takie samo schronisko, jak najpiękniejszy pałac lub najozdobniejsza świątynia. Zniszczcie wszystkie obrazy, wszystkie posągi, wszystkie wiersze, a nie ubędzie wskutek tego jedno ziarno w polu; zniszczcie jedną gałąź przemysłu, a świat odczuje to zaraz w swym dobrobycie.“ Ale tenże Cherbuliez mówi też, że przeznaczeniem sztuki jest „dostarczać nam przyjemności“ i takim jest zdanie, przyjęte wogóle przez estetyków wszelkich szkół, którzy przypisują jej również to zadanie umoralniające, to kształcące i t. p.

Otóż przeczy temu Fontaine. Ze sztuka nie ma na celu objawienia piękna absolutnego, że nie jest moralną, ani kształcącą, tego dowiedli już inni. Są dzieła sztuki, których przedmiot jest brzydki, a nawet wstrętny; są też obojętne pod względem moral-

nym, lub przedstawiające sceny niemoralne, jak są również, z których żadnej nauki wyciągnąć nie można. Przypisywanie tych różnych celów sztuce pochodzi z nieporozumienia, wskutek którego uzależniano wartość dzieła od znaczenia anegdotycznego jego przedmiotu, t. j. z błędu, którego dopuścić się mogą obecnie tylko ludzie zupełnie sztuce obcy, chociaż trafia się to jeszcze niekiedy krytykom, ale jedynie jako odruchowa reminiscencya pojęć minionych, lecz zakorzenionych. Wszakże co się tyczy „dostarczania przyjemności,” to chyba przed Fontaine’em nikt jeszcze temu nie zaprzeczył. Prawda, że dzieła sztuki przeważnie sprawiają nam zadowolenie, przyjemność lub, wyrażając się z większym entuzjazmem, rozkosz estetyczną, ale są również i takie, które pozostawiają obojętnym człowieka najlepiej obznajmionego z daną sztuką i najbardziej na nią wrażliwego, lub nawet sprawiają mu przykrość. Daje się to szczególnie zauważyć w muzyce, jako objaw dość pospolity. I cóż stąd za wnioszek? Oto, że jeżeli sztuka nie zawsze sprawia zadowolenie, zatem nie jest to jej istotną właściwością i nie może być jej przeznaczeniem. Zapewne można powiedzieć, że takie nieodczuwanie prawdziwego dzieła sztuki przez człowieka odpowiednio rozwiniętego i wykształconego w danym kierunku, jest wynikiem niezgodności jego temperamentu z temperamentem twórcy dzieła, ale to rzeczy nie zmienia — fakt pozostaje faktem, pomimo wyjaśnienia jego powodów.

Tem też tłumaczyć trzeba zadziwiająca pomyłki w sądach, popełniane czasem przez ludzi najkompetentniejszych. Jeżeli zatem sztuka nie ma żadnego określonego przeznaczenia ani celu, to czem tłumaczyć sobie, że ma wogóle tak wysokie uznanie; że są ludzie, którzy jej poświęcają życie; że są inni, którzy ją cenią nadewszystko?

Objaw ten niezaprzeczalny i stwierdzony we wszystkich znanych okresach dziejów świata, u wszystkich ludów i na wszystkich stopniach rozwoju kultury człowieka nie da się wyjaśnić inaczej, jak tylko potrzebą jego ducha, który stara się wyrazić na zewnątrz najodpowiedniejszymi sobie sposobami, co wewnątrz odczuwa, i z drugiej strony — atrakcją, jaką ten wyraz myśli twórczej artysty wywiera na ogół ludzi. Przyjemność niepozbawiona goryczy, której przy tworzeniu doznaje artysta, nigdy ze swego dzieła całkowicie niezadowolony, równie jak zadowolenie estetyczne, które przeważnie przyczynia nam odkrycie w dziele sztuki myśli twórczej autora i za jej pośrednictwem odczucie jego wrażenia, wzruszenia lub nastroju — są to uczucia bezinteresowne.

Zadowolenie twórcze artysty nie zależy bynajmniej od zysku, jaki mu przyniesie wykonanie dzieła, ani również od uznania i sławy, których się po niem może spodziewać. To wszystko odgrywa ważną rolę w karierze artysty, może być bodźcem do pracy, ale z jego istotną potrzebą twórczą wspólności nie ma, bo ta jest funkcją jego ducha samą dla siebie. Artysta tworzyć będzie, choćby mu to nie przynosiło żadnej korzyści, ani materialnej, ani moralnej, bo skłania go do tego instynkt; czyni to tak samo bez celu, jak ptak, który śpiewa. I nie osłabi tego porównania fakt, że ptaki śpiewają przeważnie w okresie parzenia, czyż bowiem sonet, który poeta ułożył dla kochanki, a więc pod wpływem instynktu miłosnego, przestaje dlatego być wyrazem jego myśli twórczej? Bynajmniej, tylko instynkt twórczy został w danym razie pobudzony u niego przez instynkt miłosny lub, wyrażając się innymi słowami, miłość wywołała w nim nastrój artystyczny, tak samo, jak mogłoby wywołać w nim również nastrój artystyczny uczucie żalu, zgrozy i t. p. i, podobnie jak instynkt twórczy, może być pobudzonym przez wrażenie odebrane od innego rodzaju sztuki lub od natury zewnętrznej. Również, by doznać zadowolenia lub wrażenia estetycznego od dzieła sztuki, nie potrzebujemy posiadać go na własność. Tu znajduje się punkt styyczny pomiędzy wrażeniem artystycznym, doznaniem od dzieła sztuki, i tem, które odbieramy bezpośrednio od natury. Jest ono równie bezinteresownem. Widok pól, lasów, gór lub morza może nas czarować, zachwycać lub budzić grozę, niezależnie od ich posiadania lub nie-posiadania i niezależnie od ich wartości materialnej albo korzyści, jakie przynoszą.

Wynika stąd, że w sądach o dziełach sztuki nie można kierować się ani większą lub mniejszą przyjemnością, jakiej od nich doznajemy albo nie doznajemy, ani żadnymi względami utylitarnymi lub moralnymi, bo to wszystko z istotą sztuki nie wspólnego nie ma i o ich wartości stanowić nie może.

Jakaż więc jest miara, według której możemy ocenić dzieło sztuki bez obawy pomyłki?

Miary takiej w ścisłym znaczeniu niema. Jednakże, jeżeli przyjmiemy określenie A. Fontaine'a dzieła sztuki, że „jest to dzieło, które urzeczywistnia lub usiłuje urzeczywistnić myśl twórczą i którego piękno jest wynikiem tej myśli,“ i gdy określimy, jakie są właściwości myśli twórczej, przy których pomocy odnajdziemy ją w rozpatrywanem dziele, to tem samem będziemy mieli rodzaj probieża, który nam pozwoli skontrolować i poprawić, co w naszych sądach osobistych może być zbyt subiektywnem lub

skrzywionem przez mimowolnie na nas działające względy postronne.

Probież taki podaje Fontaine w swych prawach pozytywnych krytyki sztuki, które brzmią, jak następuje:

1-o „Wartość dzieła sztuki znajduje się w stosunku prostym do indywidualności, przenikliwości i rozumienia, które stanowią życie myśli twórczej.“

2-o „Wartość dzieła sztuki znajduje się, z drugiej strony, w stosunku prostym do zgodności wyrazu z myślą.“

Rozwijając swą teorię, powiada dalej jej autor, że trzem właściwościom myśli twórczej: indywidualności, przenikliwości i rozumieniu, odpowiadają trzy właściwości estetyczne lub formy piękna—ładne, piękne i wzniosłe.

A zatem ładnem będzie dzieło, w którym autor stara się podobać, t. j. wywrzeć wrażenie przyjemne za pośrednictwem rysów zewnętrznych, charakteru powierzchownego przedmiotu. Wartość jego będzie zależną od stopnia indywidualności, jaką artysta potrafi nadać wyrazowi dzieła, co daje się poznać w charakterze tegoż, który je odróżnia dość wybitnie od dzieł innych, zwłaszcza we wrażeniu świeżem i formie oryginalnej.

W dziele pięknem artysta nie zadowolni się rysami zewnętrznymi, a nawet do pewnego stopnia je podporządkuje ukazaniu właściwości głębszych, wewnętrznych przedmiotu. Im więcej prztem okaże przenikliwości, która ujawnia się w prawdzie wyrazu i w pewnym, zniewalającym uroku dzieła, tem większą będzie jego wartość artystyczna.

Dzieło wzniosłe wymagać będzie od artysty jaknajwięcej wszechstronnego, szerokiego objęcia przedmiotu, wyższego pojmowania objawów życiowych, większej kultury umysłowej i duchowej, jednym słowem, szczególnego rozumienia, które pozwoli mu wyrazić myśl podniosłą, głęboką lub potężną. Jego charakterem jest synteza. Rozumienie, jakiego artysta da dowody w wyborze rysów najbardziej znamiennych i niezmiennych, z poświęceniem wszystkiego w szczegółach, co mogłoby rytm ich przerywać, zmniejszać powagę lub osłabiać potęgę, będzie stanowił o wartości takiego dzieła. Rozumienie takie w myśli twórczej dzieła objawia się w sile jego suggestywności i w szerokości traktowania. Jednocześnie, jak opiewa drugie prawo Fontaine'a, wyraz w dziele sztuki odpowiadać powinien myśli twórczej, inaczey dzieło nie ma jedności, nie jest harmonijnem i nie osiąga celu, gdyż nie sprawia wrażenia, jakiego po jego założeniu mamy prawo oczekiwać, a przeto razi nas swą niekonsekwencyą. Zna-

czy to, że np. dzieło, którego założenie (myśl twórcza) dąży do wrażenia wzniosłego, nie może być wyrażone w sposób odpowiadający dziełu, mającemu na celu podobać się swą stroną powierzchowną, i naodwrot.

Ze swej strony wyraz (t. j. sposób wyrażenia myśli twórczej) powinien odpowiadać pewnym wymaganiom, mianowicie: 1-o być możliwie jaknajbardziej jasnym, 2-o być samorzutnym. To są dwa główne przymioty wyrazu. Pierwszemu, t. j. jasności, zdaje się zaprzeczać sztuka symboliczna, która podstawą swego wyrazu i jego największą zaletą uczyniła właśnie przeciwieństwo jasności—nieokreślanie myśli wprost i bezpośrednio, lecz jej podsuniecie, podszeptanie, za pomocą czy to niedopowiedzenia, czy to symbolów (teorie estetyczne Maeterlincka i Mallarmé'go). Ale sprzeczność jest tu raczej pozorna, niż rzeczywista, bo sposób wyrażania się symbolistów ma wyłącznie na celu wywołać nastrój tajemniczy lub oddać to, co w duszy człowieka jest niepewnego, nieokreślonego, nieświadomego; jego wspomnienia, pragnienia, zachwyty lub obawy pozaświatowe, mistyczne. Cel ten symboliści osiągają, wyraz, którym się posługują, celowi temu odpowiada, jest więc zrozumiały, traci przeto swój charakter niewyraźny, a zatem w gruncie rzeczy odpowiada wymaganiu jasności.

Samorzutność jest to łączność bezpośrednia wyrazu z myślą, a więc odbywająca się bez pomocy środków, które skrzywiają lub fałszują myśl. Do takich środków pośrednich należy przede wszystkim posługiwanie się formami piękną, uświęconemi przez tradycję i narzuconemi sztuce przez ten lub inny kierunek w postaci formułek szkolnych.

Oto są wskazówki, które ułatwić mogą znacznie orientację przy ocenie dzieła. Jednakże nie można stosować ich zbyt absolutnie, bo w rzeczywistości dzieła sztuki nie dzielą się zawsze na kategorie tak ściśle rozgraniczone. Najczęściej te różne właściwości łączą się i mieszają w jednym i tym samym utworze, trzeba więc najpierw je rozróżnić, następnie porównać, by się przekonać, która z nich góruje nad innymi i nadaje dziełu charakter przeważny, poczem dopiero według tego sądzić można o jego wartości. Rzecz prosta, że im charakter dzieła będzie mniej złożonym, prostszym, tem więcej będzie ono przemawiającem, wyraz jego jaśniejszym, myśl twórcza wyraźniejszą, ściślejszą i, co za tem idzie, tem wyżej je będziemy cenili w stosunku do utworu o charakterze skomplikowanym, niezdecydowanym lub dwuznacznym.

Składinąd takie ukłasyfikowanie dzieł sztuki, w stosunku do form piękną, przywraca, przynajmniej z pewnej strony, znaczenie

tematowi dzieła, przesadnie przez nowszych teoretyków pod wpływem zasad realizmu lekceważonemu. Bo jeżeli prawdą jest, że drobny szkic martwej natury, wykonany z charakterem, więcej będzie miał wartości artystycznej, niż wielka kompozycja allegoryczna bez wyrazu, to niemniej nie ulega wątpliwości, że wysiłek myśli twórczej, potrzebny dla wykonania obrazu przedstawiającego parę butów, nie będzie równał się temu, jakiego wymaga koncepcja kompozyty, mającej za przedmiot, dajmy na to, zwycięstwo ducha nad materją.

Znowu więc, chcąc nie chcąc, powracamy do tradycyjnego, choć zapewne więcej racjonalnego rozróżniania tematów wyższych i niższych w sztuce, stosownie do wysokości wymaganych przez nie przymiotów myśli twórczej. Bo tak to jest na świecie, że prawda, choćby długi czas zapoznawana, prędzej czy później prawa swe odzyskać musi.

Co się tyczy tradycyi, to zauważyliśmy, że A. Fontaine czyni z posługiwania się tradycyjnymi formami piękna jeden z grzechów głównych przeciw wyrazowi dzieła, odbierający mu samorzutność, czyli bezpośredniość myśli, i ma słuszność. Wszakże i tu trzeba zrobić pewną restrykcyę. Jest tak, jak mówi Fontaine, ale tylko, jeżeli artysta jest przytem prostym naśladowcą, jeżeli formy tradycyjne przyjął sobie jako manierę z powodu braku indywidualności własnej; jeżeli jest to u niego wynikiem przejęcia się rutyną i szkolnemi formułkami. Ale taki artysta nie stworzy nic wybitnego w przyjętej manierze, będzie zawsze tylko słabem, sfałszowanym i zepsutem odbiciem swego wzoru, bo warunkiem koniecznym prawdziwego dzieła sztuki jest szczerokość, której mu brak. Artyści, którzy tak czynią, dowodzą tem, że albo tradycyi, która w istocie na naśladowaniu nie polega, nie rozumieją i fałszują ją wskutek nieudolności, albo mają w tem cel postronny i sztuce obcy. Takich jest legion. Ale trafiają się również, wprawdzie jako wyjątek, artyści, których temperament, oraz wszystkie upodobania estetyczne, naturalne i nabyte przez kulturę, skłaniają do pewnych form minionych, które umiłowali do tego stopnia, że za ich tylko pośrednictwem pragną swą twórczość wyrazić i, zadowolając to pragnienie, tworzą dzieła piękne, nieustępujące arcydziełom dawnych w tej formie mistrzów. Czyniąc to, są oni zupełnie szczerzy. Cóż wtedy? Czy mamy dzieła ich zaliczyć do sztuki niższego rzędu? Byłoby to niesłuszne i niesprawiedliwe. I w rezultacie, dlaczego artysta nie miałby prawa wyrazić się w formie, jaka mu się podoba? Odbierając mu tę wolność, narzucaloby mu się tem samem pewne formy z wyłączeniem

innych, a przecież nie to, czy forma jest nową, czy tradycyjną, lecz że jest narzuconą, obniża wartość dzieła. Zatem dzieło takie powinniśmy sądzić, nie bacząc na to, że przypomina tę lub inną szkołę minioną, lecz tylko według tego, czy posiada lub nie warunki wymagane od dzieła sztuki. Ale tylko takiego powrotu do dawnych szkół zalecać nie można, bo jeżeli trafi się, jako wyjątek, artysta szczególnie w tym kierunku uzdolniony, którego indywidualność, pomimo całego podobieństwa do starych mistrzów, zawsze się w jakimś rysie lub charakterze dzieła objawi, to dla ogółu byłoby to tylko pretekstem do tworzenia produkcji manierycznych, banalnych i bez żadnego charakteru, jak tego mieliśmy i mamy aż nadto przykładów. Dodajmy tylko, że rezultat jest na tym punkcie identyczny, czy naśladowanie odnosi się do szkół dawniejszych, czy do współczesnych.

*

*

*

Przekonamy się o tem natychmiast, gdy zajrzemy do wielkich wystaw dorocznych, gdzie rozpościera się najnowsza produkcja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych. Salony paryskie, które gromadzą co roku największą liczbę dzieł tego rodzaju, uderzają zaraz na wstępie dwiema charakterystycznymi cechami, które na pozór mogłyby się wydawać sprzeczne, mianowicie — indywidualizmem i brakiem indywidualności. Indywidualizm ich polega na tem, że w całej tej masie produkcji nie można rozróżnić żadnego przeważającego kierunku, żadnej dyrektywy. Z wyjątkiem niewielkiej liczby jednostek, które, dzięki wyższym przymiotom swego talentu wyodrębniły się, lecz idą samopas, nikomu nie przewodnicząc, wśród ogółu artystów, pozostających poniżej lub na pewnym poziomie, każdy przeważnie naśladuje, kogo mu się podoba, każdy, a przynajmniej większość, wyraża się manierą cudzą, nie kładąc w nią nic z siebie. Stąd przy różnolitości typu, brak charakteru, brak wyrazu. Wprawdzie panuje akademizm, rutyna i formułka, ale i to nie nadaje innej jedności produkcji dzisiejszej, prócz chyba tej, która wynika z ogólnego wrażenia nudy i niesmaku, jakie ją cechują.

Dziełem najwybitniejszym w Salonie Towarzystwa Narodowego sztuk pięknych (Société Nationale des Beaux Arts) jest pla-

fon *Alberta Besnard*, przeznaczony do teatru Komedyi Francuskiej, a właściwie część plafonu. Kim jest Albert Besnard, to czytelnicy przeważnie wiedzą, bo była o nim mowa wielokrotnie na tem miejscu. Przypominamy więc tylko, że jest on jednym z najpierwszych mistrzów wielkiej dekoracji w dzisiejszem malarstwie francuskim. Dzieła jego zdobią wiele gmachów publicznych, a z pośród nich najbardziej wyróżnia się szereg kompozycji, tworzących świetną całość dekoracyjną, przeznaczoną do kopuły małego pałacu sztuki (*Petit Palais*), w którym mieści się muzeum miasta Paryża. Plafon, umieszczony na wystawie przy ścianie prostopadłej, przedstawia się w niewłaściwych warunkach perspektywicznych, a przy rozmiarach, jakie posiada płótno Besnarda, brak mu dostatecznego oddalenia, traci przeto na efekcie, który dopiero w miejscu przeznaczenia da się prawdziwie ocenić. Kompozycja, jak się można domyślić, symbolizuje sztukę dramatyczną. W koncepcyi tej artysta nie wyszedł poza granice tradycyjnie przyjęte, tylko ograniczył nieco pierwiastek allegoryczny, a dla wyrażenia właściwego symbolu obrał temat bardzo stary i dość zużyty, chociaż chyba w tem znaczeniu nigdy nie stosowany, ale zawierający w sobie cały dramat ludzki—historję skuszenia Adama i Ewy. Wielkie, zwichrzone, ciemne, obłamane, jak gdyby rażone piorunem drzewo wiadomości złego i dobrego. Wśród jego konarów olbrzymi, klasycznie piękny tors kusiciela, zakończony oplatającym pień węzowym ogonem. Pod drzewem, Ewa stoi wsparta głową o pierś Adama, któremu patrzy w oczy z niepewnością co ma uczynić, podczas gdy jednocześnie przyjmuje w dłoń wyciągniętą fatalne jabłko z ręki szatana. Adam, o kształtach olbrzymich i ociążałych, patrzy ponad nią na przedmiot nieznanych dotąd pożądlivosti z wyrazem brutalnie bezmyślnej uciechy. U stóp drzewa pies, wierny od początku przyjaciel i obrońca rodu ludzkiego, szczeka z zajadłością na sprawcę nieszczęścia tegoż, lepiej poznawszy się na podstępnych jego zamiarach. W pobliżu siedząca rozczochrana wiedźma, Komedia, w zielonej chuście, patrząc na tę scenę, zanosi się od śmiechu, gdy po drugiej stronie drzewa Tragedya, okryta czerwoną płachtą, pogrąża się w chmurnej zadumie. Po środku drzemie lew z karykaturalnie komicznym wyrazem, a w dali, w złocistej chwale, siedzą w kamiennych stallach Molière, Corneille, Racine i Wiktor Hugo, u których stóp muzy, spadające z niebios w nieco pociesznych ruchach, składają wieńce laurowe. Taka treść tego obrazu.

Kompozycja jest tak ułożona, że scena główna, t. j. scena kuszenia, najważniejsza zarówno przez swe znaczenie, jak i wskutek swej masywności, grupuje się wraz z dwiema figurami, symbolizującymi komedię i tragedję, oraz lwem ku prawej stronie obrazu, gdy drugą większą część wypełnia złocisty pył atmosfery elizejskiej, która spowija cienie wielkich poetów dramatycznych i pośród której wywijają swe „salto mortale“ muzy, niosące wieńce. Całość, w stosunkach barwnych śmiała, ale trzeźwa, w rysunku i rozkładzie wielkich mas cieniów i światła potężna, jest zarazem prosta i imponująca siłą, lecz ma w sobie coś, co, przy głębszej koncepcji i wielkiem ujęciu przedmiotu, oraz szerokości wykonania, rażąco uderza swym ciężkim, brutalnym realizmem, zwłaszcza w traktowaniu kształtów ludzkich. Ale to jest właściwością Besnarda. Zresztą, wrażenie to, gdy obraz zostanie umieszczony we właściwych warunkach, znacznie się zneutralizuje. Dzieło to, równie jak poprzednie, posiada wszystkie wyróżniające go cechy charakterystyczne niezwykłego talentu artysty.

Teraz spróbujmy przyłożyć doń metodę krytyczną Fontaine'a. Obraz jest imponujący, suggestywny, szeroko wykonany, a więc należy do kategorii wzniosłych; myśl twórczą urzeczywistnia z wielkiem i wszechstronnem rozumieniem przedmiotu; sposób wyrażenia jasny i bezpośredni odpowiada w zupełności jej dążeniom. Zatem, razem wzięwszy, jest to dzieło prawdziwej i wysokiej wartości artystycznej. I tak jest istotnie. Obok tych zalet, ma on jeszcze inne, mianowicie indywidualność, bo jest oryginalny, i przenikliwość, bo ma głębokość i prawdę wyrazu, a przeto z tych względów możnaby go jeszcze zaliczyć jednocześnie do dwóch pozostałych kategorii. Ale te ostatnie właściwości są podporządkowane pierwszym, t. j. rozumieniu, nie wychodzą na pierwszy plan i nie sprzeciwiają mu się, więc też wątpliwości co do charakteru dzieła niema. Jak widzimy z tego przykładu, wartość dzieła i wartość teorii sprawdzają się tu jedna przez drugą i odpowiadają sobie najzupełniej.

Urodzonym również dekoratorem w najwyższym tego słowa znaczeniu jest *René Ménard*, którego dzieło figuruje w tym salonie. Malarz ten jest idealistą zupełniejszym, niżeli Besnard, u którego dawniejsze przejścia przez realizm i impresjonizm zostawiły dość wyraźne ślady. Idealizm Ménard'a leży w jego temperamentie, jest podstawą zasadniczą jego natury i wypowiada się też zarówno w myśli twórczej, jak w każdym rysie, w którym się ona wyraża; w wyborze tematu, jak i w jego traktowaniu. Harmonia jego kompozycji jest dyskretniejszą tak pod

względem stosunków barwnych, jak i ugrupowania mas. W skład jej nie wchodzi gwałtowne kontrasty, krzyczące dysonanse—jest ona cichszą, na pozór monotenniejszą, ale za to więcej śpiewną i w wielkich, spokojnych rytmach więcej bezpośrednio płynącą do serca. Liryzm Ménard'a niema w sobie nic dramatycznego, jest najzupełniej idylliczny i chociaż natchnienie swe czerpie ze wspomnień klasycznych, nie przeszkadza mu to być szczerym i w wysokim stopniu oryginalnym, gdyż oprócz strony zewnętrznej, indywidualnie interpretowanej, bierze to tylko, co w nich ma znaczenie głębokie poezji nieśmiertelnej.

W kompozycjach tych rolę główną odgrywa pejzaż, pojęty i traktowany w wielkim, szerokim uogólnieniu, w obszernych perspektywach gór, lasów, zatok morskich, odcinających się od ładu, gdzie przeważa ciemny ton rudawy, lśniącem zwierciadłem, nad którym rozpościera się szeroko i wysoko jaśniejące złotem niebo, o wielkich, białych, zaróżowionych i skłębionych ponad horyzontem chmurach.

Wśród takiej to dekoracji naturalnej, nagi „Oracz“ tegorocznego obrazu Ménard'a, na pobliskiej wybrzeża wyniosłości, rozpruwa ziemię pierwotną sochą, ciągnioną przez parę wołów, których ciężkie kształty rysują się wielką, białą, skupiającą na sobie światło słoneczne sylwetą. Dzieło to, choć może trochę mniej przemawiające od poprzednich, ma ten sam nastrój wspańskiego liryzmu, jaki dać może widok natury, potężnej i szlachetnej w swym poważnym nastroju, traktowanej w wielkiej, głęboko odczutej syntezie. Myśl twórcza, przy całej prostocie przedmiotu, który ją wyraża, jeśli patrzeć nań będziemy ze strony anegdotycznej, sięga tu wysokich szczytów natchnienia, co w sposobie jej wyrażenia daje się odczuć bardzo silnie. To też, stosując doń teorię Fontaine'a, przekonamy się, że jest to prawdziwe dzieło sztuki, i że ze względu na wszystkie cechy charakterystyczne, jakie w niem znajdujemy, zalicza się do rzędu wzniosłych.

W istocie ci dwaj malarze należą do liczby tych wyjątkowych w dobie dzisiejszej artystów, których twórczość wybiega o tyle ponad poziom ogólny, że dzieła ich, jak chyba bez obawy twierdzić można, pozostaną na przyszłość, a już dziś mogą być postawione obok wielkich arcydzieł przeszłości, ale, jako wyjątki w swym okresie, jego przedstawicielami w ścisłym znaczeniu nie będą. O wiele bliżej przedstawiają okres współczesny w rodzaju dekoratorskim dwaj inni malarze, mniej wysokiego polotu, bardzo do siebie niepodobni, ale wyrażający obaj z pewnej strony

dażenia estetyczne i kierunki malarskie, które miały kurs w ciągu ostatniego dwudziestolecia.

Są nimi *Aman-Jean* i *Gaston La Touche*. Pierwszy swą manierą tajemniczą, melancholią poetyczną, ale nieco monotonna swych subtelnym harmonii szarych, złożonych z przygasłych tonów niebieskich, zielonych i różowych (laków) przypomina zagadkowość symbolistów i ten jakiś nieokreślony smutek, wynikający z braku ideału i tęsknoty za nim, oraz z moralnego zmęczenia, jakie charakteryzują życie współczesne, po okresie sceptycznego i utylitarnego pozytywizmu, który je wyczerpał i wyjałowił. Aman-Jean, który bywa niekiedy czarodziejem, o ile nie szuka natchnienia w literaturze, umie czasem w kompozycji dekoracyjnej wznieść się do pięknych koncepcji stylowych, w rodzaju starorzymskich lub Odrodzenia, z zachowaniem w całości swego wybitnie odrębnego charakteru. W tym roku daje on produkcje, które w jego twórczości zanadto nie zaważą, pomimo swych pięknych i zawsze jednakowych zalet, jak kompozycya, na którą składają się girlandy róż, podtrzymywane przez kobiety, a także upoetyzowany w jego manierze motyw pospolity „*La Saltimbanque*,” oraz w takiż sposób traktowane portrety kobiece. Gaston La Touche daje na odwrót stronę powierzchowną tegoż życia współczesnego, nutę wesołą, którą się ono może odurza, by zapomnieć o trosce, zdradzającej się i tu jak gdyby przelotną i niezbyt ciemną chmurką melancholii, rzucającą szybko znikający cień—pośród szałów maskaradowych, lub przypominającej w zawierusze pożółkłych liści, że skończy się złota jesień, jak skończyło się już pałające lato, co zmusi nagie nimfy, igrające z łabędziami wokoło marmurowych wodotrysków, do pierzchnięcia przed zimą, która wypędzi łabędzie i na przezroczu wód położy lustrzaną taflę lodu. Bo mieniąca się barwami tęczy wśród jasnej zieleni, kwiatów i marmurów woda; nurzające się w niej rozkosznych kształtów i świeżej karnacyi piękne mieszkanki starych, strzyżonych parków; pyszne, o nastroszonych piórach, lśniące białością łabędzie i łodzie, cicho unoszące „w szczęśliwą godzinę” rozmarzone pary kochanków — są to motywy nieustannie powtarzające się w jego kompozycjach. W ostatniej, czerwona karoca, znana już z obrazów dawniejszych, przywożąca wprost z XVIII wieku mocno wydekoltowane markizy, przebywa wbród rzeczke, przyczem też nagie nimfy pomagają ciężkiemu welikułowi do wydobycia się z wody, popychając za szprychy i rżęsiście opryskując uczepionych z tyłu pudrowanych i wygalowanych lokajów. To wszystko jest bardzo francuskie — sprytne, świeże i lekkie

w wyrazie, przy malowaniu solidnem, wielkiem wirtuozostwie wykonania z szeroką werwą i dobrze odczuty, upoetyzowanym w sposób bardzo osobisty realizmem.

To też podoba się wogóle, jako sztuka łatwej i lekkiej fantazyi, pociągająca przyjemnym dobarem barw i wyrazem oryginalnym, ale nie pozostawiająca po sobie więcej wspomnienia, niż głębszego wrażenia, niż zasłyszana gdzieś, w warunkach nawskroś dzisiejszych, melodya staroświeckiego tańca, niosąca w swych drżących dźwiękach jakoby przytłumione echo czegoś, co tętniło niegdyś życiem, wesołością i uczuciem a czego już niema. I to jest ta, zaledwie dająca się odczuć melancholijna nuta u Gastona La Touche. Dzieła tych dwu artystów nie imponują, nie porywają, nie przykuwają ani potęgą, ani głębokością koncepcyi, nie wzruszają też zbyt, ale pociągają swym wdziękiem i mogą czarować, każde w swym rodzaju i charakterze indywidualnym. Są to więc twory ładne, obliczane na dostarczenie przyjemności i jako takie sprawiają nam odpowiednie zadowolenie estetyczne.

Ściślej jeszcze, niż poprzedni, przedstawiają okres dzisiejszy, który nazwaćby można bieżącym, bo nie wiadomo, gdzie się zaczyna i kiedy się skończy, dwaj malarze Bretanii *Lucyan Simon* i *Karol Cottet*, obaj w tym roku w Salonie nieobecni, realiści bezpośredni, ale talentem swym wznoszący się ponad poziom przeciętny. Cottet dał w galeryi Georges Petit wystawę zbiorową dzieł, szkiców i studyów, najbardziej dotychczasową jego twórczość charakteryzujących. Jest on niezwyčajnie zdolnym kolorystą w swych tonach, przeważnie ciemnych i ujednostajnionych, chociaż daje również efekty jasne w stosunkach barw natężonych. Za motyw jego obrazów służą typy, sceny i natura bretońska. A więc sceny z życia rybaków, przeważnie smutne, jak w obiedzie pożegnalnym odjeżdżających do Islandyi i innych tego rodzaju, gdzie rozstanie albo oczekiwanie jest motywem głównym;— lub dramatyczne i tragiczne, gdy, zamiast powrotu statku z załogą, morze wyrzuca jego szczątki, a matce i żonie przynoszą trupa syna lub męża;—również sceny i obrzędy religijne z udziałem ludu: pogrzeby, procesye na morskiem wybrzeżu lub ceremonie wewnątrz kościołów; albo obyczajowe i z życia codziennego, jak sobótki, czyli ogniska świętojańskie ze śpiewami i tańcami, podobne do naszych; targi, roboty w polu i w domu i t. p. Wszystko w połączeniu z pejzażem (jeśli sceny nie odbywają się wewnątrz), który często odgrywa w kompozycjach tego malarza rolę przeważającą lub równoznaczną z figurami. Dziełem, w którym Cottet stara się sięgnąć wyższych szczytów, jest obraz du-

zych rozmiarów — „Douleur,“ gdzie matka, bolejąca nad trupem syna, w otoczeniu współczujących jej sąsiadek i sąsiadów, tworzy wraz z nimi grupę, uderzającą szlachetnym stylem, przypominającą kompozycje religijne początkowego Odrodzenia i imponującą silnem, osłupiającem wrażeniem, jakie sprawia widok wielkiego bólu, na który niema rady, ani pociechy. Ta grupa jest prawdziwie piękną i jako wyraz, i jako charakter, i jako traktowanie, ale obraz przedstawia pewną rażącą dysharmonię w występujących naprzód i nie zastosowanych do jej wysokiego nastroju dalszych planach, co w znacznym stopniu psuje efekt tego dzieła, które mogłoby być arcydziełem. W mniejszych obrazkach i szkicach, traktowanych bez głębszych intencji, daje on niejedno dziełko wyborowe w ugrupowaniu mas kompozycyi, w stosunkach barwnych i w doskonałem uchwyceniu charakteru przedmiotu.

Maurycy Denis jest zawsze czarujący świeżością swych kompozycyi naiwnych, których dziwny wdzięk, przy uproszczeniu kształtów niekiedy rażącym u pojedynczych figur, wynika z wyrazu całości, na który składają się odpowiednie kombinacje grup i linii, oraz zespolone z niemi piękne harmonie barwne. W tym roku wszakże trzy jego kompozycje nadmorskie wydają się mniej wymowne, niżeli wiele jego dzieł poprzednich. *Burnand*, jeden z rzadkich dzisiaj malarzów, traktujących tematy religijne, daje szkic wielkiego witrażu kościelnego, przedstawiający „Kazanie na górze.“ Rzecz ta traktowana z charakterem realistycznym w rysunku postaci i ich ugrupowaniu, podobnie jak jego ilustracje do „Przypowieści“ ma w sobie coś suchego, protestanckiego, brak odczucia wzniosłości przedmiotu, jego znaczenia idealnego. *Armand Point* należy do tych wyjątkowych, którzy potrafią do tego stopnia wczuć się w formy przeszłości, iż stają się one dla nich naturalnym sposobem wyrażenia własnej indywidualności. Jego portrety kobiece, a zwłaszcza portret starszej damy, mają w swem traktowaniu charakter tycyanowski, bardzo piękny, a zarazem bardzo osobistą siłę wyrazu. *Caro-Delvaile* wstawił do swego obrazu „l'Offrande des amants“ postacie żywcem wzięte z Botticellego, które potraktował manierą własną i stworzył w ten sposób kompozycję nie pozbawioną wdzięku szlachetnego w kształtach i ruchach figur, ale niewyraźną co do szczerości i indywidualności artysty.

Nie mogąc tu zbyt znacznie zapuszczać się w szczegóły, wymienimy jeszcze z dzieł wyróżniających się doskonały w charakterze i wyrazie, z wielką siłą traktowany portret mężki *Besnarda*; zawsze jednakowo subtelnie zagadkowe portrety panny *Bo-*

znańskiej; modne, światowe i odznaczające się sztuczną, ale pełną werwy fantazyą utwory tegoż rodzaju *Boldiniego*; także równie sztucznej, lecz więcej konwencyjonalnej fantazyi produkcy *Antonia de La Gandara*; olbrzymi, wykonany z realizmem zbyt szczegółowym, nie odpowiadającym rozmiarom obrazu, portret konny założyciela rzeczypospolitej Argentyńskiej, José de San-Martin, przez *Alfreda Rolla*; tegoż szeroko i grubą warstwą farby, jakoby robotą mularską traktowaną nagość; również nagości *Lerolle'a*, nieco monotonne w zbyt obrysowanych konturach i w kolorze; wyborne niezmiernie barwne i słoneczne, a zarazem poetycznego wyrazu ogrody kwiatowe przez *Rusinola* i *Charmaison*; subtelne zawsze harmonie księżycowe *Le Sidanera*; pejzaże *Lepère'a* i *Flan-drina*; barwne, harmonijne i charakterystycznie, w rodzaju Lucyana Simon, traktowane procesyie przez *Gumery*; wreszcie — ładny, pięknie utrzymany w stosunkach półtonów wnętrza, które przebiega od przymkniętej okiennicy promień słońca, obrazek *Muenier'a* „Leçon de clavecin“ — dziewczynka przy fortepianie z roztargnieniem oddająca się ćwiczeniom muzycznym, pod kierkiem starego metra—dobrze malowana i odczuta scenka o charakterze staroświeckim, lecz bardzo nowożytna pod względem wykonania.

W Salonie Artystów Francuskich przeciętny ogół produkcyi malarskiej niczem nie różni się co do swej wartości i charakteru od takiejże produkcyi salonu sąsiedniego — ta sama technika, ten sam brak silniejszych indywidualności i może więcej jeszcze konwencyi akademickiej. Za to, wobec nieobecności Henryka Martin, nic wybitniejszego wśród dzieł, które dla jakichkolwiek względów wyróżniają się czy to swem przeznaczeniem i ambicyami, czy to wskutek uznania i stanowiska w świecie artystycznym, jakie posiadają ich autorowie.

Wielka dekoracya, o wiele mniej liczna, przedstawia się też słabiej jeszcze, niż zwyczajnie. Dużych rozmiarów tryptyk *Paula Gervais*—„Amour source heureuse de la vie“ jest przykładem tego, czem dekoracya być nie powinna. Jest to dzieło nie bez wdzięku w swoim rodzaju, ale wdzięk jego jest sztuczny, wynikający z pozy w gestach i charakterze postaci, z doboru i zbyt wyszukanych przejść w barwach, z przesadnego, szczegółowego wykończenia i wyczyszczenia powierzchni obrazu—typ dzisiejszego akademizmu w stylu szlachetnym. Całość zyskałaby w małych rozmiarach. Brak szerszej symplifikacyi odbiera mu wyraz. Barwność niby subtelna, ale nie szarmonizowana, i elegancka szczegółowość w traktowaniu grup sprawiają ten skutek, że z daleka,

pomimo wielkości płótna, przedmiot obrazu nie daje się rozeznaczyć.

Nie lepiej, przy charakterze zupełnie różnym, przedstawia się całość dekoracyjna, złożona z trzynastu obrazów i przeznaczona do jednej z sal małego pałacu sztuki — dzieło *Cormon'a*, mające dawać „syntetyczną wizję historii Francyi.“ Trzy wielkie plafony, z których środkowy przedstawia Rewolucję francuską, a dwa inne: pierwszy—główne wypadki historyczne, od epoki galijskiej do rewolucyi, drugi—okres ostatni z jego wielkimi ludźmi i wynalazkami. To wszystko dzieje się w chmurach, jest natłoczone, chaotyczne, niewyraźne, trudne do rozpoznania z bliska, a cóż dopiero na odległość, gdy zostanie umieszczone nad głowami patrzących; — nieprzyjemne w swym tonie szaro-niebieskim; jako myśl twórcza, słabe, niezdecydowane, zdradzające brak właściwego ujęcia przedmiotu;—jako wyraz, niejasne i nie odpowiadające założeniu, brak prostoty, szczerości, bezpośredniości, i, pomimo tytułu, brak syntezy. Dziesięć obrazów, przedstawiających postacie charakterystyczne z historii Francyi, przeznaczoną dla ścian bocznych, będą zajmować nieco więcej swą stroną anegdotyczną, z powodu, że będą łatwiej widzialne. Stos nagich figur, z których każda jest dokładnie wykończona sama dla siebie — wszystko obficie zlane strugami deszczu, monotownie żółtoszare — jest dziełem opłakanego akademizmu *Comerre'a* p. t. „Pop-top.“ Wielkie płótno *Grüna* daje inny typ akademizmu w nagromadzonych tu kilkudziesięciu naturalnej wielkości portretach osób ze sfer artystycznych, politycznych, światowych i t. p. (*Vendredi au Salon*), traktowanych z realizmem, mającym pretensję do odzwierciedlenia prawdy świata zewnętrznego tak, jak się ona przedstawia oku, z możliwą dokładnością, co się tyczy form, barw lokalnych, atmosfery, perspektywy i t. p. Razem wzięwszy, rzecz przy całym talencie i umiejętności technicznej, zajmująca wyłącznie anegdotą i podobiznami, poza tem nudna i odstręczająca tem więcej, iż narzuca się niestosownymi rozmiarami. Przeszedłszy teraz do dzieł mniej pod tym ostatnim względem imponujących, zauważymy obraz utrzymany w subtelnej harmonii żółtawej półtonów wnętrza, przedstawiający śniadanie dziewcząt po pierwszej komunii w refektarzu klasztornym — dzieło *Renarda*, za które otrzymał medal honorowy, najwyższe odznaczenie Salonu Artystów Francuskich, utwór pod każdym względem mocno podobny swym rodzajem i charakterem do obrazów *Józefa Bail'a*, których próbkę dają w jednej z pobliskich sal, jego zakonnice składające bieliznę, na którą od okna pada żółtawe światło, roztopiające się w przezroczystej szarzyźnie pokoju. Są to dzieła talentów cier-

pliwych, spokojnych, ograniczających się do jednego raz dobrze utrafionego efektu, który urozmaicają anegdotą scen, zresztą zawsze jednakowego rodzaju. „Promenade du Pincio“ — dzieło *Jerzego Leroux* ma piękne zalety koloru i światła i dobrze odczuty sentyment nieporównanego widoku.

„Pendant la messe“ *Gourdault'a* — wewnątrz kościoła z typami kobiet wiejskich wywodzi się z koncepcji Courbeta w swym realizmie nader charakterystycznym, którego przesadna i rozmyślna trywialność ma zapewne być w przekonaniu artysty dowodem siły. W pejzażach i scenach pejzażowych, których tu jest mnóstwo, znaleźć można niejedną dobrze malowany obrazek, również wśród scen rodzajowych o charakterze hiszpańskim. Nagości bardzo mało, wśród których do najlepszych należą drobne, bardzo świeże w kolorze, odczute w modelacyi kształtów i oryginalne w układzie obrazki *Tankreda Synave*, oraz mała, lecz szeroko dekoracyjnie, nawet zanadto szeroko, jak na jej rozmiary, traktowana kompozycya panny *Delasalle*. Za to nie oryginalnością, lecz brzydota i karykaturalnością wadliwych form odznaczają się nagości *Carre'a* i panny *Rondenay*, którzy chcieli się wyróżnić za wszelką cenę, chociażby właściwościami ujemnymi. Portret, bardzo licznie przedstawiony przez wszystkich uznanych mistrzów, niczem się nie wyróżnia i nie wychodzi poza średnią miarę. Wymienimy tylko dwa drobne nie rzucające się w oko, ale bardzo ciekawie traktowane i pełne charakteru portrety — głowy męskie przez *Sabatté*.

W rzeźbie mamy wyborny biust — portret księcia de Rohan przez *Rodina* i tegoż ciekawą ze względu na subtelność modelacyi, rysunek kształtów i układ, nagą figurę kobiety, wylaniającą się z bloku marmuru, z którym stanowi jedną całość i na którym leży bez życia ze złamanem skrzydłem. Nazywa się to „Le Lys brisé“ i jest przeznaczone na nagrobek, chociaż żadnych do tego aluzji nie ma. *A. E. Bourdelle* dał przemanierowany w charakterze archaicznym posąg kobiety z brązu, w którym zasadnicze formy kształtów postaci ludzkiej nie są zaznaczone. Stąd, przy przesadzonej długości, jego kobieta robi wrażenie węża. Niezmiernym charakterem, sentymentem i odczuciem form odznaczają się dzieła tegoroczne *Niederhauserna-Rodo*, twórcy pomnika Verlaine'a w ogrodzie Luxemburskim. Wreszcie subtelnie szlachetne są biusty — portrety kobiece, delikatnie wykute w marmurze przez *de Saint Marceaux*. Z pośród mnóstwa pomników, grup, posągów, kompozycyi, o charakterze przeważnie więcej malarskim, niż rzeźbiarskim, a przeto nie mających sensu, często nadętych,

emfatycznych, ale próżnych, banalnych, pozbawionych siły i oryginalności, nie wiele zasługuje, by im poświęcić chwilę uwagi. Dość powiedzieć, że dziełem najwybitniejszym w tym roku jest jeszcze pomnik ofiar katastrofy balonu „Republique“ przez *Boucharda* (już odznaczony w Salonie zeszłorocznym w modelu gipsowym), który obecnie po raz drugi tu figuruje, wykonany z szarego granitu. Obok tego dzieła również odznacza się tegoż artysty posąg średniowiecznego rzeźbiarza, *Clausa Slutera*, swym charakterem indywidualnej siły.

Poza tem znajduje się tu pewna ilość prac nie bez wartości, ale te nie przedstawiają nic szczególnie wybitnego.

KONRAD OSTROWSKI.

Warszawskie Liceum Królewskie

(1804 — 1806).

Liceum Warszawskie, obok sławnego Collegium Nobilium Pijarów, było najświetniejszą u nas szkołą średnią. Założone w roku 1804 przez rząd pruski, przetrwało czasy pruskie, Księstwo Warszawskie i autonomiczne Królestwo Kongresowe. W r. 1833, gdy zredukowano ówczesne szkoły w Królestwie, przekształcono Liceum na gimnazjum gubernialne. Przez cały czas swego istnienia Liceum zostawało pod kierownictwem sławnego filologa S. B. Lindego. Jako wzorowa i najliczniejsza w kraju szkoła, wychowało ono setki światłych obywateli. Kształcili się w Liceum: Fryderyk Skarbek, Zygmunt Krasiński, Dominik Magnuszewski, Maurycy Mochnacki, Konstanty Gaszyński, Romuald Hube, Michał Szubert, Maurycy Woyde, Jan Mile, Kajetan Garbiński i wielu innych.

W niniejszym zarysie pragnę przedstawić początki Liceum i stan jego za czasów pruskich. Prócz drukowanej literatury, korzystam z dość obszernej korespondencji rady, zarządzającej instytucją, tak zwanego Eforatu, z władzami pruskimi, personelem nauczycielskim etc. Dokumenty te pozostały w kopiach po Karolu Diehlu, który prowadził korespondencję Eforatu.

Za wskazówki przy tej niewielkiej pracy, udzielone mi łaskawie przez prof. Szymona Askenazego, niech mi będzie wolno złożyć Mu serdeczne podziękowanie.

I.

Szkolnictwo pod rządem pruskim 1772—1806.

Na obszarze Rzeczypospolitej, zagarniętym przez Prusy przy pierwszym podziale, były szkoły polskie: jezuickie—w Brunsbergu w Warmii (z kursami teologii i filozofii), w Bydgoszczy, Chełmnie (z tytułem akademii), Chojnicach, Grudziądzu, Malborgu, Reszlu, Szotlandzie pod Gdańskiem i Wałczu (Deutsche Krone); ks. reformatów w Weiherowej; polskie gimnazjum ewangelickie w Elblągu i — w Gdańsku (to ostatnie pod nazwą gymnasium academicum seu illustre). Do r. 1780 na terytoryum zaboru pruskiego nie zmienił się zasadniczo stan rzeczy w dziedzinie szkolnej. Pomimo bulli papieskiej z dnia 21 lipca 1773 r., kasującej zakon jezuicki, utrzymali się jezuici pod berłem Fryderyka II jeszcze przez lat siedem. W czerwcu 1780 r. odczytano im wreszcie breve papieskie: odtąd kolegia i domy jezuickie w Prusiech przestały istnieć. Majątki zakonu rząd zlikwidował i wcielił do funduszu szkolnego. Z tego funduszu obiecano wypłacać pensye pozostałym przy szkołach eks-jezuitom; wyznaczono je istotnie, ale bardzo skromne, nadto zwlekano z wypłatą i przeważnie nie wypłacano.

Szkoły jezuickie rychło upadły, a na ich miejsce miały powstać rządowe gimnazya katolickie. Edykt królewski z dnia 1 czerwca 1881 r. zapowiadał otwarcie 8-iu królewskich gimnazyów katolickich: w Brunsbergu, Bydgoszczy, Chojnicach, Grudziądzu, Malborgu, Reszlu, Szotlandzie pod Gdańskiem i Wałczu. W Brunsbergu i Szotlandzie urządzono tak zwane gimnazya akademickie, przeznaczone dla młodzieży katolickiej, zamierzającej poświęcić się stanowi duchownemu. Dano im, prócz rektorów, po 5 nauczycieli, z których dwóch specjalnie przeznaczono do wykładu nauk teologicznych. W Malborgu, Wałczu, Grudziądzu, Chojnicach, Bydgoszczy i Reszlu otwarto tylko niższe klasy, przeznaczając po 2—3 nauczycieli dla każdej szkoły. W organizacyi i układzie nauk wzięto za wzór ówczesne szkoły niemieckie na Śląsku pruskim. Językiem wykładowym był język niemiecki. Dóźór nad temi szkołami powierzono koadyutorowi biskupa Bajera, hr. K. Hohenzollernowi, późniejszemu biskupowi chełmińskiemu.

Stan owych szkół od początku był lichy. Nauczycielom eks-jezuitom nie wypłacał rząd pensyi, do nauki brakowało książek, map etc.; nadto rosłych studentów, choćby najzdolniejszych i naj-

pilniejszych, kazał król Wilhelm Fryderyk II zabierać do wojska, „co nie przyczyniało się do pomyślności szkół,“ jak mówi Braun w *Historji gimnazjum brunsberskiego*.¹⁾ „Nie możemy na tę dobę (1772—1811) królewskiego gimnazjum patrzeć bez głębokiej boleści (powiada dalej ten sam autor). Epoka to upadku naszego zakładu i szkolnictwa w Warmii.“

Niedługo istniały owe gimnazya królewskie. Upadły prawie wszystkie jeszcze przed rokiem 1793. Młodszy i zdolniejsi nauczyciele eks-jezuici stopniowo opuszczają Prusy i przenoszą się gdzieindziej. Wielu z nich powołała do swych szkół Komisya Edukacyjna, wielce potrzebująca uzdolnionych nauczycieli.

Nadeszły czasy drugiego i trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej. Nowe obszary ziem polskich weszły w skład państwa Pruskiego. Na nowo-zagarniętych ziemiach polskich zastaje teraz rząd pruski szkoły Komisji Edukacyjnej. Większość ich rychło upada, pozbawiona subwencji państwowej. Utrzymują się tylko szkoły ewangelickich gmin wyznaniowych, kilka pijarskich — w Warszawie, Łowiczu, Piotrkowie i ks. Reformatów w Wejherowej. Pijarów nie lubił rząd pruski: szykanował ich i dezorganizował, świadomie doprowadzając tem samem do upadku szkoły pijarskie. Tak naprzykład, kamera białostocka wydała w r. 1803 rozporządzenie, orzekające, że szkoły pijarskie w t. zw. Prusach Nowowschodnich nie mają podlegać nadal prowincyałowi pijarskiemu w Warszawie, lecz miejscowej kamerze. Spowodowało to niemałe zamieszanie w zgromadzeniu zakonnem. To też upadły szkoły pijarskie przed utworzeniem Księstwa Warszawskiego: w Górze Kalwaryi w województwie mazowieckiem, w Łomży, Radziejowie, Rydzynie, Szczuczynie, Płocku, Pułtusk i Drohiczynie.²⁾ Liczba szkół wyższych zredukowana została do minimum. Dawne upadły, nowych nie zdążono jeszcze otworzyć, ale o tem myślano. Niemczech kraj energicznie według konsekwentnie opracowanego planu, wyzuwając szlachtę z ziemi, ściągając tysiące kolonistów i urzędników niemieckich, wprowadzając administracyę i sądownictwo niemieckie, nie zaniechał rząd użycia do celów germanizacyjnych i szkoły. Ale się z tem nie kwapił. Zwlekał, zdaje się, głównie dla braku nauczycieli własnych, tak do szkół elemen-

¹⁾ Braun, *Geschichte des königlichen gymnasiums zu Brunsberg*, 1865.

²⁾ A. Karbowski, *Listy w sprawie wystawy szkolnej. Zabór pruski*. Muzeum 1893; u Łukaszewicza w *Historji szkół*; u Lipińskiego, *Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby Edukacyjnej*.

tarnych, jak i wyższych. W maju 1797 r. minister dla Prus Południowych v. Hoym utworzył w Warszawie komisję szkolną, która miała opracować plan edukacji w kraju, lecz komisya ta nie wydała żadnych owoców. Rozwiązano ją już w styczniu 1798 r. Z Polaków wchodził do niej: dyrektor niegdyś szkoły kadetów Hube, ks. Czarnocki, pijar, i ks. kanonik Szwejkowski.¹⁾

Sprawa planu edukacyjnego dla prowincyj polskich była jednak wciąż przedmiotem starannych rozważań rządu. Kilkakrotnie zwiedzają kraj i studyują miejscowe stosunki szkolne głośni ówcześni pedagogzy pruscy: Meierotto, Gedike, Klewitz i inni. Sam król Fryderyk Wilhelm II, objeżdżając kraj, zwraca baczną uwagę na miejscowe szkoły. Wielkie zdumienie budziła we wszystkich poprzednia magistratura szkolna—Komisya Edukacyjna. Przystąpiono wreszcie do budowy szkół własnych na ruinach poprzednich.

Edykty królewskie z r. 1800 i 1805 ustanawiały szkoły wiejskie, miejskie, garnizonowe, seminarya nauczycielskie i „szkoły uczone“ czyli gimnazya. Wiejskie i miejskie szkoły utrzymywane były przez ludność miejscową ze składek na ten cel zbieranych. Szkoły miejskie starano się łączyć z garnizonowemi, które były przeznaczone dla dzieci wojskowych. Przykładały się wówczas do ich utrzymania kwaterujące po miastach pułki. Podstawową książką w szkołach elementarnych był niemiecko-polski „Lesebuch,²⁾“ ułożony przez wojenno-ekonomicznego konsyliarza, Fischera. Szkoły elementarne powstawały bardzo powoli. Na obszarze późniejszych departamentów — warszawskiego, poznańskiego, kaliskiego, płockiego, bydgoskiego i łomżyńskiego Izba Edukacyjna zastała zaledwie 74 szkótek wiejskich i 73—miejskich, oprócz dość licznych wiejskich szkótek kolonistów niemieckich.³⁾

Prócz wymienionych szkół, powstały na ziemiach polskich dwie szkoły wojskowe, inaczej—korpusy kadeckie: w roku 1776 w Chełmnie i w r. 1795 w Kaliszu. Etał korpusu obejmował oficera sztabowego, zarządzającego szkołą, dwóch kapitanów, 100 kadetów, 12 guwernerów, dwóch nauczycieli języka niemieckiego, dwóch — francuskiego, nauczyciela tańca, chirurga, rendanta i 3 wysłużonych sierżantów wojskowych. Później, zamiast dwóch ka-

¹⁾ Meyer, Geschichte der Provinz Posen. Gotha 1891, str. 183 i Morawski, Dz. Nar. Polsk., t. VI, 1872 r., str. 52.

²⁾ J. Lipiński, Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby Edukacyjnej, 1812, str. 23 i 24.

pitanów, wyznaczono korpusom oficera do początkowej nauki rysunków wojskowych, geometryi i fortyfikacyi. W r. 1804 powiększono liczbę kadetów kaliskich do 125, a liczbę guwernerów do 15-u. Przyjmowano do korpusów chłopców w wieku od 8 do 10 lat, synów szlachty, urodzonych w Prusiech Południowych. Później rozszerzono prawo wstępu i na pochodzących z innych prowincyi. Wychowywano chłopców na koszt rządowy. Język polski zupełnie usunięto z tych zakładów. Korpusy—były to zakłady germanizacyjne w najwyższym stopniu: „mieszcząc z łona matek wziętą młodzież, służyć miały do przerwania w nowem pokoleniu tych wrażeń i pamiątek, które łączą je ciągłym łańcuchem z poprzedzającym ojców rodem, do zgaszenia w młodocianych sercach z mlekiem prawie wyssanych narodu uczuć, zwracając je do nowego rządu, do zatarcia zwolna, jeżeli to być może, cechy rodowości.“¹⁾

Na sprawę przygotowania zastępu nauczycieli, odpowiednich dla widoków rządowych, tak do niższych, jak wyższych szkół, zwrócono baczną uwagę. Założono dwa seminarya dla nauczycieli szkół niższych: w Łowiczu (przeniesiono tu seminaryum z Züllichau na miejsce dawnego seminaryum Komisyi Edukacyjnej) i w Poznaniu. By przygotować nauczycieli do szkół wyższych, wysyłano na studia pedagogiczne wybitniejszych młodszych nauczycieli Polaków do Królewca, Berlina, Halli i Frankfurtu nad Odrą. Wysłani zostali wówczas przez rząd pruski z roczną subwencyą po 200—400 talarów: ks. pijar W. Szwejkowski, późniejszy rektor uniwersytetu warszawskiego, ks. H. Zawadzki, później rektor w Seynach, A. Zubellewicz, późniejszy inspektor warszawskiego uniwersytetu i zastępca Kuratora generalnego nad szkołami, O. Onacewicz, późniejszy historyk, Sarnowski (później pułkownik), Kukliński, nauczyciel fizyki w Płocku, Dzwonkowski, później podprefekt za Księstwa Warszawskiego, Cywilkowski, później landrat w Mogilnie, F. Bentkowski, później profesor Liceum Warszawskiego, Burgund, później inspektor seminaryum w Łowiczu, M. Stoc, później profesor szkoły departamentowej w Poznaniu, oraz kilkunastu innych.²⁾ Prócz tego, Jeziorowski, późniejszy dyrektor seminaryum dla nauczycieli w Poz-

¹⁾ J. Lipiński, Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby Edukacyjnej, 1812 r., str. 7—8.

²⁾ M. Stoc, O szkołach polskich w Prusach Południowych. Orędownik Poznański, 1845 r.

naniu, wysłany został do Burgdorfu do Pestalozzego, a stamtąd razem z nauczycielami, Gruszczyńskim i Siewieliuńskim do Dessau do Oliviera, aby poznali metody nauczania tych sławnych pedagogów.¹⁾

„Szkół uczonych,“ czyli gimnazyów, stopniowo założono pięć: Liceum w Warszawie i gimnazya w Poznaniu, Kaliszu, Płocku i Białymstoku. Gimnazya w Kaliszu i Płocku urządzone były znacznie gorzej niż białostockie i poznańskie. Gimnazjum w Białymstoku należycie zorganizowane zostało dopiero w r. 1802, a poznańskie dopiero w r. 1804. Dyrektorem gimnazjum białostockiego był eks-pijar M. J. Maciejowski, poznańskiego — E. W. A. Wolfram; obydwaj znani, jako autorowie rozpraw pedagogicznych. W obydwóch gimnazyach nauczano w języku niemieckim. W młodszych klasach musiano odstępować od zasady ze względu na uczniów, nieznających jeszcze języka niemieckiego. Wykładano następujące przedmioty: religię, naukę moralną, języki — niemiecki, polski, francuski, łaciński, grecki; arytmetykę, algebrę, geometryę z początkami mechaniki, miernictwa i sztuki budowlanej; fizykę, historię naturalną, geografję, historię powszechną, brandebursko-pruską i polską; metafizykę (logikę i psychologię), kaligrafję i rysunki. Uczono także muzyki i tańców. Programy zapowiadały jeszcze naukę języka hebrajskiego, ale nie przyszło do tego. Języka polskiego uczono we wszystkich klasach. Kończącym gimnazjum wykładano w ostatnim kwartale wiadomości o akademiach, życiu i zwyczajach akademickich. Gimnazjum poznańskie miało klas 7, białostockie 6; przy tem ostatniem była szkołka parafialna pod zwierzchnictwem dyrektora gimnazjum. W gimnazjum poznańskim było w 1805 r. 11 nauczycieli razem z kollaboratorami i 220 uczniów; w białostockiem było w r. 1806 nauczycieli 6, uczniów 250. W obydwu gimnazyach połowę nauczycieli stanowili Polacy.

Pojezuickie fundusze Komisji Edukacyjnej rząd pruski przeznaczył na cele wychowawcze. Powiększył je nawet podatkiem jednej czwartej części dochodów z probostw i dochodami z arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, tak, że fundusze szkolne jednej prowincyi Prus Południowych, z sumy 30,343 talarów początkowo, wzrosły do 61,298 talarów rocznie. W r. 1806 suma wydatków na cele edukacyjne w trzech departamentach Prus Południowych i jednym Nowowschodnich — poznańskim, warszawskim, płockim

¹⁾ Schmid, Geschichte der Erziehung, t. V, cz. III, str. 130.

i łomżyńskim wynosiła złotych polskich 346,166. Utrzymanie Liceum Warszawskiego, trzech gimnazyów, mianowicie w Poznaniu, Kaliszu i Płocku, szkoły miejskiej (Bürgerschule) w Łęczycy, niemieckiej szkoły parafialnej św. Benona w Warszawie i miejskiej w Bojanowie, oraz subwencye dla szkół pijarskich w Warszawie i Rydzynie kosztowały rząd rocznie 179,819 zł. pol. Z tego otrzymywały: szkoła Pijarów w Warszawie—6,000 złp., szkoła Pijarów w Rydzynie—8,240 złp., szkoła parafialna św. Benona w Warszawie—4,000 złp. i szkoła miejska w Bojanowie 600 złp. Utrzymanie seminarjów dla nauczycieli kosztowało rocznie: poznańskiego — 21,594 złp. (3,599 talarów), łowickiego — 24,381 złp., gimnazyów: poznańskiego — 42,000 złp. (7,000 talarów) i płockiego — 18,960 złp. (3,160 talarów).

Na pensye dla emerytowanych nauczycieli (w tem i eks-jezuistów) wydawał rząd rocznie 50,986 złp.

Z fundusów edukacyjnych departamentu poznańskiego subwencyonowano trzy uniwersytety niemieckie sumą 5,000 talarów rocznie. Uniwersytet w Królewcu otrzymywał 2,000 tal., w Halle—2,000 tal. i Frankfurcie — 1,000 tal. Tam bowiem zwracano młodzież polską po wyższą edukacyę. Z sum edukacyjnych łożono też na koszta wyjazdów młodych nauczycieli Polaków na wyższe studia do miast niemieckich.

Zwierzchnictwo nad szkołami należało do miejscowych kamer, a w instancyi wyższej do osobnych dla każdej prowincyi Departamentów Finansów, rezydujących w Berlinie.

II.

Powstanie Liceum Warszawskiego.

Z czterech szkół „uczonych“ najpóźniej powstało Liceum Warszawskie. Sprawa założenia w Warszawie uniwersytetu odrazu przesądzona została; tak samo w Toruniu, jak to projektował jeszcze w r. 1794 minister v. Voss.¹⁾ „Mieszkańcy nowych prowincyi Południowych i Nowo-wschodnich Prus powinni z dawnymi prowincjami, z ich mieszkańcami, językiem, religią, obyczajami i ustawami bardziej się oswoić i niejako jeden naród składać. Do tego dawne akademie największą mogą być pomocą; dla tej

¹⁾ Meyer, Geschichte der Provinz Posen, str. 184.

przyczyny założenie nowej akademii jest niepotrzebne ¹⁾ — powiada w tej sprawie tajny konsyliarz de Klewitz. Zdecydowano wreszcie założyć w Warszawie pod nazwą liceum szkołę o zakresie nauczania nieco szerszym, niż w gimnazyum poznańskim i białostockiem. Przy wyborze kandydata na stanowisko kierownika mającego powstać liceum zatrzymano się odrazu na Linde. Znał on język polski, wydał już był prospekt sławnego Słownika języka polskiego, oraz kilka przekładów z języka polskiego na niemiecki, jak: „Powrót posła“ J. Niemcewicza, „Opis państwa Turckiego“ Mikoszy, „O powstaniu i upadku Konstytucyi 3 maja 1791 r.“ Fr. Dmochowskiego i H. Kołłątaja i inne. Łączyły go przytem liczne stosunki z najwybitniejszymi ówczesnymi Polakami. Znali go osobiście Ignacy i Stanisław Potoccy, J. Niemcewicz, Fr. Dmochowski, H. Kołłątaj, O. Kopczyński, A. Czartoryski, St. Staszic, St. Małachowski, ordynat S. Zamoyski, T. Czacki i wielu innych. Linde zarządzał podówczas biblioteką J. Ossolińskiego w Wiedniu; przez c. k. sekretarza de Engla ówczesny minister dla Prus Południowych Voss zakomunikował mu propozycję objęcia dyrekcji szkoły warszawskiej. Linde początkowo się wahał: nie chciał odrywać się od pracy naukowej. Ossoliński nie wstrzymywał go, zachęcał nawet do objęcia ważnego postęunku warszawskiego. „Posada twoja, jak z twego listu miarkuję — pisał mu potem — jest dobra, ale delikatna. Możesz wiele dobrego sprawić; chcesz, tegom pewny; żebyś wszystko z cierpliwością i wielkim rozmysłem czynił, tego ci życzę.“ ²⁾ Zachęcał Lindego do objęcia kierownictwa Liceum Warszawskiego i Adam Czartoryski, kurator Wil. Okr. Nauk. W końcu 1803 r. opuszcza Linde bibliotekę Ossolińskiego i staje w Warszawie, by zabrać się do organizacyi instytutu. „Odtąd to — powiada Linde w swej autobiografii ³⁾ — doświadczać zacząłem i doświadczałem codziennie, jak pożyteczna dla mnie była wczesna i długa wprawa w uczenie, baczność, z którą bądź w Saksonii, bądź w licznych podróżach, bądź w stolicy Austrii rozmaite szkoły, a osobliwie Theresianum zwiedziłem; nadewszystko zaś obcowanie z najznakomit-

¹⁾ Dzieje i wykład urzędzeń szkolnych w Prusiech Południowych. Pismo wydane przez W. de Klewitz, tajnego, naczelnego konsyliarza skarbowego i prezydującego radcę w departamencie Prus Południowych. Nowy Pamiętnik Warszawski, 1805 r. Rozdz. Akademie.

²⁾ A. Bielowski, Żywot S. B. Lindego, w t. I Słown. jęz. polsk., Lwów 1854, str. 32.

³⁾ T. VI Słownika jęz. polsk., 1814 r., str. XI.

szemi osobami narodu.“ Według otrzymanego od rządu szkicu, zajął się Linde ułożeniem statutu Liceum, który, po zmianach i przeróbkach, uzyskał zatwierdzenie królewskie 23 czerwca 1804 r. Statut Liceum pod tytułem: „Urządzenie Królewskiego Liceum Warszawskiego—Reglement für das Königliche Lyceum zu Warschau“ z podpisem ministra Vossa wydrukowany został w języku polskim i niemieckim (Warszawa, 1804 r., w drukarni Rakoczego). „Urządzenie“ jest bardzo ciekawym dokumentem w dziejach szkolnictwa u nas; jest wyborem odzwierciedleniem ówczesnych poglądów pedagogicznych. Wskazane są tam metody wychowawcze, sposoby nauczania wykładanych przedmiotów, organizacja Liceum etc.

W organizacyi Liceum brał pewien udział tajny radca stanu de Klewitz, znawca stosunków szkolnych na ziemiach polskich, autor rozprawy „Dzieje i wykład urzędzeń szkolnych w Prusiech Południowych.“ Wdzięcznie wspominał go Linde; Klewitz bowiem głównie pomagał do usunięcia trudności, wynikających podówczas z zasadniczego stosunku rządu do narodowości polskiej.

Jednocześnie konstituował się eforat czyli zarząd Liceum. Weszli doń na propozycyę rządu wybitni i zasłużeni przedstawiciele społeczeństwa polskiego: Stanisław Kostka Potocki, wybitny członek Wielkiego Sejmu, później prezes senatu i minister wyznań i oświecenia publicznego; Aleksander Potocki, później minister policyi za Księstwa Warszawskiego; Onufry Kopczyński, prowincyał Pijarów, autor słynnej Gramatyki języka polskiego; ks. Prażmowski, officyał dyecezyi warszawskiej, później biskup, i—pastor Karol Diehl, senior warszawskiego zboru ewangelicko-reformowanego. Prezesem eforatu został Stanisław Kostka Potocki. Eforat w takim składzie budził zaufanie ogółu do nowej szkoły, a jednocześnie nawiązywał ściślejszą łączność między społeczeństwem polskim a szkołą rządową. To też przychylnie przyjętem zostało Liceum przez wszystkich; tembardziej, że wielce odczuwać się dawał w Warszawie brak szkół. Wprawdzie wydłużyła się ona za czasów pruskich; w r. 1800 miasto liczyło zaledwie 74,591 mieszkańców, lecz ze szkół wyższych pozostały w niej tylko szkoły pijarskie — słynne Collegium Nobilium i tak zwana publiczna szkoła pijarska. Upadła sławna Szkoła kadetów, w której kształcili się Kościuszko, Niemcewicz, Sokolnicki i inni; upadła również Szkoła wydziałowa Komisji Edukacyjnej. W Collegium Nobilium wychowywało się, jak dawniej, po kilkudziesięciu młodzieńców z najzamożniejszych warstw; w sześcioklasowej,

publicznej szkole pijarskiej było przeszło 200 uczniów. Obydwie mieściły się w tym samym gmachu przy ul. Miodowej, zbudowanym jeszcze przez Stanisława Konarskiego. Program nauczania był taki sam dla konwiktu, co i dla klas publicznych; wykładano języki—polski, niemiecki, łaciński, francuski, grecki, historię świętą i naukę chrześcijańską, tudzież naukę obyczajności i przystojności, historię powszechną i polską, historię naturalną, geografie, zasady astronomii, arytmetykę, algebrę, solidometrię, miernictwo, trygonometrię sferyczną, fizykę, historię kunsztów, logikę, prawo przyrodzone, poezję i wymowę ze starożytną i nową literaturą, kaligrafię i rysunki. Język wykładowy, porządek i plan nauczania, jak we wszystkich innych szkołach pijarskich, pozostał ten sam. Położono tylko duży nacisk na naukę języka niemieckiego. Na wszystkich niemal lekcjach tłómaczono z niemieckiego na polski i odwrotnie. W konwikcie pilnie zważano na stronę wychowawczą, obyczajową i towarzyską. Uczono tam jeszcze muzyki, tańców, konnej jazdy i fechtunku.

Wobec braku szkół powstało wówczas w Warszawie sporo prywatnych pensyi męskich. Utrzymywali je nauczyciele: Konstanty Wolski, eks-pijar, Rousseau, nauczyciel języka francuskiego, Łęski, nauczyciel matematyki, Hauke, ojciec zasłużonej rodziny i inni. Nowa szkoła rządowa, pod kierunkiem Eforatu, posiadająca dobrych nauczycieli, mogła być pewną licznej frekwencji uczniów. Istotnie, liczba uczniów już w pierwszym półroczu dosięgła 297. W pierwszym półroczu powstały 4 klasy o 7-iu oddziałach. Utworzono: dwie klasy elementarne, dwie trzecie—polską i niemiecką, dwie czwarte—polską i niemiecką i piątą. Urzędownie lekcye rozpoczęto od października 1804 r.; ale już na kilka miesięcy przedtem nauczyciele rozpoczęli pracę nad uczniami: segregowali ich i przygotowywali do odpowiednich klas.

Eforat zaczął oficjalnie urzędować 12 grudnia 1804 r., już po rozpoczęciu lekcyj w Liceum; odwiedził je wówczas, zapoznał się z nauczycielami i biegiem nauk w szkole i przedstawił kamerze sprawozdanie ze stanu Liceum. „Musimy tu zaznaczyć—pisać do kamery Eforat 17 grudnia 1804 r.—a zaznaczamy tem chętniej, że wszystko, cośmy wówczas widzieli i słyszeli, świadczyło jaknajlepiej o obecnym stanie Liceum i wypełniło dusze nasze, jaknajlepszymi nadziejami na przyszłość.“¹⁾

¹⁾ Korespondencya Eforatu do kamery warszawskiej z dnia 17 grudnia 1804 r.

Szkołę umieszczono początkowo w gmachach pojezuickich na Starem Mieście, lecz wkrótce przeniesiono ją do pałacu Saskiego, odkupionego przez rząd od książąt Saskich.

Drugiego stycznia 1805 r. odbyło się uroczyste otwarcie Liceum wobec licznie zgromadzonej publiczności. Dłuższe mowy wygłosili, stosownie do programu, najprzód Stanisław Potocki po polsku, potem dyrektor Linde po niemiecku, następnie profesor retoryki J. K. Stöphasius po łacinie, a nakoniec, w imieniu uczniów, przemówił kasztelan płocki, Ignacy Zboiński. Mowę St. Potockiego z opisem odbytej uroczystości przesłał Eforat Vossowi.

Równocześnie więc powstały dwa wielkie ogniska wychowawcze dla polskiej młodzieży: jedno w stolicy Polski, założone przez rząd pruski; drugie na Wołyniu w Krzemieńcu, zorganizowane przez T. Czackiego. Obydwa w tym samym 1833 r. przestały istnieć; obydwaj zapisały się złotymi zgłoskami na kartach historii kultury narodowej.

III.

E f o r a t.

Eforat początkowo stanowili: St. Potocki, Al. Potocki, O. Kopczyński, K. Diehl i biskup Prażmowski. Później weszli do Eforatu jeszcze: dyrektor Linde, Walenty Sobolewski i pastor ewangelicko-luterski Szmid. Lindego mianowano eforem wkrótce po rozpoczęciu lekcji, tytułem nagrody za owocną pracę nad Liceum. Szmid i Sobolewski weszli dopiero w drugim roku istnienia Liceum, na krótko przed wyjściem Prusaków z Warszawy. Eforowie bywali od czasu do czasu na lekcjach, brali udział w półrocznych obradach z nauczycielami, asystowali przy półrocznych egzaminach uczniów, angażowali nauczycieli w ścisłym porozumieniu z kamerą i Departamentem, dawali urlopy nauczycielom, zwalniali uboższych uczniów od opłaty szkolnej — wogóle Eforat stanowił łącznie z dyrektorem zarząd nad szkołą. Do Eforatu też zwracać się mieli ze skargami: rodzice na nauczycieli i nauczyciele na dyrektora. Korespondencya Eforatu zwolniona była od opłaty pocztowej. Jako instytucya rządowa, Eforat prowadził wszelką korespondencyę tylko w języku niemieckim. Korespon-

dencyę układał zazwyczaj K. Diehl, a podpisywali wszyscy eforowie. ¹⁾

Jakkolwiek atrybucye Eforatu były dość ograniczone, a rola jego redukowała się właściwie do roli instytucyi figuralnej, jednak, działając zgodnie i jednomyślnie, Eforat wykazał wiele energii i gorliwości w zabiegach o rozwój i dobro szkoły. Organizacyę Liceum i tryb nauczania szczegółowo określał Statut. Eforat nie miał prawa wprowadzać tu żadnych zmian ani innowacyi, nie mógł też bez zezwolenia Kamery rozporządzać kasą licealną. Zwłaszcza przykrą dla Liceum była całkowita zależność od Kamery i Departamentu w sprawach finansowych. To też czyni Eforat starania w Departamencie Finansów dla Prus Południowych o rozszerzenie swej kompetencyi na sprawy finansowe Liceum i o bezpośrednią zależność od Departamentu z pominięciem warszawskiej Kamery.

Stosunki Eforatu z warszawską Kamerą były nieprzyjazne. Eforat wciąż użalał się na Kamerę przed ministrem Vossem, w którym miał swego orędownika. „Kamera warszawska tak dotąd postępowała, że mogłoby to w najwyższym stopniu ujemnie oddziaływać na stan i rozwój Królewskiego Liceum“—pisał Eforat do Vossa. A dalej skarżył się, że Kamera nieregularnie wypłacała pensye nauczycielom; że bez żadnych ku temu powodów wyznacza wyższą płacę protegowanym przez siebie kollaboratorom; że nie chce odnajmować nauczycielom mieszkań w pałacu Saskim, gdy Eforat dążył do tego ze względów szkolnych; że podnosi wciąż cenę komornego mieszkającym już tam nauczycielom. „Także nieprzyjemnem jest dla Eforatu — czytamy w skargach tegoż przed Departamentem — że o postanowieniach Wysokiego Departamentu dowiaduje się przeważnie w pierw publiczność, niż Eforat. Najświeższym przykładem tego może być sprawa najłaskawiej wyznaczonych przez Wysoki Departament dodatków do pen-

¹⁾ Karol Diehl, pastor warszawskiego zboru ewangelicko-reformowanego, był bardzo wybitną postacią ówczesną. Urodzony w r. 1765 w Lesznie, kształcił się na uniwersytetach w Halli i Frankfurcie. Za czasów Księstwa Warszawskiego został generalnym seniorem zborów ewangelicko-reformowanych; w r. 1811 wybrano go deputowanym na sejm; był członkiem Izby Edukacyjnej a później Komisji wyznań religijnych i oświecenia publicznego; należał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk; za Królestwa Kongresowego zaszczycony został szlachectwem dziedzicznym. Zmarł w Poznaniu w r. 1831. Niżejsza publikacya opiera się w znacznej części na pozostałych po nim rękopisach.

syi nauczycielom.⁴ Dalej żalił się Eforat, że Kamera nie chce wyznaczyć płacy dla pomocnika ks. Demetry'ego, który nie mógł sam jeden nauczać religii katolickiej, mając około 300 młodzieży; tembardziej, że Statut zabraniał urządzania klas, liczniejszych nad 50 uczniów. Na ponowne odezwy dyrektora Liceum w tej sprawie Kamera przysłała Eforatowi rezolucyę, z której „wnioskować można, że mniemania Kamery nie są zgodne z zasadami religii katolickiej. A zasługuje przecież ta religia, której nauczyciel jest węzłem pomiędzy zwierzchnością a podwładnymi, na to, aby państwo się nią opiekowało, by ją zachowywało, odpowiednim szacunkiem darzyło i należytą troskę o właściwe jej nauczanie wykazywało. Poświadczoną kopię tej rezolucyi Eforat przyłączył do swych skarg. „W celu zapobieżenia na przyszłość takim wypadkom — czytamy dalej w tej korespondencyi — byłoby najwłaściwszem, aby Eforat bezpośrednio podlegał Wysokiemu Departamentowi, ażeby wszystkie swe sprawozdania i zawiadomienia bezpośrednio mu przysyłał, a postanowienia i rozkazy Wysokiego Departamentu wprost od niego otrzymywał.“ W sprawie zaś rozszerzenia swej kompetencyi w dziedzinie finansowej Liceum pisał Eforat do Vossa: „W zupełności zgadzamy się z Waszą Ekscellencyą, że zarząd działem naukowym i finansowym nierozdzielnie w jednych powinien spoczywać rękach. Jeżeli dziedzina naukowa może wchodzić w zakres kompetencyi Eforatu, nie narażając spraw szkoły na żadne niebezpieczeństwo, to sądzimy, że i działem finansowym może tak samo zarządzać Eforat, jak i Kamera Królewska. Dotąd zarówno Kamera, jak Eforat, nie są w stanie ułożyć budżetu Liceum, określić jego dochodów i wydatków; tylko jeden Wysoki Departament może zdecydować, ile z kasy głównej ma być wyasygnowane dla Liceum, ponieważ on jeden zna potrzeby wszystkich szkół w Prusiech Południowych. Obecnie zaś Kamera w sprawie każdego wydatku powyżej 60 talarów zwracać się musi o pozwolenie do Wysokiego Departamentu.“¹⁾ Dalej Eforat motywował swe skargi tem, że ciągle zatargi z warszawską Kamerą już bardzo dokuczyły eforom i osłabiły w nich chęć do pracy dla Liceum; że wyższej instancyi łatwiej z oddalenia, niż zblizka zachować obiektywizm w różnych kwestyach spornych; że decyzye w sprawach Liceum ulegają opóźnieniom i bywają niejednolite, ponieważ ma ono aż kilka władz nad sobą etc. Eforat żądał przyznania mu prawa w rozporządzaniu su-

¹⁾ Korespondencya Eforatu do ministra Vossa z 18 kwietnia 1806 r.

mami, przeznaczonemi dla Liceum warszawskiego, czyli większej w tym zakresie kompetencji, niż miała warszawska Kamera. Minister Voss, chociaż przychylnie usposobiony dla Liceum i Eforatu, nie akceptował odrazu powyższych projektów. Voss doradzał zgodę z Kamera. „Przy exempcyi Liceum z pod zwierzchnictwa Kamery spodziewać się ono może nie pomocy, lecz przeszkód z jej strony; ażeby uniknąć tego, proponuję drogę pośrednią — wspólne działanie Kamery i Eforatu dla dobra Liceum... Taka jest tutaj opinia w owej sprawie i takie moje przeświadczenie, co nie wyłącza jednak wprost przeciwnej opinii Szanownego Eforatu. Szanowni Eforowie wiedzą przecież, że Departamentowi dla Prus Południowych sprawa Liceum leży na sercu i że Departament stara się obiektywnie rozpatrzyć wszystkie względy za i przeciw tym wnioskom.“¹⁾ W końcu Eforat uzyskał bezpośrednio zwierzchnictwo Departamentu i niewielką kompetencję w sprawach finansowych Liceum; ale przyszło do tego dopiero na kilka miesięcy przed Jeną i Auerstedtem.²⁾

IV.

N a u c z y c i e l e .

Wiadomo, że wartość szkoły zależy przedewszystkiem od kwalifikacyi nauczających. Liceum od początku swego istnienia miało dobrych nauczycieli. I nadal, aż do r. 1833 górowało obasadą profesorską nad innymi szkołami. W r. 1817, gdy zakładano Uniwersytet Warszawski, kilku nauczycieli Liceum objęło katedry uniwersyteckie, a profesor Liceum ks. Wojciech Szwejkowski obrany został rektorem. Nauczyciele Liceum dzielili się na profesorów i danych im do pomocy kollaboratorów. Za czasów pruskich uczyli profesorowie: Samuel Bogumił Linde, „fil. dr., niegdyś publiczny nauczyciel w akademii lipskiej, potem przełożony biblioteki J. W. hrabiego Józefa Ossolińskiego w Wiedniu, teraz efor i dyrektor Królewskiego Liceum,“ uczył podówczas języków starożytnych; Józef Łęski, dawniej profesor matematyki

¹⁾ Korespondencya Vossa do Eforatu z dn. 21 marca 1806 r.

²⁾ Od końca kwietnia 1806 r. Eforat bezpośrednio porozumiewał się z Departamentem we wszystkich sprawach szkoły. Ostatnie pismo Eforatu do Departamentu opatrzone datą 9 września 1806 r.

w Warszawskim Korpusie Kadecim, potem profesor matematyki w Krakowskiej Akademii, w Liceum wykładał matematykę i fizykę; Jan Krzysztof Stöphasius, przedtem rektor gimnazjum perleberskiego w Brandeburgii, wykładał języki starożytne, retorykę oraz język i literaturę niemiecką; Józef Rousseau, „od wielu lat przełożony słynącej tu prywatnej edukacji,“ autor używanego w Liceum podręcznika do nauki języka francuskiego, uczył języka i literatury francuskiej; M. August Ferdynand Lindau, dr. fil., przedtem nauczyciel w gimnazjum berlińsko-kolońskim, uczył starożytnych języków i literatury; Dawid Chrystyan Beicht, przedtem nauczyciel w Głogowie na Śląsku, tłumacz na język niemiecki dzieła Abbego Galiani—„O handlu zbożowym,“ wykładał historię i geografję; Konstanty Wolski, eks-pijar, wykładał język i literaturę polską; Edward Fryderyk Tymn, dr. med., za Komisji Edukacyjnej rektor szkoły akademickiej na Starem Mieście, w Liceum uczył historii naturalnej; G. Z. Vogel, nauczyciel rysunków, wydał na miedzi ryte wzory do nauki rysunków; J. K. Werbusz, nauczyciel kaligrafii i języka rosyjskiego; Feliks Bentkowski, później autor „Historii literatury polskiej,“ podówczas kollaborator przybyły ze studyów z Niemiec, uczył łaciny, greckiego i niemieckiego, w r. 1806 mianowany został przez Departament profesorem wskutek przedstawienia Eforatu.

Religii i moralności nauczali: ks. Demetry, gwardyan klasztoru Kapucynów i ks. Terencyan z tegoż klasztoru (wyznanie rzymsko-katolickie), pastor K. Diehl (ewangelicko-reformowane) i pastor Szmid (ewangelicko-augsburskie).

Prócz powyżej wymienionych, wykładali jeszcze kollaboratorzy: Furmankiewicz, Grem, Grote, Hauk, Huisson, Jahnke, Kąkowski, Krysiński, Kunigk, Lefort, Mahée, Pyka, Patz, Siebert, Stöphasius (młodszy) i Wołowski. Za czasów pruskich mianował nauczycieli Eforat w porozumieniu z Kamerą i Departamentem. Kamera zatwierdzała wybór Eforatu i przesyłała nauczycielom nominację. Pierwsi nauczyciele zostali zaangażowani bez udziału Eforatu, ponieważ ten rozpoczął urzędowanie dopiero 12 grudnia 1804 r. Zwierzchnictwo nad nauczycielami należało do dyrektora i Eforatu. Dyrektor miał bezpośredni nadzór nad wewnętrznym biegiem życia szkolnego w Liceum. Statut nakazywał mu częste odwiedzanie nauczycieli na lekcyach, pilne baczenie, by nauczyciel „podczas lekcyi nie innymi, prócz przepisanych przedmiotów się bawił.“ „Także prywatne życie nauczyciela — powiadał Statut—przedmiotem będzie uwagi i bacności dyrektora; ale w tej mierze roztropnie ma postępować i wtenczas tylko użyć przyzwoi-

tych środków przeciw niemu, kiedy przez gorszące życie siebie i instytut szacunku publicznego pozbawia“ (§ 15, str. 32). Dyrektor w ostatnią sobotę każdego miesiąca zwoływał sesję nauczycielską dla narad nad biegiem spraw szkolnych. Protokół obrad wpisywał do osobnej księgi jeden z nauczycieli języka niemieckiego. Księgę tę przedstawiano konsyliarzowi departamentowemu lub eforom, gdy odwiedzali Liceum. W końcu każdego półrocza dyrektor składał Eforatowi piśmienne sprawozdanie ze stanu Liceum. W raportach tych dyrektor podawał: czego uczono w ciągu półrocza z każdego przedmiotu i w każdej klasie, listę uczniów wszystkich klas z krótką charakterystyką każdego, według odpowiednich rubryk z księgi cenzur, opinię o każdym nauczycielu, wreszcie uwagi o stanie szkoły i jej potrzebach. Eforat załączał do raportu zdanie o dyrektorze i przysyłał go Kamerze.

Z historią Liceum Warszawskiego związane jest ściśle imię długoletniego dyrektora tej szkoły M. S. B. Lindego. Bardzo pochlebne opinie o nim przysyłał Eforat z urzędu Kamerze i Departamentowi. „Sąd nasz o dyrektorze instytucji — pisał Eforat do Departamentu dn. 1 maja 1806 r.—nie uległ zmianie. Ożywiony takim samym zapałem, a bogatszy w doświadczenie, mądrze i umiejętnie kieruje sprawami Liceum.“ Linde przez cały czas istnienia Liceum był jego dyrektorem, a po przekształceniu tej szkoły na warszawskie gimnazjum gubernialne pozostał jego kierownikiem aż do r. 1835. Sławny lingwista, autor „Słownika języka polskiego,“ członek Izby Edukacyjnej a później Komisji Oświecenia i Wyznań Religijnych, kandydat z ramienia Komisji na stanowisko rektora Uniwersytetu Warszawskiego, poseł sejmowy za czasów ery konstytucyjnej Królestwa, zaszczycony był wszelkimi godnościami przez społeczeństwo polskie i cały ówczesny świat naukowy. Aczkolwiek pozostawił po sobie niejedno przykre wspomnienie z racji zachowania się politycznego, zwłaszcza po r. 1831 i swej daleko posuniętej gorliwości urzędniczej, ¹⁾ w dziedzinie pracy wychowawczej, jak i naukowej, zasłużył na wdzięczną pamięć potomności. Przedewszystkiem staraniem i pracą Lindego wzrastało i kwitło Liceum.

¹⁾ W r. 1832, gdy powstał „Komitet klasyfikacyjny urzędników Królestwa Polskiego,“ Linde był jego członkiem i imieniem Komisji Oświecenia wydawał atestacye, często bardzo złośliwe, o zachowaniu się każdego z nauczycieli podczas wypadków 1830—31 r. Bieliński: Uniwersytet Warszawski, t. III, str. 91—97.

Za czasów pruskich dyrektor i stali profesorowie mieszkali obok szkoły w pałacu Saskim. W sprawie wynajmowania tych mieszkań nauczycielom tak motywował Eforat swoje podanie do Kamery: „Im bliżej Liceum mieszka nauczyciel, tem mniej naraża swe zdrowie wskutek złej drogi i niepogody; łatwiej mu stawić się w szkole na oznaczoną godzinę i rozciągnąć baczniejszy nadzór nad uczniami. Mieszkając blisko szkoły, zyskuje nauczyciel na czasie, zwłaszcza, gdy wypadnie mu godzina wolna między dwiema lekcyami, jak to często wynika z rozkładu godzin. W razie zaś nagłej choroby, łatwiej nauczycielowi zawiadomić o tem dyrektora, który wyznaczy zastępcę, aby w żadnej klasie nie brakło nauczyciela. Rodzicom i opiekunom, którzy nie mogą sami czuwać nad wychowaniem swych synów lub powierzonych im chłopców, Statut radzi oddawać ich na stancyę do nauczycieli. W ten sposób niektórzy z nauczycieli, o ile będą mieszkali w pobliżu Liceum, nietylko polepszą byt własny, ale zarazem przyczynią się do pomyślnego stanu i szybszego rozwoju szkoły. Zarówno, jak dla nauczycieli, korzystnem będzie i dla pensyonarzy mieszkanie w pobliżu szkoły, a rodzice i opiekunowie należycie ocenią znaczenie tego ciągłego nadzoru, nawet gdy chłopcy idą do szkoły lub wracają. Ale może ktoś powie, że to samo osiągnąć można, jeżeli nauczyciele zamieszkają w wynajętych domach prywatnych w pobliżu Liceum. Lecz odpowiednich domów brak, a gdyby nawet były, to nauczyciele, mieszkając w nich, byłiby narażeni na wyzysk i częstą zmianę lokalów, pomijając już inne niedogodności. Moglibyśmy podać inne jeszcze powody w celu poparcia naszej prośby; lecz zdaje nam się, że dość powyżej przytoczonych, aby Wysoka Kamera J. K. M. zechciała wziąć pod uwagę, cośmy powiedzieli, i zadość uczynić naszej prośbie.“¹⁾

V.

Organizacja.

Fundusze Liceum stanowiły: opłaty od uczniów i subwencya rządowa, wyznaczona przez Departament z ogólnych sum edukacyjnych Prus Południowych. Na urządzenie Liceum rząd wydał

¹⁾ Korespondencya Eforatu do Warszawskiej Kamery z dn. 17 lutego 1805 r.

w pierwszym roku około 4500 talarów, prócz subwencji na pensye nauczycieli. Subwencya ta w drugim roku istnienia Liceum (1805—6) wynosiła 8406 talarów. Z tej sumy opłacano tylko dyrektora i stałych profesorów. Płaca kollaboratorów i tymczasowych pomocników pokrywaną była z opłat uczniowskich, jak i wszelkie inne wydatki szkolne. Eforat usiłował wyjednać u Departamentu podniesienie subwencji do wysokości 12 a przynajmniej 10 tysięcy talarów. Wykazywał on, że $\frac{5}{8}$ dochodów Liceum z opłat od uczniów szło na wynagrodzenie kollaboratorów i pomocników; zamierzano zaś, stosownie do zleceń Statutu, przystąpić do urządzenia klas równoległych, do założenia ogrodu botanicznego, powiększenia biblioteki, zbiorów naukowych etc. Pieniądze, pobierane za naukę szkolną, dyrektor obowiązany był natychmiast odesłać do Kamery; mogły pozostawać w kasie szkolnej tylko pieniądze, pobierane od uczniów na bibliotekę licealną. W sprawach wydatków szkolnych decydował Departament. Kamera mogła zezwolić Eforatowi na wydatek, nie przenoszący 60 talarów. Pensya stałych nauczycieli wynosiła rocznie 500—1000 talarów; dyrektor pobierał około 1500 tal. Pensya kollaboratorów wynosiła 150—400 tal. Płacono kollaboratorom około 3 florenów (albo 12 srebrnych groszy—Silbergroschen) za godzinę lekcyi. Kollaborator do nauki rysunków otrzymywał po 4 floreny za lekcję.¹⁾

Opłata za ucznia wynosiła 24 talary na rok, 12—na półrocze. Rodzice, posyłający do szkoły kilku synów, płacili za każdego po 18 talarów rocznie. Prócz powyższej opłaty, uczniowie składali co pół roku po 2 talary na bibliotekę i pomoce naukowe i jednorazowo, przy wstąpieniu do Liceum—talara. Uczniów uboższych, a zdolnych i pracowitych, za każdorazowem osobnem zezwoleniem Kamery, Eforat zwalniał od opłaty. „Gdyby—powiadał Statut—wyjątkowo uzdolniony młodzieniec (ein vorzüglicher Kopf) pokazał się w elementarnej lub miejskiej szkole, którego przyjęcie do Liceum bezpłatnie nawet mogłoby być z korzyścią dla rządu, natenczas Eforat, do którego rodzice, opiekunowie i t. d. takiego młodzieńca udać się mają, doniesie o tem Kamerze, a ta okoliczności te rozpoznawać będzie“ (§ 3, str. 39).

„Szkołę uważać należy jako udzielną społeczność, przez pewne prawa skojarzoną, której celem jest nauka i kształcenie młodzieży. Każda społeczność, ażeby się nie rozprzegła i nie chy-

¹⁾ Ten sam nauczyciel rysunków otrzymywał na ówczesnych prywatnych pensjach po 6 florenów za lekcję.

biła swego celu, tak być urządzoną powinna, aby jej członkowie łączyli zgodnie rozmaite usiłowania swoje moralne ku zobopólnemu działaniu. Co inaczej być nie może, tylko gdy prawo stosunki ich oznaczy“—orzeka Statut (§ 1, str. 29) i szczegółowo określa organizację szkolną. Stosownie do Statutu, rok szkolny dzielił się na dwa półrocza. Półrocze zimowe zaczynało się w tydzień po św. Michale; letnie — w tydzień po Wielkiejnocy. Na wakacje, t. zw. kanikuły, przeznaczano w sierpniu dwa tygodnie; oprócz tego, urządzano dwutygodniową przerwę w lekcjach przed rozpoczęciem półrocza letniego i tygodniową przed rozpoczęciem zimowego. Lekcje odbywały się codziennie przed południem — latem od godz. 7 do 11-ej, zimą od 8 do 12-ej; po południu — latem i zimą od 2 do 4-ej. Najmłodsza klasa rozpoczynała lekcje o godzinę później — latem o 8-ej, zimą o 9-ej godz. Kurs nauk w Liceum był siedmioletni. Przyjmowano chłopców od 7-go roku życia. Wiek uczniów w stosunku do klas nie był ściśle określony; w klasach wyższych byli i dwudziestokilkuletni młodzieńcy.

Warunki przyjmowania uczniów tak określał Statut:

1) Przechodzący powinien być wprawiony w czytanie polskie i niemieckie.

2) Powinien złożyć poprzednio niżej wyrażoną opłatę szkolną półroczną.

3) Rodzice albo opiekunowie jego powinni się obowiązać posyłać go na nauki czysto ubranego, opatrzonego w książki, tudzież rzeczy, potrzebne do pisania i rysunków, a to nieprzerwanie przez ciąg półroczny nauk.

4) Mogą wprawdzie i tacy być przyjętymi, którzyby w niektórych tylko przedmiotach chcieli brać oświecenie; ale nieinaczej, jak pod następującymi warunkami: *a)* nauczyciel tej nauki oznacza, do której klasy w tej nauce mają być przyjętymi; *b)* zapłacić mają całkowicie opłatę szkolną; *c)* mają się poddać prawom porządku szkolnego, jak jest w tych klasach, do których są przyjęci (Część III, rozdz. II, § 2).

Po wyegzaminowaniu i oznaczeniu do której klasy z każdej umiejętności uczeń może być przyjętym, przyprowadzano go do dyrektora, który w obecności opiekuna odczytywał mu „Ustawy dla uczniów Królewskiego Liceum Warszawskiego.“ „Ustawy“ te, ułożone przez dyrektora przy współdziałaniu Eforatu, zatwierdzone przez Kamery, wydane zostały drukiem po polsku i po niemiecku z podpisem eforów.¹⁾ Obejmowały one 20 paragrafów,

¹⁾ Ustawy dla uczniów Król. Liceum Warszawskiego. Warszawa, 1805.

które jasno a zwięźle określały obowiązki ucznia. Oto ostatnie z nich:

§ 18. ... wkłada się na uczniów ten święty obowiązek, aby i w domu z każdej pory tak drogiego i prędko upływającego czasu korzystali końcem użycia swych sił i talentów do nabycia coraz większego światła, podług podanych sobie przez nauczycieli sposobów i prawideł.

§ 19. Uczeń Królewskiego Liceum nietylko w szkole, lecz w domu i wszędzie ma sobie postępować sposobem godnym siebie i przyszłego swego przeznaczenia, zatem unikać każdego miejsca, obcowania, a nawet okazji, grożących jego obyczajom lub każących sławę jego.

§ 20. Napomnienia, przestrogi, poprawy, nagany, wyrzuty nauczycieli synowską przyjmie powolnością i ku swej zwróci sprawie.

Te są obowiązki na każdego ucznia Królewskiego Liceum włożone. Młodzieniec, do dobrego skłonny, tem chętniej i pilniej zachowywać je i pełnić będzie, im mocniej przekona się, że jedynie tym sposobem osiągnie celu, który ten instytut edukacyjny dla dobra młodzieży i całego kraju sobie zamierzył. Przestępcy zaś tych praw z początku drogą łagodności, potem przyzwoitemi karami do swoich obowiązków zwróceniu będą; a jeżeli te środki pożądanego nie sprawią skutku, jako niegodni tego instytutu, na zawsze od niego oddaleni zostaną.“

W Liceum panował rygor. Jak wszędzie podówczas, stosowano i tutaj niekiedy karę cielesną. Nazwiska uczniów celujących wymieniano na publicznych popisach.¹⁾

Statut nakazywał szkole jaknajczęstsze porozumiewanie się z rodzicami i opiekunami młodzieży. W końcu każdego półrocza wydawano uczniom, na podstawie t. zw. Księgi cenzur, zaświadczenia o ich sprawowaniu i postępach. W Księdze cenzur były następujące rubryki, określające ucznia: obyczajność, uwaga, pil-

¹⁾ Aleksander Potocki w mowie na pierwszym popisie Liceum w r. 1805, po ogłoszeniu nazwisk uczniów celujących, groził publicznem wymienianiem w przyszłości nazwisk uczniów złych: „Ścisła sprawiedliwość — mówił A. Potocki — kazałaby, głosząc jednych zasługi, wystawić również w obliczu Publiczności tych, co słuszną na siebie ściągnęli nagana. Ten raz pierwszy i ostatni tej hańbiącej nie chcemy kłaść kaźni, spodziewając się, że ta powolność wznieci chęć do poprawy.“ Aleks. Potocki, Mowa wygłoszona na publicznym popisie uczniów Królewskiego Liceum Warszawskiego, dn. 4 kwietnia 1805 r. Warszawa 1805.

ność, postęp w naukach, przyszłość (do jakiego zawodu przeznaczają go rodzice i do czego wykazuje ochotę i uzdolnienie), klasa (tu wypowiadano sąd, czy ma zostać w tej samej klasie, czy może iść wyżej w poszczególnych przedmiotach), biblioteka (czy uczeń korzysta z biblioteki, jakie książki czytywał, co powinien czytywać etc.).

Podczas lekcji używano osobnej dla każdej klasy księgi, gdzie wpisywano nazwisko nauczyciela, treść lekcji i uwagi o zachowaniu się uczniów.

W końcu każdego półrocza odbywały się t. zw. popisy, na których wszyscy uczniowie, podzieleni na grupy według postępów, składali egzamina do klas wyższych. Raz w rok odbywały się popisy wobec licznie zazwyczaj zgromadzonej publiczności, czyli t. zw. publiczne popisy. Na t. zw. prywatnych popisach, w końcu zimowego półrocza, bywał tylko Eforat, przedstawiciel Kamery i zaproszeni nauczyciele szkół pijarskich. Publiczne egzamina powszechnie uważano wtedy za skuteczny bodziec do pracy tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli.¹⁾ Na popis dyrektor zapraszał publiczność „programatem,” drukowanym w języku polskim i niemieckim. „Przedmiotem programatu — mówił Statut (§ 22, str. 33) — będzie interesujące jakie badanie pedagogiczne lub też scyentyficzna jaka materya, do kraju tutejszego stosowna, prócz wiadomości o stanie szkoły.”²⁾

Uczniowie najwyższej klasy składali ostateczne egzamina osobno, w obecności przedstawiciela Kamery i publiczności. Tematy do piśmiennych wypracowań egzaminacyjnych wyznaczał Eforat.

Świadectwo z ukończenia Liceum wydawał Eforat, a poświadcział podpisem i pieczęcią rządową komisarz Kamery.

¹⁾ „Nauczyciele i uczniowie potrzebują czasami nowej do prac swoich pobudki, do czego doświadczenia szkolne, czyli popisy, dobrze odbywane, najlepszym są środkiem.” Niemeyer, Zasady edukacyi. Przekład polski ks. Czarnockiego. Warszawa 1808. § 110, str. 108.

²⁾ Jak dalece przestrzegano w Liceum publicznych egzaminów, świadczy następujący przykład, o którym opowiada Fr. Skarbek w swoich Pamiętnikach. W końcu roku szkolnego 1807/8 klasy starsze w Liceum rozpadły się — część uczniów zabrali rodzice do domu, a część poszła na wojnę. W najwyższej klasie pozostał tylko jeden Fr. Skarbek, który składał wszystkie egzamina przed publicznością; ale ponieważ w wyższych klasach nie uczył się przedmiotów matematycznych, więc nauczyciel, nie mając kogo egzaminować, przywołał własnego syna, już oficera artyleryi, i z nim odbył publiczny egzamin ze swoich przedmiotów.

VI.

Metoda nauczania.

Nowoczesny system nauczania wprowadziła u nas Komisya Edukacyjna. Podupadające za czasów pruskich szkoły pijarskie trzymały się jej zasad i udoskonalały je, wprowadzając stopniowo zmiany w duchu nowszej myśli pedagogicznej. Zaniechano wyznaczania z pośród uczniów „dekoryonów,” pomagających nauczycielom w nauczaniu, zreformowano nauczanie języków nowożytnych, historii naturalnej etc. Liceum, mając dobrą organizację, jasno sformułowany gruntowny program nauczania, doskonałych naogół nauczycieli, ustaliło u nas nowoczesną organizację szkolną i posunęło naprzód metodę nauczania.

W pierwszym półroczu było w Liceum 297 uczniów. „Wszyscy uczniowie naszego instytutu—czytamy w zaproszeniu na uroczystość otwarcia Liceum w dn. 2 stycznia 1805 r. — podług rozmaitych stopniów ich umiejętności, na 7 klas rozdzieleni; to jest: na dwie elementarne, na polską trzecią, na niemiecką trzecią, na polską czwartą, na niemiecką czwartą i na piątą klasę. Podziały na polską i niemiecką trzecią, na polską i niemiecką czwartą, potrzebne były dla nierównej wprawy uczniów w języku niemieckim: jako też jedynie w tym względzie są poczynione; bo zresztą działy te, tak co do pierwszeństwa, jak co do nauk, zupełnie sobie są równe. Nakoniec zachowano przyjęty w tym kraju sposób liczenia klas z niższych do wyższych; ile w tem dogodny, że przy formowaniu się coraz to wyższych klas, nigdy nie zabraknie na wyższej liczbie, coby w przeciwnym przypadku zdarzyć się mogło. Piąta klasa dotąd jest najwyższą, bo wyżej sięgać nam nie pozwoliły umiejętności naszych terażniejszych uczniów; zostają nam więc jeszcze, podług oznaczenia regulamentu, trzy wyższe klasy do przyszłych promocyi, które się powoli formować będą z uczniów w naszej już szkole ukształconych.“¹⁾ Klasę VII utworzono już w drugim roku istnienia Liceum; liczba oddziałów wtedy doszła do 13, a uczniów do 400. Stosownie do ówczesnych zwyczajów, nie wszyscy uczniowie przechodzili kurs przedmiotów

¹⁾ Zaproszenie na uroczystość otwarcia Liceum: „Na uroczyste otwarcie Królewskiego Liceum Warszawskiego zaprasza prześwietną publiczność z woli Eforatu M. Sam. Bog. Linde...“ Warszawa 1805.

w zakresie danej klasy, jak to przyjęto w dzisiejszej szkole średniej, ale zależnie od zdolności i postępów, uczyli się poszczególnych przedmiotów w różnych klasach; więc dany uczeń mógł przechodzić np. kurs łaciny klasy V-ej, arytmetyki klasy III-ej, geografii IV-ej i t. d.¹⁾ Naogół jednak „czwarte klasy ogólnego w doskonaleniu się postępu są trzecimi w niemieckim języku, drugimi w łacińskim, pierwszymi w historii, drugimi w geografii, czwartymi w arytmetyce, drugimi w geometrii. Piąte klasy ogólnego doskonalenia się są w niemieckim czwarte, w łacińskim trzecie, w greckim pierwsze, w geometrii trzecie, w historii drugie, w arytmetyce piąte. Żeby zaś ściślej jeszcze połączyć rozkład, co do umiejętności, z używanym niegdyś rozkładem na klasy (o czem obacz Niemeyer, II, § 137) lekcye jednejże nauki w rozmaitych klasach o jednej godzinie, ile to być może, są dawane, żeby przez takowy paralelizm zaradzić nierówności w wiadomościach pojedynczych uczniów.“²⁾

Stosownie do statutu, na lekcjach języków nie mogło być w klasie więcej nad 30, a na lekcjach innych przedmiotów—nad 50 uczniów.

Bardzo nieliczne podówczas wyższe szkoły w Prusiech nie miały jednolitego planu nauczania. Liceum nie różniło się zasadniczo swym programem naukowym od gimnazyów białostockiego i poznańskiego, ale przewyższało je zakresem poszczególnych przedmiotów. „To jest przeznaczenie Królewskiego Liceum w Warszawie, aby oddana do niego młodzież doskonałą była w tych wszystkich przedmiotach, które należą do ukształcenia rozumu i napojenia serca szlachetnemi uczuciami; a nadto, aby przyzwolcie do ciągu i sposobu nauk dawanych w uniwersytetach przygotowaną została“ (Statut, § 1). W Liceum wykładano: religię wraz z nauką moralności, języki nowożytne — polski, niemiecki, francuski i rosyjski, języki starożytne — łacinę i grecki, arytmetykę, algebrę i geometryę z miernictwem, fizykę z mechaniką, historię naturalną, botanikę, zoologię, chemię z mineralogią i technologią, geografję, historję powszechną brandebursko-pruską i polską, kaligrafię i rysunki z historją sztuki. Nie wszystkie przedmioty były obowiązkowe. Dobrze posiadających języki nowożyt-

¹⁾ Tego rodzaju rachubę klas opisuje Niemeyer w „Zasadach edukacyi i instrukcyi. Tom II, § 99 i § 109. Przekład polski ks. Czarnockiego, Warszawa 1808.

²⁾ Zaproszenie na popis w r. 1806.

ne zwalniano od nauki w szkole. Skarbek opowiada ¹⁾, że przez czas pobytu swego w Liceum nie uczęszczał wcale na lekcye języka francuskiego, ponieważ znał go dobrze z edukacji domowej i już na pierwszej lekcyi zwolnionym został przez prof. Rousseau od tego przedmiotu. Podobnie zwalniano z przedmiotów matematycznych tych uczniów klas starszych, którzy nie zamierzali w przyszłości poświęcić się wiedzy ścisłej.

W wykładzie poszczególnych przedmiotów Statut polecał nauczycielom trzymać się następujących zasad:

„1) Nauka wszędzie ma iść od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych. Na to uczący mają dać baczenie, jako na istotny warunek dobrego uczenia, bądź w ogólnym układzie nauk, bądź w każdej szczególnej nauce.

„2) W każdym przedmiocie tak nauczyciel ma utrzymywać uczniów, ażeby, ile możności, wszystkie ich władze umysłowe pożytecznie ćwiczone i kształcone były. Słów bez wyobrażeń, znaków bez znaczenia, nigdy uczniom nie potrzeba narzucać ²⁾.

„3) Wszystkie przedmioty należy dawać uczniom, zaczynającym w wyjemkach cząstkowych; lecz te wyjemki powinny być dobrane z rozsądkiem i znajomością rzeczy.

„4) Żaden z uczniów nie będzie przypuszczony do lekcyi jakiej umiejętności, jeżeli się w pewnym stopniu nie oswoił wprzód z wiadomościami, które posiadać należy dla jej zrozumienia.

„5) Lubo powinien nauczyciel starać się o to, aby uczniom ułatwić naukę, jednakże w uczeniu ma się wystrzegać wszelkich igraszek dziecinnych. Im więcej uczeń postępuje ku młodzieńczemu wiekowi, tem więcej potrzeba przyuczać go do natężenia uwagi i myślenia z siebie samego, a osobiwie, żeby nawykał pracować nawet mimo chęci.“ ³⁾

Wybór podręczników, szkolnych pozostawiono uznaniu nauczycieli, tylko wybór książek do nauki religii zatwierdzał Eforat.

¹⁾ Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka. Poznań, 1878, str. 13.

²⁾ W Ustawach Komisji Edukacyi Narodowej, wyd. F. Bujalskiego, 1902 r., o powyższem na str. 51: „W sposobie prowadzenia nauki nieodstępnie trzymać się będą (nauczyciele) tego prawidła, aby nigdy nie kłaść rzeczy albo wyrażeń ogólnych, ile możność, przed szczególnemi, trudniejszymi przed łatwiejszemi, złożonych przed pojedynczemi i prostemi, oderwanych myślą przed podpadającemi pod zmysły.“

³⁾ Statut, § 5, str. 4, 5.

Przy wykładzie wolno było używać języka polskiego tylko w dwóch najniższych, t. zw. elementarnych klasach. We wszystkich innych klasach wykład przedmiotów był niemiecki, z wyjątkiem literatury polskiej i francuskiej, „które w rodowitych językach wykładane będą.“¹⁾ Nauczyciel klas elementarnych obowiązany był znać dobrze zarówno język niemiecki, jak polski. Klasy elementarne były tylko tymczasowe: „Dwie te klasy w przyszłości ustać mają, gdy elementarne i miejskie szkoły w Warszawie przyzwoicie rozporządzone będą; ponieważ to, co dwie te klasy obejmują, szkół tamtych ma być przedmiotem.“²⁾ Klasy elementarne istniały w Liceum w ciągu dwóch lat za rządu pruskiego.

W pierwszym roku zezwolono używać języka polskiego w t. zw. oddziałach polskich klasy trzeciej i czwartej. Do oddziałów tych przyjmowano chłopców, odpowiednio przygotowanych ze wszystkich przedmiotów, oprócz języka niemieckiego; oddziały te istniały tylko w pierwszym roku — w drugim już je zniesiono.

Język niemiecki wykładany był we wszystkich klasach. „W tym instytucie — mówił Statut (§ 9, str. 5) — nauka niemieckiego języka do tego stopnia doskonałości ma być doprowadzona, żeby uczeń był w stanie nie tylko uczone w nim dzieła należycie rozumieć, ale tymże językiem logicznie, gramatycznie i gustownie, bądź ustnie, bądź na piśmie myśli swoje tłumaczyć.“ W klasach elementarnych Statut tak polecał uczyć języka niemieckiego (§ 10, str. 6): „Nadewszystko nauczyciel w czytaniu ma dawać bacność na dokładne wymawianie; i dlatego jeden lub więcej peryodów wprzód sam uczniom odczytywać będzie, potem Niemcom rodowitym to samo każe powtarzać, a nakoniec Polakom tak często odczytywać, póki ich wymowa niemiecką zupełnie nie będzie. Odczytaną lekcję w niemieckim języku objaśni; lecz zawsze z tym względem na młodzież polską, aby to, co w niemieckim nie jest dla Polaków zrozumiałe, wykładać im po polsku... Wprawując młodzież w czytanie, nauczyciel da razem bacność i na pisownię niemiecką. Rozbierać mają pojedyncze słowa na głoski i zgłoski uczniowie obu narodów i składać znowu głoski i zgłoski w wyrazy; a to czasem z pamięci, czasem na tablicy. W drugiej niższej klasie ma nauczyciel opowiadać krót-

¹⁾ Statut, § 9, str. 5.

²⁾ Statut, § 10, str. 6.

kie, łatwe do pojęcia i interesujące młodzież historyjki, bajki i t. d. Powieści te każe najprzód rodowitym Niemcom, a potem rodowitym Polakom powtarzać; a nakoniec, jak jednym tak i drugim każe probować, czy zdołają one na piśmie wyrazić. Te roboty, w domu przez nich wypracowane na piśmie, ma nauczyciel w oznaczonej tygodniowej godzinie głośno poprawiać.“ Naukę gramatyki zaczynało dopiero w klasie III (w trzecim roku nauki języka niemieckiego). W klasie IV polecano tłumaczyć teatralne sztuki niemieckie, „przyzwoicie dobrane.“ W klasie V tłumaczono trudniejszych prozaików, jak Schillera, J. Forstera: *Opis Renu dolnego*, etc. W klasie VI i VII wykładano literaturę niemiecką. Do nauki języka niemieckiego używano podręczników: Sulcer I i II część, Fischer—II-ga książka do czytania, Zerrenner—Hülfsbuch, X. Kamiński—Gramatyka: Pölic I i II kurs, Adlung—Gramatyka dla szkół, Eberhardt—Auszug der Synonimik.

Naukę *języka polskiego*, jako osobnego przedmiotu, po raz pierwszy wprowadzono u nas w Liceum Warszawskim; uczono go we wszystkich klasach. Gramatykę rozpoczynano w klasie III (II-im roku nauki języka polskiego). O nauczaniu języka polskiego Statut mówi: „W czwartej klasie zbiór wypisów z prozaicznych i poetycznych pisarzy polskich czytany będzie, z uwagami nad gramatyką i gustem. W piątej klasie klasyczny jaki autor polski będzie dawany. W szóstej klasie literatura polska w języku polskim będzie wykładana. Przez wszystkie te klasy, równie jak w języku niemieckim, uczniowie ćwiczyć się mają w tłumaczeniu się ustnem i na piśmie.“ W klasach niższych czytano i rozbievano urywki z utworów poetyckich: Kochanowskiego, Kochowskiego, Krasickiego, Trembeckiego, Naruszewicza, Karpińskiego i innych; prozę z Górnickiego, Błażowskiego, Naruszewicza, Albertrandego i innych; w klasach starszych rozbievano mowy: Chodkiewicza—*Do wojska*, Dmochowskiego—*O przyjemności*, Śniadeckiego—*O duchu Kopernika*, i inne. Nadto na lekcjach języka polskiego uczniowie wprawiali się w przekłady z języków obcych; na polski tłumaczono np.: z niemieckiego—ustępy z książki Sulcera i powieści historyczne Berkina; z francuskiego: Racina—*Ifigenia* i Giedyka: *Anegdoty o Piotrze Wielkim*. W klasach niższych do nauki języka polskiego używano dwóch książek Mrongowiusza. Stylistykę wykładano według dzieła Golańskiego i przetłumaczonego na język polski dzieła Karłankasa.

Język francuski wykładany był we wszystkich klasach, poczynając od secundy elementarnej. Nauczycielami byli rodowici

Francuzi, znający język polski i niemiecki. W klasie drugiej elementarnej i trzeciej uczniowie Polacy i Niemcy uczyli się języka francuskiego osobno. „Żeby z początku w tej różnorodności języków zapobiedz zamieszaniu, w dwóch najniższych francuskich klasach osobno uczyć się będą rodowici Polacy, a osobno Niemcy: w tym sposobie, żeby pierwszym francuski język przez polski, drugim — przez niemiecki wykładać. Zaczawszy od klasy III (języka francuskiego), młodzież obu narodów razem uczyć się będzie tego języka. Do tej więc klasy nikt nie będzie przyjętym, ktoby języka niemieckiego w tym stopniu nie posiadał, żeby się nim dokładnie i z łatwością nie mógł tłómaczyć.“¹⁾ Statut polecał wykładać język francuski „tym samym trybem, jak polski i niemiecki, postępując od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych. Liczba klas i rozkład ich zostawuje się profesorowi literatury francuskiej, który w tej mierze da baczość na potrzeby uczniów. Zresztą język francuski, równo z niemieckim i polskim, uważa się jako środek uprawienia rozumu i gustu, a oraz, jako język żyjący. Literatura francuska francuskim językiem dawać się będzie.“²⁾

Używano podręczników: Rousseau — Książka elementarna, Giedyke — Wypisy, Siefert — Chrestomatia.

Łaciny uczono w III, IV, V, VI i VII klasach. O nauce języka łacińskiego Statut głosił: „Język łaciński jest językiem umartym; dlatego sposób jego dawania koniecznie innym być musi od sposobu uczenia żyjącego języka.“³⁾ W klasach III i IV „lekcya dla Polaków i dla Niemców będzie oddzielna, ale jedenże profesor, oba języki posiadający, dawać ją będzie, żeby za jego przewodnictwem uczniowie zastanawiać się mogli nad różnością obydwóch języków, przynajmniej przez uczucie, jeżeli nie przez poznanie.“⁴⁾ W III i IV klasie przechodzono gramatykę; w klasach V, VI i VII czytano urywki łacińskie, tłómaczono je na niemiecki. „Do tych klas przyjmowani będą tylko ci, którzy niemiecki język zupełnie posiadają, a historyi i geografii dawnej tyle umieją, że co do ogółu, z obydwoma są oswojeni.“⁵⁾ Ćwiczenia piśmienne stosowano we wszystkich klasach. W dwóch najwyższych klasach wprawiano uczniów w rozmowy łacińskie, „lecz tylko w przedmiotach, tyjących się umiejętności, na które można mieć w tym języku wyrazy. Najdogodniej będzie, jeżeli

1) Statut, § 17, str. 8. 2) Statut, § 16. 3) Statut, § 19, str. 8.

4) Statut, § 20, str. 9. 5) § 22, str. 9.

klasycznego jakiego wierszopisa, np. Horacego, sposobem Miezeralicha na prozę łacińską przekładać będą.“

Do nauki języka łacińskiego używano: Skróconej gramatyki — Brödera, Skróconej instrukcyi do pisania łaciny — Döringa, Wypisów łacińskich — Giedyka.

Z klasycznych autorów tłómaczono: Bajki—Fedra, Metamorphozy—Ovidyusza, Wojnę Katyliny—Sallustyusza, Eneidę—Virgiliusza, „z Terencyusza — Adelfów od I-ej aż do III-ej sceny, z Liwiusza Księgi pierwszej do 25-go rozdziału,“ Julii Caesaris—de bello gallico, Sallustii—belli Jugurth. dimidiam partem, Ciceronis—Orationes pro Archia et pro Marcello.

Język grecki zaczynano w klasie V-ej (III łacińskiej). Do nauki używano Butmana—Gramatyki greckiej, Książki elementarnej — Jakobsa i Chrestomatii greckiej — Giedyka. Tłómaczono z niej bajki Ezopa, urywki z Poliena i Lucyana i Pieśni Anakreonta. Nadto tłómaczono Anabasis—Xenophonta, Iliadę i Odysseę — Homera i Historję Herodota. Przytem uczono się na pamięć urywków greckich i łacińskich.

Przy nauce języków starożytnych Statut polecał nakłaniać do zastanawiania się nad różnością ducha języków greckiego i łacińskiego, tudzież nad wpływem pierwszego na drugi, „przez co im bardzo czytanie klasyków łacińskich ułatwione zostanie. Dlatego jeden i tenże sam nauczyciel dawać ma w najwyższej klasie grecki i łaciński język.“

W klasie VII wykładano uczniom w języku łacińskim literaturę grecką, „zaczawszy od ogólnego rysu jej peryodów, tak we względzie politycznym, jak i literackim,“ oraz t. zw. archeologię i mitologię grecką, czyli naukę o religii, obyczajach, obzawkach i życiu domowem dawnych Greków, „a to dla gruntowniejszej znajomości ducha starożytności i łatwiejszego zbadania dawnych zabytków, tak pisanych, jak i sztuką wyrobionych.“¹⁾ Używano do tego „Daktylioteki“ Lipperta i Montfaucona.

Język hebrajski miał być później wprowadzony w Liceum; Statut tak określał wykład tego przedmiotu: „Wiadomość hebrajskiego języka osobliwiej potrzebna jest przyszłym teologom. W szkołach dosyć będzie na tem, aby uczeń poznał gramatyczne prawidła tego języka, a wprawy nabył w przekładaniu prozaicznych pism Biblii. Dla nauki hebrajskiego języka naznaczają się dwie klasy. W najwyższej klasie nauczyciel rzecz odczytaną

¹⁾ Zaproszenie na popis Liceum w r. 1806.

w hebrajskim, powtarzać ma w tłumaczeniu siedmudziesiąt, aby tym sposobem przygotować uczniów do czytania i zrozumienia Nowego Testamentu, który stąd wyłączony, odsyłamy do biegu nauk w uniwersytetach.“ Statut zapowiadał wprowadzenie w przyszłości wykładu języków angielskiego i włoskiego. Język rosyjski wprowadzono w drugim roku istnienia Liceum. Utworzono dwie klasy języka rosyjskiego. Używano do nauki Chrestomatii Hejma, a przy nauce pisma—sztychowanych rosyjskich „forszryftów,“ wydanych przez nauczyciela tego przedmiotu, Werbusza.

Z pośród „umiejętności,“ wykładanych w Liceum, za pierwszą uważano *geografię*. Zaczynano ją w klasie III i wykładano we wszystkich starszych pięciu klasach. W pierwszej geograficznej (w ogólnym układzie III-ej) klasie wykładano geografię państwa pruskiego: o jego „granicach, o biegu rzek, o górach i t. d. najdokładniejsze i najżywsze wyobrażenie powziąć powinien wtedy uczeń.“¹⁾ W klasach następnych (geograficznych II, III i IV) wykładano geografię państw europejskich; zaczynało od graniczących z Prusami, przytem „im więcej kraj jaki mieszkańców państw pruskich interesuje, tem dokładniejszej wiadomości o nim udzielać uczniom potrzeba“; później przechodzono do innych części świata. W czwartej geograficznej klasie (należeli do niej przeważnie uczniowie ogólnej VI-ej) wykładano geografię dawnej Grecji i dawnego państwa Rzymskiego, „ile jej potrzeba do zrozumienia starożytnych klasyków, z porównaniem teraźniejszych imion i teraźniejszego stanu miejsc i krajów.“ W klasie VII wykładano geografię matematyczną i fizyczną. Do nauki tego przedmiotu dopuszczani byli tylko ci uczniowie, którzy okazali dostateczne postępy w fizyce i przedmiotach matematycznych. Początkowe wiadomości z geografii fizyczno-matematycznej dawano uczniom już poprzednio przy wykładzie geografii politycznej. Statut polecał przy nauce geografii podawanie „pryzwoitych wyobrażeń o mapach czyli kartach i o sposobie rysowania podług zmniejszonej podziałki rozmaitych pomiarów.“²⁾ Jako podręcznika, używano Geografii Fabrego.

Systematyczny kurs *historji* rozpoczynano w klasie V-ej. „Historja — powiada Statut (§ 34, str. 12) — jako pragmatyczne opowiadanie przeszłości, przechodzi zdolności pojęcia dziecinnego, potrzeba do niej utworzonego już wprzód rozumu i rozmaitych poprzedniczych znajomości. Ma więc dopiero się zacząć w czwar-

¹⁾ Statut, § 29, str. 11. ²⁾ Tamże.

tej klasie niemieckiego języka (ogólnej V-ej) i iść przez trzy klasy następnie. Przygotowaniem będzie do niej klasa początkowa. W tej uczniowie mają się przysposobić i zachęcić do nauki historii przez urywkowe wyjemki (durch einen fragmentarischen Unterricht), przez opisy sławniejszych ludzi, w których życiu znajdują się okoliczności, dzieci nawet interesujące, przez opowiadanie szczególnych znakomitszych zdarzeń. Równie polska, jako też i brandeburska historia obfite są w życiopisma (Biographien) i zdarzenia tego gatunku.“ Dawano więc w klasie IV wstępne wiadomości historyczne, a w V-ej historię polską i brandeburską. „Historia ojczysta — powiada Statut — ma przed innemi pierwszeństwo; od niej zaczynać należy; taka tu jest polska. Biorąc ją od epoki, w której to państwo nabyło znaczenia w historii, dociągnie się aż do rozbioru jego. Z nią łączyć należy historię pruską. Historia innych narodów, wpływająca w dzieje tych dwóch państw, a ułatwiająca ich zrozumienie, ma być ułożona jaknajkrócej i tyle tylko dawana, ile zamiar wyciąga (so weit es zweckmässig ist).“ ¹⁾ W klasie VI-ej wykładano historię Grecyi i państwa Rzymskiego. Nauczyciel powinien był zwracać uwagę, aby wykład historii starożytnej ułatwił uczniom zrozumienie greckich i łacińskich klasyków. W klasie VII-ej wykładano historię najważniejszych państw europejskich, poczynając od sąsiadujących z Prusami. W wykładzie należało wykazać, „jaki wpływ rozmaite narody miały wzajemnie na drugie“; skąd nakoniec wyniknął stan rzeczy, „w którym się teraz polerowane narody (die cultivirten Nationen) znajdują.“ Z nauką historii łączono wiadomości o numizmatyce, chronologii i krytyce historycznej. Przy nauce historii zachęcano uczniów do czytania dzieł historycznych oraz pisania streszczeń i wyciągów. Do nauki historii polskiej używano książki Baczka, do powszechnej — dzieła Gallettego i tegoż autora tablicy synchronicznej.

Matematykę wykładano we wszystkich klasach, poczynając od secundy. „Żadna umiejętność, należycie prowadzona — powiada Statut (§ 58, str. 14) — skuteczniej się nie przykłada do kształcenia rozumu, żadna tak nie wpływa do życia praktycznego. Gruntowne zatem jej dawanie, działające na rozum i pojęcie, nie historycznym sposobem na samą pamięć, jak najmocniej zalecamy nauczycielowi.“ „Uczeń w tej umiejętności (§ 40, 1) przez ciąg szkolnego kursu do odejścia na uniwersytet, w rachunkach tak

¹⁾ Statut, § 34, str. 13.

daleko ma być prowadzonym, żeby pojął zasady działania rachunkowego i żeby dzieła o rachunkach praktycznych sam z siebie z pożytkiem mógł czytać. 2) Powinien takiej nabyć wprawy w rachowanie tak z pamięci, jako też liczbami, jaka w życiu popolitem jest potrzebna. 3) Główne zasady geometryi i trygonometryi, bądź prostokreślnej, bądź kulistej—nie tak pamięcią, jako raczej rozumem ogarnąć ma, oraz z przystosowaniem ich do życia praktycznego. 4) Stosunkową matematykę (die angewandte Mathematik) we wszystkich jej częściach posiadać ma do tego stopnia, żeby był w stanie sądenia o przedmiotach przyrodzonych i kunsztowych, ile ich bytność, podług wyobrażeń matematycznych, jedynie jest podobną. 5) Powinien przeniknąć ducha matematyki i cechę różniącą tę umiejętność od filozofii. Ostatnia ta okoliczność przeświadczy go, czy ma szczególniejszy talent do matematyki, lub też przeciwnie.“

Arytmetyki uczono w klasach: secundzie elementarnej, trzeciej i czwartej. Przechodzono działania z liczbami prostemi, mianowanemi i bezimiennemi, „pokazując skrócenia, ułatwiające moltiplicacyę i dywizyą, tak żeby nawet i większe suny z pamięci wyrachować mogli“¹⁾; dalej — ułamki, regułę trzech, spółki, procenty, redukcyę monet i t. d. W klasie czwartej matematycznej, do której należeli głównie uczniowie klas piątych, powtarzano kurs klas poprzednich i jednocześnie przechodzono algebrę—o równaniach pierwszego stopnia, używaniu logarytmów, etc.

Geometrię wykładano od klasy III-ej we wszystkich następnych. W klasie czwartej matematycznej, do której należeli głównie uczniowie klas szóstych, i w piątej matematycznej, złożonej przeważnie z uczniów klasy siódmej, wykładano trygonometrię, posługując się przy wyliczeniach logarytmami. Aby obznajnić uczniów praktycznie z pomiarami geometrycznemi i praktycznem zastosowaniem rachunku trygonometrycznego, wychodzono w pole, wybierając w tym celu południowe okolice Warszawy.

Statut polecał, aby uczniowie przy nauce geometryi robili tekturowe bryły, „przez co nietylko nauka matematyki, a osobliwie część jej o bryłach ulżywa się uczniom, ale i nauczycielowi stręczy się sposób odkrywania w uczniach szczególnej jakiej do robót mechanicznych zdolności, których doskonalenie dla dobra stanu (zum Nutzen des Staats), w swoim czasie przedmiotem będzie szkoły kunsztowej i kupieckiej.“ Do nauki geometryi używano podręczników Shuillera i Hogrewa i logarytmów Wegi.

¹⁾ Zaproszenie na popis Liceum w r. 1806.

Z matematyką łączono naukę zasad mechaniki i przechodzą ją podług drugiej części książki prof. Fischera „z przystosowaniem do młyna zbożowego.“

Fizykę przechodzono w dwóch klasach; do pierwszej fizycznej należeli głównie uczniowie klasy szóstej, do drugiej—uczniowie klasy siódmej. Właściwy kurs fizyki wykładano w drugiej fizycznej. W pierwszej fizycznej dawano tylko urywkowe wiadomości z fizyki. „Wyjemki te (Statut § 47, str. 17), ile interesować mogą uczniów i stosować się do ich pojęcia, dobierane i dawane być mają.“ Wykładano tę naukę dopiero uczniom klas najwyższych, ponieważ „największa część fizyki zasadza się na matematycznych i chemicznych wiadomościach. Niżeli ta tedy dawana być może, uczeń wprzód w tych dwóch posiłkowych umiejętnościach ma należycie postąpić. Po takowem przygotowaniu daje się w jednej klasie krótki wykład systematyczny najznakomitszych przedmiotów tej umiejętności. Historia tej nauki i roztrząsanie rozmaitych domniemań, które, chcąc wyłuszczyć zjawienia natury, poparto z jednej strony, zbito z drugiej strony, należy do kursu uniwersyteckiego.“¹⁾ Wykładano fizykę według „Elementów Eberta“ i podług „Schrödera przez Gilberta wydanego.“ Na lekcjach fizyki robiono doświadczenia.

Historji naturalnej wyznaczono w programie Liceum sporo miejsca, nadając jej także znaczenie w nauce szkolnej, co i przedmiotom humanistycznym i matematyce.²⁾ Po raz pierwszy w naszych szkołach wprowadzono naukę chemii. Utworzono cztery klasy historji naturalnej, zaczynając jej wykłady od secundy. „Pierwiastkowe jej uczenie—mówił Statut—będzie tylko ułomkowe, rozciągające się jedynie do krajowych, a to najznakomitszych płodów natury. Te płody, osobliwie zaś tutejsze najznakomitsze rośliny i zwierzęta, nauczyciel ma pokazywać uczniom na oczy, bądź w naturze, bądź też wyobrażane; nadewszystko zaś jadowite rośliny w naturze pokazywane być powinny.“³⁾ „Za cel nauczycielowi naznaczamy (§ 43, str. 16) doprowadzenie uczniów do tego stopnia, żeby się, za pomocą dobranej książki doręczonej,

¹⁾ Statut § 48, str. 17, 18.

²⁾ Wiadomo, że nauka przedmiotów przyrodniczych w szkołach Komisji Edukacyjnej z czasem uległa znacznej redukcji, ponieważ najgoręcej atakowana była przez żywiły zachowawcze, niechętnie nowemu systemowi nauczania.

³⁾ Statut § 42, str. 16.

wszędzie w naturze i między jej płodami znaleźć umieli. Dlatego powinien: 1) Koniecznie razem pamięć, wyobraźnię i rozum ucznia w tej nauce zaprzętać. 2) Wprawiać go w rozeznawanie cech różniących jedne przyrodzenia płody od drugich. 3) Oswajać go zwolna z językiem systemów, ich między sobą różnicą, i sposobem porównywania ich z sobą. 4) Nauczyciel ma ucznia wprowadzać w samą naturę, i dlatego w swoim czasie odbywać z nim botaniczne przechadzki. 5) Wprawiać trzeba uczniów w zakładanie sobie gabinecików płodów naturalnych; a osobliwie, żeby mieli zielnik żywy (herbarium vivum), do którego rośliny sami zbierać będą. 6) Zwierzchność szkolna obmyśli także w tym celu przyzwoity gabinet historii naturalnej dla pożytku szkoły.“

„§ 44. Najinteresowniejszym przedmiotem w naturze jest sam człowiek. Zatem krótki opis składu jego fizycznego jest istotnie potrzebnym. Przy wykładaniu fizyczności człowieka (des Physischen des Menschen) trzeba także uczniom przekładać kształty budowy ludzkiej, albo w naturze, albo odrysowane.“

Kurs historii naturalnej obejmował w zarysie trzy królestwa przyrody — roślinne, zwierzęce i mineralne.

Chemię, jako przedmiot szkolny, wprowadzono po raz pierwszy u nas w Liceum, przydając tej nauce dużą wagę. „Chemia jest umiejętność, która prawie na wszystkie kunszta i rzemiosła mniej lub więcej wpływa; a bez której większa nawet część umiejętności, jako to—fizyka, mineralogia i t. d., wcale zrozumieć się nie dadzą. Zatem jeszcze w klasach przygotowawczych dawana będzie podług następujących ostrzeżeń: 1) Tylko tych uczniów przypuścić można do tej nauki, co już rachować umieją ułamki dziesiętne. 2) Nauka ma się ograniczać podaniem uczniom najpowszechniejszych wyobrażeń tej umiejętności i znajomością oddziaływań (und der Kenntniss der Reagentien). Teorye, dopiero rozbiory rozmaitych systematów tej umiejętności, jako nie stosowne do wieku dziecinnego, miejsca tu wcale nie mają. 3) Naukę łączyć trzeba z doświadczeniami. Nauczyciel ma wyklądać w praktyce uczniom, okazującym ochotę i talent do tego, jak doświadczenia robić potrzeba, żeby zadania dokładnie rozwiązywać. Rzecz sama ostrzega, że nauczyciel tak co do wyboru, jak co do sposobu doświadczeń, postępować ma z przezornością; dlatego też niektóre tylko doświadczenia z ogniem w tej klasie odbywać będzie, przestając na wyłożeniu uczniom przyporządkzeń i opowiadaniu historycznym sposobu obejścia się w tej mierze razem z jego rezultatami (der Lehrer wird sich begnügen müssen den Apparat hiez zu dem Schöler zu erklären, und die Verfah-

rungsart mit den Resultaten bloss historisch vorzutragen). Przy nauce chemii w roku szkolnym 1805/6 „podano uczniom ogólny rzut oka na tę nową i ważną umiejętność, okazano związek jej zasad i wyliczono pierwiastki ciał i ich różne kombinacye; pokazano nowe znaczki zmysłowe do ich wyrażenia. Nakoniec wspomniano o niektórych przystosowaniach chemicznych, pożytecznych towarzystwu, jako to: o bieleniu, farbowaniu, garbowaniu i o wegetacyi“; obok chemii bowiem wykładano technologię. Statut podawał w tym względzie następujące „ostrzeżenia“: „Tych tylko kunsztów i rzemioł należy uczniom z początku dawać opisy, które do zupełnego pojęcia nie wymagają poprzedniczych wiadomości chemicznych lub matematycznych. Te zaś przedmioty techniczne i roboty kunsztowe, które nie inaczej zrozumieć się dadzą, jak tylko na fundamencie wiadomości matematycznych i chemicznych, należy zostawić do ukończenia tychże umiejętności. 2) Nauczyciel ma uczniów do warsztatów rzemieślniczych i kunsztowych prowadzić; sam zaś wprzód starać się ma nabywać jak najdokładniejszej teorii.“¹⁾ Z nauką chemii łączono naukę mineralogii. Gdy zaś uczniowie mieli już odpowiednie wiadomości z chemii, rozpoczynano wykład fizjologii łącznie z „dyetetyką.“ Przy wykładzie historii naturalnej „najusilniej starano się o to, aby uczniom na oczy, ile możliwości, wszystko wystawiać.“²⁾ Przy nauce botaniki „znaczną liczbę roślin, i świeżych, jak są w naturze, i suszonych, i w właściwych farbach pędzlem wydanych, pokazywano; czasem odprawiano z uczniami przechadzki w zamiarze botanicznym; wkładano ich do suszenia sobie roślin, na robienie z nich zielników. Wprawniejsi w rysunki, rysowali także rośliny i kwiaty tak z natury, jak i z obrazów.“ Przy wykładzie używano książki Hofmana „O ciałach natury.“

Gabinet historii naturalnej nie posiadał jeszcze podówczas bogatych zbiorów i pomocy naukowych; wprawdzie przeniesiono tutaj pozostałe po Szkole kadetów zbiory, z pośród których najbardziej wartościowe były mineralogiczne, stanowiły one jednak dopiero zaczątek właściwych zbiorów naukowych; Eforat więc, chcąc je uzupełnić i wzbogacić, zwracał się niejednokrotnie do Departamentu z prośbą o subwencyę, zwłaszcza na instrumenty fizyczne.

Z „umiejętności, do właściwego kształcenia rozumu służących,“ wykładano *logikę*. „We wszystkich wprawdzie umiejętno-

¹⁾ Statut § 45, str. 17. ²⁾ Zaproszenie na popis w r. 1806.

ściach nauka do tego zmierzać powinna, aby rozum ucznia kształcić, to jest wznosić go do myślenia z siebie samego. Jednakże takowe jego ukształcenie nie byłoby zupełne, gdyby nie był zaznajomionym z prawidłami rozumu, i gdyby go nie zastanawiano nad pochopami do błędów i zabobonów... Nie powinna tedy tu być dawana krytyka rozumu, ale scyentyficzna logika, ile zamiarowi instytutu odpowiada, i praktyczna logika, czyli pragmatyczna antropologia, duchem tym, którym Engel, Funk, Kant odnozę tę światła rozumowego wykształcili... W dawaniu tej umiejętności, więcej przez pytania, a to niby rozmawiając, niż przez ciągle mówienie, postępować należy. Potrzeba tego sposobu w tej nauce tem jest większa, że to, czego się nauczyć mają, już się w nich znajduje, i tylko ostrzeżeni być mają, aby to do siebie poczowali.“¹⁾ Przy nauce logiki Statut polecał dawać uczniom praktyczne ćwiczenia piśmienne, „lecz tylko w języku niemieckim.“²⁾

Naukę religii łączono z nauką moralności. Nauczycielom zalecano, aby przy każdej sposobności wpływali na „formowanie moralnego uczucia“, zwłaszcza przy nauce historii. Na lekcjach religii i moralności zalecano budzić sąd ucznia sokratycznymi rozmowami, „nakazując mu podług wyobrażeń sprawiedliwości i niesprawiedliwości zdanie dawać o przełożonych mu przykładach z świata moralnego.“ Dalej o formowaniu uczuć moralnych czytamy w Statucie: „Do zaostrzenia moralnego rozsądku najwięcej służą przykłady, wystawujące w doświadczeniu możność wypełniania moralnych prawideł“; „zasady moralności dawane będą antropologicznie, to jest rozbierając przeszkody w pełnieniu przepisów rozumu praktycznego, jakie człowiek ma w sobie samym i w tych okolicznościach, któremi jest otoczony; tudzież, jak te przeszkody zwyciężyć należy. W tem nauczyciel nadewszystko wzgląd mieć będzie, tak na obecny stan ucznia, jako też i na stosunki, w jakich bezpośrednio po skończonym biegu szkolnym zostawać ma.“

Nauczycielom religii polecano odwozić uczniów od sporów religijnych. Lekcje religii były jednocześnie przygotowaniem do pierwszej komunii.

Aby w młodości obudzić i kształcić poczucie piękna, wykładano *estetykę*. Ta nauka „dawana będzie w tej klasie, która już w filozofii (podług znaczenia § 51—53) dostatecznie przygoto-

¹⁾ Statut § 51, str. 19. ²⁾ Tamże.

waną, a w rysunkach do pewnego stopnia doskonałości doprowadzoną została.“ Za wielce pomocne do osiągnięcia estetycznego wykształcenia uważano naukę starożytności i mitologię: „Uczyć się ich potrzeba nie tylko dla zrozumienia dawnych klasyków... lecz i dla sądzenia o sztukach wyzwolonych.“ W Liceum wykładano też w krótkim zarysie historię sztuk wyzwolonych, wskazując, „jak każdy uczeń, stosownie do swoich potrzeb, dokładniejszych wiadomości w tym nieskończenie ważnym przedmiocie przez własną pracę nabywać może.“ „Dla zaprawienia gustu, jako też do uszlachcenia serca“ doradzano młodzieży czytanie najwybitniejszych klasyków, zwłaszcza w języku niemieckim i francuskim, ale ostrożnie, „bo trudno sobie wyobrazić, jaka szkoda wynika na całe życie człowieka, z czytania w młodym wieku książek bez celu. Biblioteka szkolna ułatwi w tej mierze przewodnictwo nauczycielom.“¹⁾ Z ćwiczeń „kunsztowych“ odbywały się we wszystkich klasach lekcje kaligrafii i rysunków. Na lekcjach kaligrafii uprawiali się uczniowie w piękne pismo, głównie według wzorów, wydanych przez profesora kaligrafii, Werbusza; oprócz tego na lekcjach kaligrafii przyzwyczajano do racjonalnego prędkiego pisma i uczono temperowania piór według podanych na tabeli wzorów.

„Nauka rysunków—orzeka Statut—zmierza równie do wprawy oka i ręki, jako też do ukształcenia gustu. W pierwszym względzie nigdy nadto wcześnie zacząć nie można tego ćwiczenia; przeto zaraz w pierwszych klasach przygotowawczych ma się rozpoczynać; a to szczególnie starać się tu trzeba, żeby ucznia uprawiać w kreślenie na papierze przedmiotów widzialnych, sprzętów, machin, posad (Anlagen) i t. d., choćby w najprościejszych rysach. Taka wprawa bardzo użyteczną będzie w życiu praktycznym, a znacznym przygotowaniem dla uczniów w przyszłej szkole kunsztowej i handlowej. Później skoro oko i ręka wprawy nabiorą, rysowanie ma być uważane, jako środek kształcenia gustu, i z nią teorię perspektywy łączyć należy.“ W klasach młodszych uczniowie kreślili figury geometryczne bez użycia liniału i cyrkla, później rysowano figury gipsowe, ozdoby architektoniczne, kwiaty, widoki, kopiowano wzory sławnych mistrzów etc. Równocześnie wykładano teorię rysunku. „W całym sposobie postępowania z uczniami w tej sztuce najwięcej starano się o to, aby kształcić każdego, ile można, stosownie do jego przyszłego

¹⁾ Statut § 56, str. 21.

przeznaczenia.“ Rysunki geometryczne, oraz kreślenie map łączono z wykładem matematyki i geografii matematycznej.

Naukę muzyki, tańców, jazdy konnej, fechtunku—aczkolwiek uważano za wchodzące w zakres prywatnego wychowania, zaprowadzono w Liceum, „jako nieobojętne dla wykształcenia młodziana.“ „Do każdej z tych sztuk nauczyciel, łączący zręczność w swojej sztuce z przyzwoitą moralnością, za roczną pracę z funduszu szkolnego ma być wyznaczonym,“¹⁾ a zarząd szkoły obowiązany był wyznaczyć odpowiednie miejsca dla ćwiczeń tego rodzaju. Uczniom, kończącym Liceum, w ostatniem półroczu dawano wiadomości o naukach, wykładanych na uniwersytetach; przytem podawano „historyczny opis niemieckich, a szczególnie pruskich uniwersytetów, ich rozrządzeń, co do umiejętności i ekonomiki, tudzież przestrogi, jak młodzian unikać ma niebezpieczeństw, które tam grozić mogą obyczajom i zdrowiu. Materyały do tej nauki, tak ważnej — powiadał Statut—znajdzie nauczyciel w różnych opisach tychże uniwersytetów, tudzież we własnem swoim doświadczeniu.“ Wiadomo, że od r. 1798 kasa szkolna Prus Południowych subwencyonowała uniwersytety w Halli, Frankfurcie i Królewcu. Każda z tych uczelni otrzymywała z funduszków Prus Południowych po 5,000 talarów. Do nich więc zwracano młodzież polską po wyższą edukację. „Rachowano bowiem na to—powiada Fr. Skarbek—że kilkoletni pobyt na tych uniwersytetach, rozpustna zażyłość z niemieckimi współuczniami i swoboda akademickiego pożycia, wzbudzająca przywiązanie do miejsc i osób, wśród których błogie chwile młodocianego życia pędzono, potrafią przezwyciężyć wstręt polskiej młodzieży do Niemców i wzbudzić w nich zwolna coraz większą ku nim przychyłność.“²⁾

Taki był program nauk w Liceum. Możliwy wykazać w dydaktycznej części jego wpływ programów Komisji Edukacyjnej. Program Liceum przewyższał jednak zakresem wykładanych przedmiotów poprzednie szkoły wydziałowe Komisji Edukacyjnej, jak i współczesne szkoły pijarskie. Statut jasno określał cele, do których zmierzać miało nauczanie każdego przedmiotu i, nie kępiąc zbytnio nauczycieli, wskazywał metodę wykładu. To też organizacja Liceum i jego program oddziaływały na kierunek współczesnych szkół naszych. Izba Edukacyjna, opracowując program

¹⁾ Statut § 66, str. 24.

²⁾ Fryd. Skarbek: Dzieje Księstwa Warszawskiego. Warszawa, 1907, t. I, str. 57.

dla późniejszych szkół departamentowych, za wzór wzięła Liceum Warszawskie.

Wreszcie w tem miejscu wzmiankować należy o bibliotece licealnej. Zawiazkiem jej były książki, pozostałe po Korpusie Kadetów, które niegdyś zgromadził Adam Czartoryski G. Z. P. Zakupiono później za sumę 1,000 talarów dublikaty z Królewskiej biblioteki publicznej w Berlinie. Były to przeważnie dzieła starożytnych pisarzy i kroniki średniowieczne. Rząd obiecywał odstąpić Liceum bogatą bibliotekę, pozostałą po biskupie Krasickim; stała się ona własnością rządową po przejściu przez fiskus długów biskupich. Biblioteka ta, 5,251 tomów licząca, weszła w skład biblioteki licealnej dopiero później, za Księstwa Warszawskiego. Eforat zamierzał utworzyć z biblioteki licealnej — publiczną. Wyraźnie o tem powiada w piśmie do Kamery z dn. 5 marca 1805 r., upraszając o należyte pomieszczenie książek, „tych najwspanialszych tworów ducha ludzkiego różnych czasów i narodów.“ Przytaczam urywek z tego charakterystycznego pisma: „Któż nie stara się osłonić drogiego mu przedmiotu odpowiednią do jego ceny szatą? Bo czyż nie wydają ludzie sądu o wartości samej rzeczy według jej wyglądu? I czyż nie wnioskują stąd, jakim szacunkiem otacza ów przedmiot sam posiadacz? Brak odpowiednich urządzeń w instytucyi tak wysoko cenionej, jak biblioteka, utrudnia jej należyte spełnienie zadania, tem bardziej—bibliotece licealnej, przeznaczonej nietylko dla nauczycieli, lecz dla wszystkich — swoich i obcych, pragnących pogłębiać swą wiedzę w dziedzinie nauki i sztuki. Mielśmy tu niegdyś bibliotekę narodową. Niestety, już jej niema! Biblioteka licealna powinna ją zastąpić, abyśmy z czasem mogli o tamtej zupełnie zapomnieć. I dlatego właśnie, że ma się ona stać kiedyś biblioteką publiczną, powinna otrzymać przedewszystkiem należyte urządzenia zewnętrzne. Jeden przez wdzięczność, inny przez próżność, a inny wreszcie przez patriotyzm powiększy znajdujące się w niej już teraz skarby.

„Wobec tego, że jest u nas bardzo mało bibliotek prywatnych, a i te są tak niekompletne i po większej części dla osób obcych niedostępne, należałoby przeto gorąco pragnąć, aby biblioteka licealna stała się publiczną.“

Biblioteką zawiadywał jeden z nauczycieli, zatwierdzony przez Kamere, i pobierał za to osobne wynagrodzenie. Za czasów pruskich zarządzał biblioteką prof. Beicht; do pomocy miał jednego z uczniów klas starszych. Książki wydawano uczniom dwa razy tygodniowo.

VII.

Po wyjściu Prusaków.

Nadchodzi wojna roku 1806. W listopadzie stają w Warszawie wojska napoleońskie. Niejedną ciężką chwilę przeżyła szkoła, jak i kraj cały w tym czasie. W grudniu otrzymał Linde nakaz, aby w ciągu ośmiu godzin opuścił pałac Saski wraz ze szkołą, biblioteką, zbiorami naukowymi i drukarnią swego Słownika. Od ruiny jednak ocaliły szkołę energiczne zabiegi prezesa Eforatu, St. Potockiego, poczynione u najwyższych dygnitarzy wojskowych i samego cesarza.

Dnia 26 stycznia 1807 r. Komisya Rządząca ustanawia Izbę Edukacyjną. „Eforat, który dotąd jedynie miał zwierzchność nad Liceum czyli Szkołą Główną Warszawską, odtąd nosić będzie tytuł Izby Edukacyjnej, i do niego dozór ogólny Edukacji narodowej i Oświecenia publicznego należeć będzie“ — głosił § 66 „Zasad do urządzenia Komisji Rządzącej i innych władz Jej podległych.“ Prezesem nowoutworzonej Izby Edukacyjnej został prezes Eforatu, Stanisław Potocki, a prócz eforów Liceum weszli do niej jeszcze St. Staszic i J. Lipiński. Izba Edukacyjna, biorąc za wzór Eforat Liceum, utworzyła przy wszystkich wyższych i niższych szkołach w Księstwie podobne Eforaty czyli Dozory, którym powierzono opiekę nad każdą ze szkół. Składały się one z kilku świątłych obywateli miejscowych. „Tak tedy Izba Edukacyjna chwalebłą myśl rządu przeszłego w utworzeniu eforatów czyli dozorów szkolnych przyswoiła, a nawet obszerniej rozciągnęła“ — powiada J. Lipiński. ¹⁾

W czasie wojny liczba uczniów w Liceum spada do połowy; około dwustu z nich opuściło szkołę a wielu stanęło w szeregach wojskowych. Lekcje jednak odbywały się bez przerwy. Do wykładu wprowadzono język polski; lecz organizacja Liceum i plan nauczania prawie nie uległy zmianie. Nauczyciele też pozostali niemal wszyscy. Profesorowie Niemcy, nieznający języka polskiego zaczęli się go uczyć. Profesorowie Beicht i Stöphasius, pomimo sędziwego wieku, wraz z uczniami klasy III-ej uczęszczali na wykład języka polskiego i potem publicznie składali z tą klasą egzamin na popisie w r. 1808.

¹⁾ Sprawa z pięcioletniego urzędowania Izby Edukacyjnej, str. 27.

Liceum, w założeniu swem, było zakładem germanizacyjnym; rząd je otworzył „bądź to dla osłabienia wziętości szkół pijarskich, których dążność Prusakom podobać się nie mogła, bądź też dla nadania edukacji wyższych klas mieszkańców kierunku, zgodniejszego z widokami swemi“ — powiada Fr. Skarbek, wychowaniec Liceum z tych czasów.¹⁾ Jednakże, mimo z góry określonego celu i wyraźnych dążeń germanizacyjnych, Liceum z owych czasów dwuletniego istnienia pod rządem pruskim nie pozostawiło przykrych wspomnień w społeczeństwie polskiem, co było głównie zasługą Eforatu, który, stojąc na straży Liceum, potrafił łagodzić zamierzenia rządowe. Nie mało przyczynili się do tego i sami nauczyciele: „Nauczanie było gruntowne — mówi dalej F. Skarbek—i bez dążeń politycznych. Profesorowie Niemcy nau czali języków starożytnych i niemieckiego, tudzież historii powszechniej i geografii, a Polacy wykładali nauki matematyczne i przyrodzone, historję i literaturę, a to z zupełną niepodległością, nie wynosząc, ani nie upokarzając jednej narodowości dla drugiej. Tym sposobem osiągnęli cel główny usiłowań swoich, to jest, że wzbudzili chęć i upodobanie w naukach i że ocucili w młodzieży niejaka czynność umysłową, która zapowiadała nastanie lepszej epoki rozwoju zdolności polskich.“

Istotnie, w czasach mo że najcięższych dla nas, kiedy duch upadł, a serca napełniły się goryczą i zwątpieniem; kiedy jedni tonęli w apatyi, a drudzy szukali zapomnienia w epikurejskich ucztach i hucznych balach; kiedy na widnokregu ziem polskich zbierały się coraz groźniejsze chmury, niosące zagładę: Eforat nie ustawał w pracy, „cucąc w młodzieży dążność umysłową“ i zaprawiając ją do trudów w nadziei „nastania lepszej epoki.“

WŁADYSŁAW SKUP'.

1) Dzieje Księstwa Warszawskiego. Warszawa 1907, t. I, str. 57.

Wśród moczarów i jezior Florydy.

Już o dziesiątej rano byłem w porcie Hawany, oczekując na parowiec „Miami,” który miał lada chwila zawinąć do przystani. Parowiec ten, utrzymujący stałą komunikację z niedawno założonem miastem Miami w południowej Florydzie, należał do amerykańskiego tow. P. and O. Steamship Comp. Podróż w normalnych warunkach z Hawany do Miami wymaga 18 godzin, włączając w to 4 godziny spędzone zwykle w Key West. Na eleganckim *ferry boat* udaliśmy się na statek, oczekujący nas dość daleko od wybrzeża, ale dopiero o piątej wydostaliśmy się z portu na pełne morze. Pogoda była śliczna, niebo szafirowe, usiane białymi chmurami passatów, panowało wysoko nad nami; ciche lazurowe fale goniły się nawzajem, uwieńczone grzebieniami śnieżnej piany. Jakiś urok dziwny rozlany był w miękkim łagodnem powietrzu. W oddali znikąło białe wybrzeże Kuby, znikąca malownicza Hawana, tylko potężne jej fortece czas jakiś pozostawały jeszcze widoczne. Złote blaski zachodzącego słońca słały teraz potoki oślepiającego światła na powierzchnię spokojną oceanu. Ogarnięte blasków tych pożoga, białe chmury doznawały istniej kąpieli barw rozmaitych — mieniły się kolorytem opalu, barwiły się raptem w szkarłat i purpurę, otulały się w płaszcz fioletowych odcieni. Morze było teraz całkiem zielone, na niebie migotały już gwiazdy, noc ciemna wnet objęła przyrodę w swe posiadanie. Czas jakiś patrzałem przed siebie, żegnając zwrotniki. Rzeczywiście, statek nasz w miejscu tem przekroczył zwrotnikowe krainy i wchodził już w umiarkowane światła strefy. Każdy stopień w kierunku północnym, poczynając z Hawany, wpływa na oziębienie klimatu. Gdy między Hawaną a równikiem różnica szerokości wynosi 23 stopnie, a różnica ciepłoty 1—1½°, to między Florydą a Kubą je-

den stopień szerokości obniża również o jeden stopień temperaturę. Wpływają na to dwie ważne przyczyny: obecność gulfstreamu, który całe swe ciepło oddaje na Kubę, a tylko w małej części od przylądka Sable do Caniaveral dotyka wybrzeży Florydy, oraz że w strefie umiarkowanej słońce nie tylko nie przechodzi dwa razy przez zenit, jak to się w krajach podzwrotnikowych dzieje, ale nie dosięga nawet pionowego położenia. Stąd każdy stopień różnicy szerokości ma prawie podwójne znaczenie na zmianę klimatu. Ciepłota gulfstreamu wynosi w tem miejscu mniej więcej 27—28° i jeszcze o tysiąc kilm. dalej utrzymuje się przy temperaturze 24°, dosięgając Irlandyi przy 15° ciepła. Dzięki całorocznym upałom, jakie panują w zatoce Meksykańskiej, możemy w Europie cieszyć się, nawet pod wysoką szerokością geograficzną, stosunkowo łagodnym klimatem, gdyż masy wód, wysłane ze środkowej Ameryki potężnym prądem gulfstreamu, wpływają na ocieplenie wód mórz europejskich, zatem i na podniesienie ciepłoty wiatrów morskich. Żeby nie gulfstream, Warszawa miałaby klimat Orenburga i uprawa drzew owocowych byłaby u nas prawie niemożliwą. Zwrotnik i gulfstream były teraz na ustach wszystkich podróżnych; pochyleni nad mapami, prowadziliśmy na ten temat nader ożywioną rozmowę.

Pomiędzy pasażerami znajdował się pewien *clergyman-yanka*, mający niewielką posiadłość na wyspie Pinos, położonej na południe od Kuby. Wyspę Pinos (4 tys. kilm. kw.) pokrywają lasy sosnowe, urodzajne sawanny, klimat wszędzie przyjemny i zdrowy, żółta febra nawet podczas hiszpańskich czasów tam nie grasowała. Ananasy dają 6,200 owoców z hektaru, banany 400 pęków, z hektaru pod kawą, ocienioną zwykle bananami, zbierają 8 ton kawy. Cyfry te nasunęły mi pewne refleksye. Gdyby u nas zorganizowało się towarzystwo kolonizacyjne i znalazło kilku ludzi rzutkich i przedsiębiorczych, możnaby całą słabo zaludnioną wyspę zakupić i osiedlić na niej kilkaset rodzin emigrantów, marnie wegetujących w wielkich grodach amerykańskich. Oczywiście na to potrzebaby pewnego kapitału oraz uprzedniej próby, tembardziej, że wychodźca polski o uprawie podzwrotnikowych roślin pojęcia nawet niema. Clergyman opowiadał mi jeszcze, że obecnie $\frac{1}{3}$ część ludności stanowią osadnicy yankee.

Tymczasem statek nasz przekroczył już cieśninę Florida Straits i o drugiej w nocy zarzucił kotwicę w Key West, położonym na małej wysepce koralowej. Nazwa Key West (Klucz Zachodu) pochodzi z przekręconej hiszpańskiej Cayo Hueso (rafa kości). Key West posiada około 20 tys. mieszkańców, przeważnie

Kubańczyków, zajmujących się wyrobem cygar, których produkcya coroczna wynosi do 500 milionów sztuk. Oprócz tego eksportuje do Stanów gąbki, ryby, żółwie. Znaczenie wyspy jest nader ważne pod względem strategicznym; portu jej broni groźny fort Tylor.

Key West jest punktem końcowym kolei Florida East Coast Railroad, długości 260 kiln., począwszy od Miami. Jest to jedno z najzuchwalszych przedsięwzięć, jedyna kolej w swoim rodzaju, która idzie przez moczary południowej Florydy, morze, oraz wyspy koralowe, zw. Keys, ciągnące się długim sznurem w kierunku wyspy Kuby. Początkowe roboty, jako to: zwożenie materiałów (kamieni, piasku, żwiru) do czego użyto 150 statków, rozpoczęły się już w r. 1906. Marszruta kolei zaczyna się od Miami—miasta, dokąd dochodzą ekspresy z N. Yorku w 36 godzin—i ciągnie się wzdłuż wybrzeża oceanu Atlantyckiego aż do cieśniny Blackwater Bay pod 25° 5' szerokości. Tu stanął pierwszy most, łączący wyspy ze stałym lądem Ameryki. Ogółem długość mostów, odważnie rzuconych na morze między wyspami, zajmie 65 kiln., (jeden długości 13 kiln.), a przez moczary między Finder Point i Blackwater Bay 40 kiln. Zbytecznym prawie dodawać, że budowę kolei umożliwia płytkość morza między wyspami—w istocie głębokość rzadko gdzie przekracza 5 metrów. Imponującym zaiste jest widok toru, utrzymanego na wysokości 10 metrów nad poziomem morza. Jako podkłady służą skały koralowe, na które dopiero położono cement powyżej poziomu wód morskich. Linję buduje z isticie amerykańskim pośpiechem 4 tysiące robotników; z otwarciem jej podróż z N. Yorku do Hawany skrócona będzie z 60 na 48 godzin, koszt niektórych wiaduktów wynosi przeszło półtora miliona franków, w niektórych miejscach stalowe ruchome mosty dają przejście okrętom. Z obydwóch stron wzniesione będą wały broniące od zalewu, chociaż w tych okolicach burze są rzadkie, przypływ zaś morski nie przenosi 1 metra wysokości.

Wyspy Florydy, ukryte wśród gajów kokosowych, są niskie i płaskie. Do niedawna rząd rozdawał tu darmo ziemię pod plantacje ananasów, które są wszędzie możliwe, o ile nie brak wody słodkiej. Gdy wyspy te przed 5 laty oglądałem po raz pierwszy były słabo zaludnione — obecnie, jak grzyby po deszczu, wyrosły stacye, osady i miasteczka z kominami fabryk, wyrzucającymi czarne smugi dymu. Czasem ujrzelismy i pociąg, złożony z wagonów pulmanowskich, który dążył z wyspy na wyspę, z szybkością strzały, przebiegając mosty i wiadukty. Co do mnie, ponieważ kolej była ukończona tylko do Knigt's Key, wolałem doje-

chać tym samym statkiem do Miami. Ledwie przybyliśmy do Key West i statek zarzucił kotwicę koło wielkiej grobli, na której wznosiła się komora celna, wnet wyniesiono nasze bagaże do rewizyi. Gburowaci urzędnicy yankee, żując gumę i spluwając co chwila, przy świetle gazowych latarni, powoli oglądali nasze kufry i walizki. Następnie pytano nas w imieniu biura Imigracyi o powody i cel przybycia do Ameryki. Wreszcie po trzech godzinach statek wyruszył dalej i wnet zorza poranna rozwidniła horyzont. Na wschodzie gwiazdy bladły i znikwały; jasna, fioletowa smuga światła wdarła się wysoko ponad różowo-złote blaski królowej Jutrznii. I nagle noc ustąpiła, kurtyna mroku i ciemności podniosła się i ulotniła, odsłaniając na uroczem tle poranku egzotyczny obraz wysepki Key West. Podziwialiśmy teraz zarysy grobli, fortu i miasta, oddalającego się od nas z każdą niemal chwilą. Wzrok bujał po zmarszczonych, ciemno-szafirowych Atlantyku falach, ogarniał białe wybrzeże wysepki, domy wśród zieleni rozrzucone, malownicze kępy wysmukłych palm kokosowych, które przeglądały się w przejrzystej morza toni i posyłały nam ostatnie pożegnanie. Rzeczywiście na północ od Key West orzechy kokosowe trudno dojrzewają — i nie są już we właściwej swej ojczyźnie. Klimat Key West, uczęszczanej dziś przez Amerykanów stacyi zimowej, jest nadzwyczaj łagodny, średnia ciepłota roczna wynosi tu 24,5 (latem 27, zimą 22), słowem warunki tu bardzo dla zdrowia korzystne. Po cudownym poranku nastął dzień piękny, gorący, odświeżany łagodnym passatu powiewem. Minęliśmy nieskończony szereg wysepek koralowych i zbliżyliśmy się koło południa do największej z nich, Largo Key. Wszystkie te wyspy cieszą się doskonałym klimatem i nadają do kolonizacyi. Dziś jeszcze można tu korzystać z prawa homestead, t. j. nabyć darmo ziemię, pod warunkiem, aby na niej zamieszkać i zajmować się rolnictwem. Key Largo położone pod 25^o szer. półn. zajmuje obszar 60 kiln. długi, a od 2—50 tylko szeroki i oddzielony jest przez wąską cieśninę (Cards Sound) od lądu Florydy. Statek nasz godzin kilka płynął wzdłuż koralowych wysp wybrzeży. Starłem się zobaczyć ziemię Florydy, pokrytą w miejscu tem olbrzymimi zaroślami manglów o napowietrznych korzeniach, wrastających w grunt wodnisty. Po południu minęliśmy mniejsze wyspy Old Rhodes, Elliots, Soldier i zarzuciliśmy kotwicę w obszernej zatoce Biscayne Bay przed rafą Fawey Rocks, czekając na przyływ morza, aby dostać się bezpiecznie do portu Miami. Z powodu opóźnienia musieliśmy czekać cierpliwie godzin siedem, podziwiając żarłoczność rekinów, które, długie na stóp 10, gromadami

uwijały się dokoła statku i raczyły się odpadkami z kuchni. Na zielono-przezroczystem tle płytkiej w tym miejscu wody widzieliśmy jak najdokładniej czarne cielska tych ryb potwornych, odwracających się dla schwycenia zdobyczy brzuchem do góry, z powodu osobliwego ukształtowania swych szczęk niezgrabnych, uzbrojonych potężnymi zębami. Dopiero około 10 wieczorem, przy pomocy elektrycznego reflektora, wskazującego nam oświetloną wśród niebezpiecznych raf drogę, zawinęliśmy do portu Miami i wnet, oddawszy rzeczy czarnemu woźnicy, wsiadłem do eleganckiej dorożki, która uniosła mnie pędem do odległego stąd o wiorstę hotelu.

Nareszcie wylądowałem w Północnej Ameryce — byłem na ziemi poetycznej Florydy, jednym z najmniej znanych zakątków świata! Przejęty urokiem ciepłej nocy, oddychałem pełną piersią, upajałem się aromatem kwiatów i roślin egzotycznych. Dokoła migały postacie drzew dziwacznych, gdzieś spostrzegłem światło zapalone w drewnianym domku. Po kwadransie jazdy dorożka zatrzymała się przed hotelem. Właściciel jego, Szwed, wskazał mi bardzo przyzwoicie wyglądający pokój. Posiliwszy się nazajutrz breakfastem, składającym się z lichy przyrządzonego mięsiva, wygotowanej herbaty, owoców i konserw, udałem się na zwiedzenie miasta. Miami (czyt. Maiami) datuje jako osada dopiero od r. 1896, po zbudowaniu bowiem linii kolejowej z Rockledge a względnie Palm Beach do Miami, miejscowość ta zaczęła się rozwijać z prawdziwie amerykańskim pośpiechem i dziś liczy przeszło 10 tys. mieszkańców, posiada wszelkie nowożytnie ulepszenia i 6 gazet codziennych. Podróż z N. Yorku do Miami nie trwa już nawet półtorej doby, pomimo przestrzeni około 1500 mil ang. Miami jest ważnym punktem handlowym, skąd w czasie zimowej pory liczne zastępy turystów udają się do Nassau na położone o 12 godzin wyspy Bahama. Ulice Miami tworzą szachownicę — na każdym kroku znać wzrost miasta oraz pracowitość i energię jego mieszkańców. Nie spotkasz tu żebraka lub proszącego o jałmużnę europejskiego emigranta, każdy ma swoje zajęcie i nie ogląda się na bliźniego. *Time is Money* — jest tu zasada ogólna, jak na całej zresztą przestrzeni potężnego terytorium Unii. Amerykanin odpoczywa przy pracy, a męczy się, gdy próżnuje. Daremnieby w rozkwitającym Miami szukano ławek lub cichego miejsca spoczynku — wszędzie dochodzi nas łoskot warsztatów, świst fabryk oraz lokomotyw pociągu, dzwonek cyklistów, odgłos mechaniczny maszyn do pisania i t. p. objawów amerykańskiego życia. W okolicach miasta nie znajdziesz drzewa bez

nieodzownej, przyklepionej do jego pnia reklamy, która króluje tu wszechwładnie.

Miasto posiada już 5 czy 6 kościołów różnych wyznań, ludność jego złożona jest przeważnie z yankesów; cudzoziemców, jak wszędzie na Florydzie, bardzo mało, murzyni stanowią mniej więcej piątą część ogólnej liczby krajowców. Ruch na ulicach Miami panuje taki, jaki się u nas tylko w przemysłowych miastach widuje. Już sądząc po pośpiechu, z jakim zdążają tu przechodnie, po rozmowie dorywczo dosłyszanej, wyglądzie sklepów, miałem przedsmak, w małej tej osadzie, o życiu takich grodów, jak N. York, Philadelfia, Chicago i t. d. Miami jest przede wszystkim stacją zimową, dokąd od listopada do maja liczni ściągają turyści i chorzy. Klimat tu jest bardzo ciepły, chociaż już nie tak równy, jak w Hawanie; latem passaty odświeżają powietrze, lecz już nie są prawidłowe, jak dalej na południu. Chociaż zimy tu niema, gdyż jest ona cieplejszą, niż lato w Warszawie, to jednak, pod wpływem silnych wiatrów północnych, zdarzają się słabe przymrozki w nocy, ale nie corocznie — rzecz nieznaną na pobliskich wyspach Keys. Klimat Miami, suchy zimą, jest wilgotny latem, deszcze są tu obfitsze, niż w Hawanie, pora deszczowa trwa od czerwca do października, a promienie słoneczne, odbite o biały wapień koralowy, podnoszą nadzwyczajnie ciepłość i czynią lato nader upalnym. W żadnym kraju nie cierpiałem tyle od gorąca, ile we Florydzie, jakkolwiek noce były wcale znośne.

Miami leży na pograniczu strefy podzwrotnikowej i umiarkowanej, co się najlepiej na roślinności odbija. Z owoców rosną papaje, gojawy, pomarańcze, aquakaty, mangi, sapotyle, ananasy, a nie dojrzewają lub wymarzają nader czułe anony, guanabany, drzewa chlebowe. Orzechy kokosowe nie dają się nawet porównać z tymi, jakie na Antyllach spożywałem. Z hotelów pierwsze miejsce zajmuje Royal Palm, wspaniały gmach 4 piętrowy, mogący pomieścić 500 osób. Hotel ten położony wśród ślicznych ogrodów, przy ujściu rzeki Miami nad zatoką Biskayne, odznacza się szklaną galerią oraz rzędem arkad wyniosłych, ocieniających główne doń wejście. Dokoła rozpościerają się gaje palm i królewskie *oreodoxia regia*, oczywiście z Kuby importowane, oraz starannie utrzymane klomby wśród fontann i kwiatów. Imponujące wrażenie, jakie na mnie R. Palm wywarł, wnet zmalowało, gdy się przekonałem, że zbudowany jest on z drzewa, i że nawet schody, galerie, kolumny, zdaleka na włoskie marmury wyglądające, mogą się w każdej chwili stać pastwą płomieni. Podobnie, jak w innych miejscowościach Florydy, murowanych domów, hoteli,

ani kościołów nigdzie niema i trzeba jechać do Jacksonville, aby obaczyć gmachy z cegły i żelaza. Oprócz R. Palm, w którym utrzymanie kosztuje od 30—100 fr. dziennie, są inne, skromniejsze, kuchnia jednak w hotelach jest czysto amerykańska—pieprzna i niezdrowa. Ulice biegną od rzeki ku stacyi z jednej strony, z drugiej od morza na zachód w kierunku sosnowych lasów, zewsząd otaczających miasto. Można by nawet powiedzieć, że Miami jest prosto sosnowym lasem, gdzie tu i owdzie wyrąbano drzewa pod budowę domów i willi. A budowa idzie tu szybko—potrzeba dwóch miesięcy, aby na pustem polu stanęła, a raczej wyrosła z ziemi, ulica eleganckich domków, *cottages* kolonialnych. Styl i rozmieszczenie domów są takie, jak w angielskich koloniach. Są to przeważnie jednopiętrowe budynki drewniane, otoczone ogrodem, oraz obszerną werandą. Drzwi środkowe wychodzą na kurytarz, z którym się łączą inne pokoje. Wszystkie domy są skanalizowane, posiadają też krany z zimną i ciepłą wodą i wszelkie urządzenia higieniczne. Właściciel willi zajmuje się zwykle jakim rzemiosłem lub pracą w agencji przewozowej, spekuluje też na własną rękę, zakupując grunta w pobliżu miasta, córki pełnią obowiązek służących, pani domu dogląda gospodarstwa, synowie zaś w wolnych od nauki chwilach zajmują się ulubionym sportem: grą w piłkę, polowaniem, połowem ryb i t. d.

Nigdzie łatwiej, jak na Florydzie, nie znalazłyby nasze Kasia i Marysie miejsca przy wysokiej zapłacie najmniej 30 rubli miesięcznie. Robotnik pobiera 3 rb. dziennie, rzemieślnik do 4 dolarów i więcej. Jedna z czysto amerykańskich cech tutejszego życia polega na młodym wieku funkcyjaryuszów wszelkiego rodzaju. Spotykałem w Ameryce budowniczych, mających lat 24, przedsiębiorców transportowych 21; zastępca dyrektora jednego z banków miał 19 lat, główny agent kolei 18—cyfry wprost nieprawdopodobne a jednak *dokładnie* podane. W Ameryce wiek nie przeszkadza do rozpoczęcia kariery, przeciwnie—młodzi ludzie są tu bardziej pożądanymi, jako więcej energiczni i przedsiębiorczy, niż starsi. Nieraz jednak omylić się można, określając wiek ogolonego yankee, któremu brak zarostu młodzieńczą nadaje fizygnomię.

Okolice Cap Sable i całego wogóle kraju, położonego w południowych częściach hrabstwa Dade i Monroe są niezdrowe. Grunt wszędzie pokrywają olbrzymie mangrowiowe moczary, wybrzeża jednak obfitują w dobre, głębokie porty jak Whitewater Bay, Flamingo i in. Zaraz pierwszego dnia po przybyciu wybrałem się na przechadzkę do lasów, położonych po drugiej stronie

rzeki Miami. Rzeka ta ma do 5 metrów szerokości i jest splawną dla małych łodzi oraz szalup benzynowych, wody jej są brunatno-przezroczyste, koło ujścia do morza wznoszą się ruiny fortu Dallas, wystawionego w ubiegłym stuleciu przeciw Indyanom. Jak okiem sięgnąć rosną tu wysokie na 10—15 metrów sosny z gatunku *pinus australis*, gęsto podszyte karłowatymi palmami o liściach w kształcie wachlarza rozpostartych. Grunt czarny, równy pokrywało mnóstwo traw i kwiatów brązowych, na żółtych szypułkach umieszczonych, powojów fioletowych, oraz znanych mi z Porto Rico bejuco de puerco. Sosnowe lasy zajmują całą przestrzeń nadmorską wschodniego wybrzeża, nad morzem rosną aż do 26° szer. gąszcze mangrowiowe; dalej mamy sosny, a o milę w głąb lasu niedostępne moczary—*everglady*, dotąd prawie jeszcze niezbadane. Floryda, „kraj kwiatów,“ nazwana tak na pamiątkę odkrycia jej przez hiszpańskiego *conquistadora*, Ponce de Leon, w niedzielę kwietnią 1512 r., włączona dopiero w 1819 do Stanów Zjedn., jest jeszcze dotąd ziemią prawie dziewiczą, utuloną w szaty niepokalane, których drapieżna ręka jej przyrodniego ojca, Wujaszka Sama, zedrzeć dotąd nie zdołała—zaledwie je uchyliła... Wnętrze Florydy dotychczas pozostaje tak mało znanem, jak za czasów Ponce de Leona, który szukał w niem „wiecznej młodości zdroju.“ Dziś kolonizacya wprawdzie szybkie czyni postępy, wszędzie budują koleje, osuszają błota, rozprzedają ziemię, znaczna jednak część Florydy dotychczas na przydomek „dzikiej“ zasługuje. Jeśli rozłożymy przed sobą mapę kraju i przeciągniemy linię od zatoki Tampa na zachodnim wybrzeżu do przylądka Caniaverol na wschodnim, oznaczymy w ten sposób granicę między „cywilizowaną“ a „dziką“ Florydą. W skład tej ostatniej wejść hrabstwa Monroe, Dade, Lee, Desato, Manatee, Osceola, Brevard. Kolonizacya kroczy tu z północy i posuwa się na południe, wydzierając tubylczej indyjskiej ludności zajęte przez nią okolice. Środek tej dziczy zajmują *everglady*, moczary olbrzymie, przerywane bujnie rozrosłymi na „hummock,“ czyli wyższych gruntach, lasami, ciągnące się przeważnie na południe wielkiego jeziora Okeechobee. Do dziś dnia dopiero jednej wyprawie wojskowej udało się przebyć *everglady* w całej ich szerokości—większa zaś część pozostaje nieznaną.

Grunt Florydy jest wszędzie wapienny, koralowego pochodzenia i datuje z okresu pliocenńskiego. Budowa gruntu jest podobną jak na pobliskich Keys: polipy wznoszą pracą stuleci rafy niskie z dna morskiego, rozszerzają je coraz bardziej, w końcu łączą jedne z drugimi, tworzą wyspy podługowate, oddzielające

od stałego ładu płytkie cieśniny i zatoki, które znowu z kolei zostają zamknięte rafami, zamulone mangrowiowemi zaroślami oraz piaskiem, naniesionym przez gulfstream. Zatoki i cieśniny zamieniają się w jeziora, grunta wyższe porastają lasem, niższe tworzą moczary i błota. Z jednej strony brak tu wzgórz—najwyższy hummock nie wznosi się ponad 5—7 m. nad poziom morza, z drugiej strony rzeki i jeziora są płytkie. Nawet Ockeecho-bee, zajmujące obszar pięć razy większy od jeziora Genewskiego, wykazuje tylko 3—4 metrów głębokości.

Godzinami szedłem po sosnowym lesie, rozglądając się ciekawie dokoła. Sosny o czerwonych pniach i rzadkich igłach dawały dużo żywicy, ale mało cieniu, stąd upał panował tu nieznośny. Od czasu do czasu mijałem sklecone naprędce szałas, gdzie nagromadzono materiały dla budowy domów. Wszędzie kraj miał już swego właściciela yankesa w zawiniętych rękawach od koszuli, ze skórzanym pasem, zakładającego sobie siedzibę. Im dalej się w las zagłębiałem, tem droga stawała się coraz gorszą, w końcu znikła zupełnie; grunt pokrywała mokra trawa — byłem już na granicy moczarów. Powietrze pełne było aromatu balsamicznych sosen, dokoła fruwały motyle, chrabąszcze, z lasu dochodził śpiew przedrzeźniacza, tego amerykańskiego słowika, nad głową unosiły się urubu, sępy drapieżne. Fauna Florydy nie jest bogata, pomimo, że ptaków wodnych spotyka się wiele odmian. Zwierząt drapieżnych niema, za to aligatory i węże przeróżnych gatunków stanowią plagę tutejszą. Ale należy zaznaczyć, że niebezpieczeństwo jadowitych gadów jest mniejsze, niżby o tem z opisu uprzednich podróżników wnioskowano. Pamiętam, czytałem w poważnym tygodniku geograficznym, „Tour du Monde,“ następujące opowiadanie pewnego uczonego na podstawie badań w r. 1853: „Kraj w pobliżu Indian River należy do najciekawszych z powodu wielkiego bogactwa swej fauny. Pewnego razu, gdy ostro jechałem na koniu, ujrzałem węża długiego na stóp 12, który, stojąc na swym ogonie, skakał z bajeczną szybkością i ścigał się z moim koniem. Gadzina ta, gruba jak ramię, zwana jest przez tutejszych osadników *wąż-bicz*, może dogonić konia i zadać śmierć jeźdźcowi w pełnym biegu.“ Innym razem *wiarogodny* podróżnik mówi o mrówkach, które szły takimi stadami, że zmuszały ludzi do ucieczki. Najmniej prawdopodobny wydaje mi się opis z grzybami. „Chodząc po cyprysowym (?) lesie, znaleźliśmy się w miejscu, gdzie otwierał się parów głęboki i ciemny. Ledwie zdołaliśmy wejść na dno jego, gdy raptem posłyszeliśmy huk, niby wystrzał armatni i niebawem drobny proch zastonił nam

oczy, a powietrze stało się nadzwyczaj gęstem i cuchnącem zgnilizną. Gdyśmy wreszcie przyszli do siebie, ujrzelśmy się w lesie grzybów olbrzymich, z których niejeden miał kilka metrów wysokości. Za najłżejszem dotknięciem ręką grzyby owe, z gatunku *agaricus*, wylatywały z hukiem strasznym i smrodliwe gazy czyniły dłuższe przebywanie w parowie wprost nieznośnem...“ Mógłbym w ten sposób przytoczyć całe ustępy, nic z rzeczywistością nie mające wspólnego. Wąż-bicz nie goni za jeźdźcem, mrówki nie napadają na ludzkie siedziby, grzyby zaś nie przechodzą rozmiarów tych, jakie się w innych krajach widuje. Aligatory, trapione przez myśliwych, spotykają się coraz rzadziej, tylko okolice Okeechobee aż roją się od tych żarłocznych jaszczurów. Węzów jest gatunków kilkadziesiąt, wiele jadowitych, najgorsze z nich grzechotniki lubią suche miejsca, ale węże tutejsze, jak i węże całego świata, nie napadają na ludzi i na odgłos ich kroków natychmiast zmykają. Kto chodzi, nie patrząc na gwiazdy tylko, uważając, gdzie stąpa, nigdy na niebezpieczeństwo się nie narazi.

W południowej Florydzie mamy przeważnie—lasy sosnowe oraz moczary; w środkowej—lasy strefy umiarkowanej, łąki błotniste i jeziora; w północnej—lasy mieszane i pola uprawne; nigdzie jednak nie spotykamy tu puszczy gęstych, złożonych z drzew wysokich, podzwrotnikowych w rodzaju manigua lub selvasów południowej Ameryki. Zarośla palm karłowatych na południu, gaje wdzięcznych *palmettos* dalej na północy nie mają tej cechy bujności, tak charakterystycznej dla krajów gorącej strefy. Za to pod drzewami mamy wiele kwiatów pięknych i barwnych, gdy drzewa rzadko kwiaty okazałe posiadają, zaś lłany cierniste lub nikłe nadają krajobrazowi bardziej smutny i jednostajny wygląd. Nieprawdziwym jest również twierdzenie, że klimat tego kraju jest zabójczy dla europejczyków i że jedyne osady, jakie się spotykają na południu Jacksonville, są to forty okolone palisadą i wzniesione przeciw okrutnym Indyanom Seminolom, śmiertelnym wrogom „bładych twarzy.“ Później będę mógł udzielić czytelnikowi nieco wiadomości o Seminolach, których tragiczna historia budzi szczerą ku nim sympatyę. „Błazi ludzie“ niezawsze bowiem okazali moralną wyższość i cała ich taktyka polegała na ciągłym wprowadzaniu w czyn zasady „siła przed prawem.“ Zdrowotność Florydy jest bardzo dobra (śmiertelność wynosi 18 na 1,000), rasa europejska zaaklimatyzowała się tu doskonale i nie straciła na swej energii, malarye zaś częste są w okolicach błotnistych, rzadko jednak złośliwe. Floryda z r. 1880 a Floryda dzisiejsza nie są do siebie podobne. Dziś kraj ten jest jednym wielkiem

sanatorium i z dumą rości sobie prawo do nazwy „Kalifornii Wschodu.“ Rolnictwo, t. j. uprawa ananasów, drzew owocowych, kukurydzy, trzciny cukrowej, bawełny kwitnie, chów bydła przedstawia się nader korzystnie, a młodociany przemysł zaczyna już poważną grać rolę.

Wybrzeże nad zatoką Biscayne tworzy płytką plażę, gdzie-niegdzie naga, gdzieindziej znowu pokrytą bujnymi zaroślami mangrowiowemi. Mangle należą do rodziny *rhizophoraceae* i posiadają liście skórzaste, korzenie napowietrzne i kwiaty. Główna osobliwość mangłów polega na tem, że już na drzewie owoc kiełkuje i wydaje korzeń, wrastający w grunt wilgotny. Kora ich zawiera garbnik, z którego praktyczni Amerykanie, w nowozałożonej fabryce, wyrabiają 60 buszli dziennie. Praca mangłów nad rozszerzaniem wybrzeża i wydzieraniem morzu ziemi, jest bardzo powolna ale nieustanna. Prąd morza znosi tu muł, piasek, żwir wapienny, wreszcie gałęzie spróchniałe, kawałki pni, stare belki, muszle, które unieruchomione przez korzenie mangłów, wnet przesuwają linię wybrzeża. Wody zatoki Biscayne są pięknej, lazurowej barwy, nader przezroczyste, głębokość jej wynosi tylko 2—3 metrów. Oprócz rekinów spotykają się tu słynne *tarpony*, długie do 8 stóp, a ważące nieraz do kilku pudów. Połów ryb stanowi ulubiony sport Amerykanów, co roku też wyznaczają nagrody sowite dla wybrańca losu, który największą złowi sztukę. *Tarpony* łowią zwykle na trójzab, do którego przymocowana jest mocna lina, którą się trzyma w ręku. Godzinami stałem na wybrzeżu, przypatrując się rybom dziwnym, gromadnie płynącym wśród białych polipów i koralu, tworzących z misternych swych gałęzi prawdziwe lasy podwodne. W miejscach głębszych leżały gwiazdy morskie czerwone, dalej muszle i konchy wszystkich barw tęczy, poruszały się sepie białe i różowe, *hippocampus* czyli koniki morskie i przeróżne twory, jakie się w akwaryach widuje. Opodal ciągnęły się bujne łąki, pokryte tysiącami kwiatów, fioletowych powojów. Wśród nich małowzrostłe drzewa wiecznie-zielone rozpięły swe potężne konary nad czerwonymi *almacigos*, gwajaków osypanych niebieskimi kwiatami. Z drzew użytecznych zauważyłem dogwood (*piscidia*), których odwar jest silnym narkotykiem. Indyjanie używają liści *piscidii* do zatrawiania wody w rzekach w czasie ryb połowu. Przegrodziwszy palisadą lub założywszy sieć poniżej miejsca, gdzie liście *piscidii* zostały do wody wrzucone, Indyjanie bez trudności w przeciągu pół godziny wszystkie ryby wydostają i wybrawszy z nich najlepsze, smażą je opodal na roznieconem w krzakach ognisku.

Dokoła ówierkały zwinne koniki polne różnych rozmiarów, muchy zielone, czarne, brązowe, unosiły się wraz z pomarańczowymi motylami w powietrzu. Floryda jest krajem much i koników polnych; muchy dochodzą wielkości naszych bąków i są nader dokuczliwe, koniki zaś odznaczają się rzeczywiście amerykańską energią, gdyż w oka mgnieniu potrafią przeskoczyć przestrzeń 50 metrów.

Na drodze spotykałem jeźdźców na koniu, murzynów na mułach lub na wozach, naładowanych różnymi produktami. Typy murzynów na Florydzie są bardziej charakterystyczne, niż czarnych obywateli Antyllów, afrykańska bowiem rasa tylko słabo z białą się tu mieszała. Murzyn jest kolonistą drugorzędnym w porównaniu do yankesa i mimo przyjaznych dlań warunków klimatycznych, nie osiągnął tych korzyści, jakieby przypaść mu mogły. Znaczna część gruntów należała przez długi czas do Hiszpanów na mocy traktatu z 1819 r., zdawałoby się więc, że większa własność ziemska przyciągnęłaby murzynów na plantacje bawełny i trzciny cukrowej, jak to się stało w sąsiedniej Georgii i Alabamie, oraz że ubodzy murzyni ziem pogranicznych nabyliby tu grunta pod kolonizację po wojnie 1867 r. Tymczasem rozwój kolonizacji Florydy zupełnie co innego wykazuje. Do r. 1842 Floryda znajdowała się poza obszarem cywilizowanym Unii i tworzyła kraj raczej przez Indian, walecznych Seminolów, niż białych zamieszkały. Odtąd aż do 1867 r. Floryda sprzyjała idei uwolnienia czarnych, lecz z powodu epidemii żółtej febry, bądź z braku dogodnej komunikacji idea ta rozwijała się bardzo powoli. Dopiero w ostatnich latach zaszła raptowna zmiana, lecz i teraz kolonizację prowadzą tu prawie wyłącznie anglo-sasi — murzyni zaś przez manewry rządowe, brak inicjatywy oraz wrodzone lenistwo, zostali do pewnego stopnia wyrugowani z przypadającego im udziału w ogólnym postępie kraju, jak o tem nas uczą dane statystyczne, z których wynika, że w ostatniem dziesięcioleciu ludność biała wzrastała 5,7% rocznie, gdy czarna tylko 3,1%, czyli że na jednego „blackman'a” wypada 6 białych kolonistów. W czasie wojny secesyjnej 1861 r., Floryda z powodu odmiennych ekonomicznych warunków oddzieliła się od południowych Stanów i połączyła z Unią północną. Murzyn nie był tu nigdy tyranizowany przez białych, jak to się działo w sąsiednich ziemiach, zawarcie pokoju nie wywarło też klęski i ruiny, w jaką pobliskie Stany niebawem popadły. Era niewolnictwa, na ogół biorąc, przeszła tu prawie niepostrzeżenie, ze względu na mały obszar w tym czasie uprawnych gruntów. Murzyn z łatwością uzyskał

prawo obywatelstwa, chociaż, jak wszędzie, uczuł nad sobą groźnie wzniesioną rękę białych kolonistów. Równouprawnienie bowiem czarnych istnieje tylko na papierze i zarówno na kolejach, jak w hotelach, w gminie, w każdym publicznym miejscu, oddzielono skrupulatnie murzynów od innych „obywateli“ i utrzymano w całej swej mocy różnicę rasową. Przez nazwę *coloured people* rozumieją równie czarnego jak heban *blackman'a*, jak żółtego mulata o wełniastej czuprynie lub *tercerona*, u którego znać już przewagę krwi europejskiej, ci zaś ostatni cierpią najbardziej na obecnym stanie rzeczy. Ileż razy, podczas mych podróży, widziałem jak śliczna biała kobieta o bladej cerze, niebieskich ciemnych, pełnych wyrazu oczach i zgrabnej kibici, siedziała obok swego narzeczonego—czarnego, rubasznego murzyna, którego nos spłaszczony i odwrócone na zewnątrz wargi nie dodawały mu z pewnością wdzięku. Otóż biedna dziewczyna była ofiarą brutalności kodeksu amerykańskiego... Jako „kolorowa“ mogła wyjść za mąż tylko za „kolorowego.“ Z białym na amerykańskiej *wolnej* ziemi, małżeństwo jej byłoby nieważne. Potrzeby życia murzyna są ograniczone, chociaż „*blackman*“ z Florydy żywi się i mieszka lepiej, niż czarny z Jamajki i Kuby. Dom murzyna jest to zwykle chata drewniana z belek sklecona i umeblowana bardzo skromnie. We wnętrzu znajdziemy stół, kilka sprzętów grubo ociosanych, łóżko, służące nieraz dla całej rodziny, kilka gospodarskich sprzętów i wreszcie biblię oprawną — oto cały majątek biednego „*blackmana*,“ cała spuścizna trzech stuleci niewolniczej jego ojców pracy! Murzyn Florydy czyta gazety, pisze listy, jest wyborcą, posyła dzieci do szkoły, a nawet ma pewien komfort domowy, nieznany kubańskiemu „*goajiro*“ lub portorykańskiemu „*jivaro*.“

Zwiedzając Miami, przyglądałem się budowie domów, zaglądałem do warsztatów, rozmawiałam z yankesami, którzy wprawiali się w zawzięcie w strzelaniu do celu. Przedsiębiorczy właściciel wyznacza codzień za najlepszy strzał premię 2 dolarów, w dniu zaś świąteczne nawet 10, czem zachęca publiczność do zakładów i napełnia swe kieszenie brzęczącymi „*nickels*.“ W oddalonych stanach Unii najniższą monetą, znajdującą się w obiegu, jest *nickel* (10 kop.). Miedzi nie widziałem tu wcale. W Miami znać na każdym kroku, że jesteśmy w „*great country*,“ wielkim kraju, oraz w „*new country*,“ nowym kraju, jak yankesi swą ojczyznę nazywać zwykli, w przeciwstawieniu do „*old country*,“ starego kraju, t. j. Europy, a w szczególności Anglii. „*Are you from New York?*“ (czy pan jest z N. Yorku?) — pytali się mnie wygoleni dżentelmani, zapijając chłodzące trunki oraz klasyczne

Ice cream soda. „No—odpowiadałem.—I am from Europe.“ Nie-raz mniemano jednak, że jestem z N. Yorku. „You are all right, il you are a new yorker“ (pan jest w porządku, jeśli jest z N. Yorku)—mówił mój interlokutor, mlaskając językiem i zapalając cygaro. „No—protestowałem.—I am e european!“ „European? That's no good.“ „To niedobrze, bo pan jest ze starego kraju, gdzie wszystko jest przestarzałe i złe.“ I gdy na te słowa roześmiałem się, yankes dodał, jakby na pocieszenie: „Ale jeśli pan ma pieniądze, to jest w porządku, zawsze jednak niech pan bierze przykład z p. Flagler'a, najlepszego człowieka z Florydy.“ A gdy zapytałem na czem polegają zasługi p. Flagler'a, powiedziano mi, że jest milionerem i zrobił pieniądze w krótkim czasie, a przecież pieniądze stanowią wartość człowieka. Takie rozumowanie w Europie wyglądałoby na żart, w Ameryce jednak wszyscy zapatrują się w ten sposób. *The allinighty dollar* (potężny dolar) jest rzeczywistym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Amerykanie lubią dużo zarabiać, ale i dużo wydawać. W sklepach ceny są stałe, nikt się tam nie targuje. Gdy jaki dżentelman w spodniach i koszuli bez kamizelki—strój pospolity zresztą na całym południu—wchodzi do sklepu i kupuje jaki przedmiot, często nawet nie pyta o cenę, wyjmuje tylko, jakby się pozbywał niepotrzebnej rzeczy, kilka srebrnych dolarów z kieszeni i ciska je raczej niż kładzie na stole. „A couple of dollars“ parę dolarów, co znaczy od 2 do 20 i więcej — oto co może dany przedmiot kosztować, a pozatem cóż obywatela Unii obchodzi dokładna cena towaru?... Jak dostanie resztę, nie liczy jej nawet, tylko chowa do kieszeni i wychodzi bez żadnego do widzenia, ani dzień dobry. Często gdy dwóch „busy yankees“ czyli spieszących się yankesów, spotyka się na ulicy, pierwsze pytanie dotyczy zawsze interesu. „Allow—mówi jeden — have you got easy money for me?“ (czy pan ma dla mnie łatwe pieniądze, t. j. dobry interes.) „Yah! I just got easy money no risk. Sure!“ (O tak, właśnie przedstawia się świetny interes bez ryzyka. Niezawodny!) i zaczyna dopiero w kilku słowach istotę rzeczy wyluszczać. Gdy skończy, rozstaje się wnet ze swoim znajomym. „I'll see you again,“ ja pana jeszcze zobaczę—mówi na pożegnanie. Ostatni ten frazes jest nadzwyczajnie używany w Ameryce i bardzo wygodny. W ten sposób yankesi przerywają rozmowę i znikają. Zdarzało mi się, że jeśli się z kim nawet dłużej znałem, o ceremoniach pożegnania nawet mowy nie było, „ja pana zobaczę“ wołali moi zamorscy przyjaciele, przekonani w duszy, że to jest wprost niemożliwym—i rozstawaliśmy się tak na zawsze...

Ile razy na Florydzie przedstawiałem się jako Polak, dodawano zawsze z pewną naiwnością: „A jednak pan na Żyda nie wygląda.“ W południowych bowiem Stanach Unii Polak i Żyd jest jedno i to samo. Powodem tego jest oczywiście, iż Żydzi mianują się wszędzie Polakami i tłumnie emigrują do tych okolic. Na północy różnica między Polakiem i Żydem jest każdemu yan-kesowi wiadomą, tembardziej, iż Żydzi amerykańzują się nader łatwo i zapominają po kilku latach języka polskiego, którym w większej części słabo władają.

Po zwiedzeniu bliższych okolic, zapragnąłem poznać choć mały zrąbek niedostępnych everglądów i o drugiej po południu płynąłem na łodzi naftowej w górę rzeki Miami. Prąd rzeki jest tu nader słaby, jak w całej Florydzie, gdzie spadki są nieznaczne, a najwyższy punkt kraju pod Teallahasee wznosi się tylko na 100 stóp nad poziomem morza. Brzegi niskie pokrywały mangle, lilie białe, bambusy o wyźółkłych od upału liściach, sitowia i trzciny. Czasami ujrzeliśmy smukłą palmę królewską lub srebrzystą *thrinax*, czasem krzak *carica papaya*, uwieńczony kilkoma dyniami. Brzegi utworzone z mułu, były w części zalane mętną, brunatną wodą. Kilka lat temu polowano tu na aligatory, dziś jednak w bezpieczniejsze przeniosły się strony. Dno rzeki składało się z wapienia koralowego, grunt, o ile nie zawiera humusu, jest mało przepuszczalny, bardzo jednak urodzajny. Okolice rzeki zajmują wielkie plantacye ananasów, grape fruit, pomarańcz i gojaw. Jedną z tych plantacyj zwiedziłem szczegółowo, oprowadzany przez właściciela. Ananasy ustępują dobrocią kubańskim; sadzą je latem, zbierają w końcu wiosny. Drzewa owocowe wymagają kapitału, gdyż procentują dopiero po 7 latach. Pomarańcze i kwaskowate grape fruit udają się za to wybornie i trudno też sobie wyobrazić coś piękniejszego, jak sad pomarańczowy w głębi Florydy. Drzewa te bowiem krzewią się od samej ziemi, wypuszczając mnóstwo, osypanych setkami olbrzymich owoców, gałęzi. Pomarańcze Florydy są okrągłe, ciężkie, wielkie, gruboskórne i nie zawierają wiele soku, jak gatunki podzwrotnikowe. Na miejscu owoce sprzedają drogo, bo cały zbiór wysyłają specjalnymi pociągami do północnych Stanów.

Upojeni aromatami plantacyi, powróciliśmy do łodzi i w pół godziny później przybyliśmy do miejsca, gdzie rzeka otrzymuje przypyływ South Fork czyli „południowe widło.“ Okolica była już pustą, niezaludnioną. Dokoła ciągnęły się soczyste, nawpół zatopione łąki i moczary, pełne lilij, irysów, nenufarów, olbrzymich liści arum o żółtych kwiatach. Plantacye się już skończyły—by-

liśmy w evergladach, na ziemi Indyan Seminolów. Historia Seminolów—to dramat cały usnuty na tle egzotycznych krajobrazów Florydy. Nie będę tu wymieniał innych wodzów, wspomnę tylko imię walecznego Oceali, który przez lat kilka zadawał porażki wojskom, wysłanym przez rząd Stanów w r. 1835 dla wypędzenia czerwonoskórnych i zabrania ich ziemi. Siedem lat trwała wojna okrutna, tysiące Indyan i białych poległo—wreszcie Seminole po śmierci wodza poddali się i zostali przesiedleni nad rzekę Arkansas. Nie wszyscy jednak Indianie przyjęli warunki zgody, niektórzy cofnęli się w głąb kraju, w niedostępne everglady, gdzie do dziś pędzą koczownicze życie.

Seminole stanowią gałąź nacyi Muscogee, dawno już wygasłej i dzielią się na 3 plemiona: Big Cypress, Cow Creek i Miami. Pierwsi zamieszkują okolice Fortu Myers, a więc w zachodniej części evergladów, drudzy koło Fort Pierce w północno-wschodniej części, Miami zaś obozują koło tego miasta i wogóle na południe Okeechobee. Wszyscy ci Indianie używają jednego narzecza, chociaż rozumieją po angielsku, są przeważnie chrześcijanami, względem białych usposobieni są nieprzychylnie. Bo i cóż im cywilizacya przyniosła? Zabrano im ziemię, wypędzono ich w moczary, skazano na głód i wymarcie. Co roku biali zacieśniają swe koło i okrażają Seminolów, których liczba nie przenosi dziś 300. Pozatem do trzech tysięcy zamieszkuje stan Oklahoma. W ciągu dalszej podróży miałem sposobność ich oglądać. Noszą koszule bawełniane, przepasane w biodrach skórą, na głowie mają pióra. Seminole mówili mi, że corocznie prywatni spekulanci chcą zakupić od nich grunta, lecz oni wolą kawałek własnego pola, niż pieniądze. Od czasu napływu turystów, czerwonoskórzy sprzedają im młode aligatory, żółwie, czaple, flamingi. Żegnając się z wodzem Indyan, który na znak swej godności trzymał długi kij w rękę, zapytałem go, co Seminole myślą o białych i jak się na postępowanie yankesów zapatrują. Na te słowa wódz wyprostował się, wskazał ręką na słońce, zakreślił nią koło i tak mi łamaną angielszczyzną odpowiedział: „Wasz naród zabrał ziemię Seminolów i wypędził nas z niej. Ale Seminole żyją—i dopóki ostatni Indianin będzie patrzył na słońce, stojąc na swojej ziemi, dopóty ta ziemia nie będzie waszą!“—poczem w milczeniu skinął głową w moją stronę i przyłączył się do swych współbraci.

Po paru godzinach żeglugi, znaleźliśmy się u kresu wycieczki, dalej bowiem rzeka nie była już spławną i doszliśmy do miejscy, skąd rozległy widok roztaczał się na tajemnicze everglady. Jak okiem sięgnąć, mieliśmy przed sobą obszary olbrzymie, po-

rosłe bujną trawą, kępami trzciny, sitowi, oraz „sawgrass“ (cladium). Łąki zatopione ciągnęły się aż na skraj horyzontu do ciemnej linii lasów, między którymi błyszczały w promieniach słońca liczne stawy i jeziora. Drzewa ubrane kotarami ljan i otulone w szaty mchu hiszpańskiego (tillandsia), sprawiały dziwnie smutne, cmentarne wrażenie. Daremnie wzrok szukał osad lub śladów ludzkiego życia—wszędzie rozpościerały się dzikie, puste, odstrasające everglady, których wyższe miejsca zarastają lasy, niższe „swamps“ zajmują łąki, najniższe wreszcie „sloughs“ jeziora i stawy, obejmujące, stosownie do pory roku, mniejsze lub większe obszary. W moczarach pełno aligatorów, jaszczurek, węży, ryb natomiast niewiele, za to ptaków bogactwo nadzwyczajne. Moczary zajmują około 40 tys. kilm. □ czyli $\frac{1}{4}$ całego półwyspu.¹⁾ Nad brzegami rząd pobudował kilka fortów czyli palisadą otoczonych szałasów, gdzie znajduje się kilku uzbrojonych ludzi oraz zapasy żywności. Everglady są niedostępne dlatego, że na łodzi przedostać się przez nie niepodobna, a grzęznąć w trawie i błocie na niejedno naraża niebezpieczeństwo. Na szczęście jesteśmy w Ameryce, w przedsiębiorczym kraju dolara. Co zdawało się niemożliwem wczoraj, będzie łatwem do wykonania jutro, a nawet pewne towarzystwo podjęło się zdrenować 4 miliony hektarów przez kanał już ukończony, przez który wody jeziora Okeechobee odprowadzono do zatoki Meksykańskiej rzeką Caloosohatchee i jak już wspominałem tow. E. C. Railroad rozpoczęło osuszać południową część dla ukończenia budowy kolei Cap-Sable.

Nazajutrz rano udałem się koleją do Palm Beach, najwięcej uczęszczanej zimowej stacji w południowej Florydzie. Pociąg składał się z kilku wagonów pulmanowskich tylko I klasy, dla murzynów przeznaczono osobny wagon z napisem „coloured,“ do którego białym wstęp jest surowo wzbronionym. Służba kolejowa jest wogóle niegrzeczną, podróżni czują się prawdziwie niezależni na wolnej ziemi amerykańskiej—bo tylko na siebie samych liczyć mogą. Gdy kto zapyta konduktora kiedy się przyjeżdża do danej miejscowości lub gdzie się ma przesiadać, usłyszy stereotypową odpowiedź: „Can't tell you“—wyjątek istnieje tylko dla dam, dla których wszyscy są uważający. W biurach kolejowych również odpowiadają niechętnie lub żadnej nie dają informacyi, za to na każdym dworcu i w hotelu znajdziemy broszury z mapą kolei,

¹⁾ Właściwie tylko 10 tys. kilm., resztę bowiem stanowią sawanny i hummock—grunta zdadne pod uprawę.

rozkładem jazdy i t. p. Taryfy są nader wygórowane i ceny prawie podwójne, niż w Stanach północnych.

Odległość z Miami do P. Beach wynosi 66 mil ang. Krajobraz jest dość jednostajny, stacje leżą o kilkanaście wiorst jedne od drugich, ale wygląd ich jest jakby prowizoryczny; wszędzie widać drewniane domki, na prędcie sklecone, wśród olbrzymich lasów sosnowych, gęsto podszytych niebieskawymi krzakami palmetto o wachlarzowatych liściach. Mijamy kolejno Arch Creek „arkadowy strumień,” nazwany tak dlatego, że przepływa pod naturalną koralową arkadą o kilkaset metrów od ujścia, dalej Fulford i Ogies, Fort Landerdale, Hypoluxo, gdzie zaczyna się Lake Worth, oddzielone od morza na kilometr szeroką piaszczystą ławą. Sama osada rozłożona jest na stałym lądzie, nad zielonkawymi wodami L. Worth, wśród gajów wiotkich palm kokosowych. Ciekawa jest historia tych palm. Przed laty rozbił się tu hiszpański bryg Prowidencya, powracający do Kadyksu z ładunkiem kokosowych orzechów, które fale morza wyrzuciły i zagrzebały w piasku wapiennym. Ale kokosy Palm Beach nie rosną jak w swej ojczyźnie na Kubie, wznosząc się wysoko ku niebu, tu przeciwnie są niskie i niepozorne, owoc ich też dużo pozostawia do życzenia. O kilometr stąd zwiedziłem fermę strusi, a także fermę aligatorów, gdzie hodują w zagrodach jaszczury. Aligator rośnie powoli; pięcioletnie duże są jak południowo-europejskie jaszczurki ogrodowe, 20-letnie poczynają dopiero być niebezpieczne, a 50 dosięgają 15 stóp długości. Właściciel owej osobliwej fermy mówił mi, że czerpie główny dochód ze sprzedaży małych zwierzątek żywych, za którymi przepadają amerykańskie *misses* i posiadanie ich należy do *fashion*. Łagodny klimat P. Beach pozwala na uprawę wielu egzotycznych okazów, truskawki dojrzewają już w styczniu, pomidorów jest przez rok cały taka obfitość, że założono fabrykę sosu pomidorowego *cotsup*, rozchodzącego się na całe terytoryum Unii. Środek półwyspu zajmuje hotel Royal Poinciana — olbrzymi drewniany budynek o koszarowym wyglądzie. Opodal wznosi się Whitehall, rezydencya „najlepszego,” czytaj najbogatszego, obywatela Florydy, p. Flagler'a. Ogrody jego zawierają wiele rzadkich okazów flory. Whitehall zbudowane jest w czysto hiszpańskim stylu, z arkadami dokoła podwórza, marmurowemi schodami. Wnętrze, otwarte tylko podczas zimy, ma być połączeniem przepychu i sztuki.

O 60 mil ang. od P. Beach, już w hrabstwie Breward, znajduje się, dawniej obronna forteca przeciw Indyanom, dziś stacya klimatyczna — Fort Pierce. Mijamy Malabar, Eau Gallie, inną

znaną stację zimową Rockledge i przybywamy do Titusville nad rzeką Indian River, przystrojona niezwykle bujnymi lasami palm *sobali*. Sobale rosną zbitym gąszczem, dosięgając rzadko wyżej 8—10 metrów; korony ich tworzą rodzaj naturalnego dachu, przez który nie mogą przeniknąć promienie słońca. Liście, dostarczające znanej kapusty palmowej, są zielone, ostre, pnie obrączkowate, pochylone i szare. U stóp sobali trafiają się zwykle palmetto czyli niskokrzewy palm karłowatych—wrogów rolnictwa na całym świecie. W Maytown wkroczyliśmy już do hrabstwa Volusia, słynącego z malowniczych krajobrazów i licznych jezior, jak Lake George, Woodruth, Monroe, Harney. O 15 mil dalej zatrzymałem się w Daytona znanej „winter resort,” połączonej wspaniałą, twardą jak mur, plażą z osadą Ormond. Plaża ta należy do osobliwości Florydy. Szeroka na 70 metrów, długa na 50 kiln. nadaje się wybornie do wszelakich sportów i podczas sezonu setki automobilów oraz t. zw. „sand sailers” przebiegają tę plażę z błyskawiczną szybkością we wszystkich kierunkach. Sand sailers składa się z małego wózka, a raczej drąga na trzech kołach pneumatycznych, do którego przyczepiony jest olbrzymich rozmiarów żagiel, umocowany na potężnym maszcie. Gdy wieje wiatr, co nad morzem jest rzeczą zwykłą, lekki sand sailer pędzi jak samochód, mimo że nie potrzebuje żadnego sztucznego motoru. Zarówno w Daytona jak Ormond znajduje się dużo wspaniałych i z komfortem urządzonych hoteli.

W Enterprise Ic. przesiadamy się do wagonu „Atlantic Coast Line” i przybywamy do Sanford, gdzie złe rozkłady pociągów zmuszają mnie prawie cały dzień się zatrzymać. Brzegi jeziora Monroe, nad którem leży Sanford, są niskie, pokryte trawą i sitowiem, wody jego spokojne, pełne ryb, z których *trout* i *bass* uchodzą za najlepsze przysmaki. Zmęczony długą przechadzką powróciłem do hotelu, gdzie drzwi jadalni rozwarły się z łoskotem i hałaśliwa banda podróżnych weszła do wnętrza. Na Florydzie spotkać można dużo „rough people” czyli rubaszných yankesów kresowych, ludzi wybujałych, gburowatych, nieokrzęsanych. Krzycząc i tupiąc, zajmują miejsca przy stole i wnet zakładają nogi na poręcz naprzeciw stojących krzesel. Język angielski brzmi nieprzyjemnie w ustach „rough people,” mówiących zawsze przez nos i przerywających rozmowę tysiącem wykrzykników i przekleństw. Typy owych yankesów są czerstwe i zdrowe, cechuje ich cera ogorziała, włosy ciemne, kości policzkowe rozwinięte, silna muskulatura. Temperament jednak mają flegmatyczny, lecz

posiadają niezaprzeczone przymioty i chęć do pracy, zmysł spekulacyjny, rzutkość i energią niebywałą.

Ognista kula słoneczna zanurzała się za horyzont, gdy pociąg pospieszny unosił mnie przez Orlando, Smithville do Kissimee (81° 25' półn. szer.) nad jeziorem East Tohopekaliga. W Kissimee kończy się cywilizowana Floryda i zaczyna się „dzika.“ Turyści rzadko zwiedzają okolice Kissimee, a rzadko który z nich zapuszcza się w głąb „dziczy“ na południe od miasta. A jednak kto chce się zapoznać z dziewiczą Florydą, widzieć jej moczary, rzeki pełne ryb, aligatorów i wszelakiego ptactwa wodnego, ten musi przybyć w małoznane te kraje, stanowiące niejako serce pięknego półwyspu. Okolice miasta jest płaska, przypomina nieco Mazowsze pomimo różnicy klimatu oraz wielkiej liczby jezior. Z 220 większych jezior półwyspu, hrabstwo Osceala posiada kilkanaście i to wcale niemałych. Na zachód od miasta ciągną się na przestrzeni 100 kiln. moczary, zajmujące olbrzymi czworokąt w 8 hrabstwach środkowej i zachodniej części, wielka zaś rzeka Kissimee, wypływająca z jeziora Tohopekaliga, przepływa Lake Cypress, Hatchnicho i wpada do najobszerniejszego zbiornika wód, Okcechobee, skąd kanał sztuczny drenuje ją do L. Heiopochee i Coloosahatchee River, dopływu zatoki Meksykańskiej.

Jeziro o brązowym a miejscami niebieskawym wód odcieniu, zajmuje znaczną przestrzeń w kierunku południowym—z trudnością gołym okiem dojrzeć można brzeg jego przeciwległy, stąd o 18 kiln. oddalony. Osobliwą cechą roślinności tej części Florydy jest ilość pachnących traw i krzewów. Każdy niemal liść potarty wydaje woń ostrą, zwykle przyjemną. Gałęzie drzew ubierają ljanya z gatunku *ampelopsis*, *victes*, *smilax* lub mech hiszpański czyli *tillandsie*, które, niby draperye z krainy snów i bajek, zwieszają się ku ziemi, drgając przy najmniejszym powiewie. *Tillandsia* jest jednym z najciekawszych okazów amerykańskiej flory, rzuca się ona przedewszystkiem w oczy nieoswojonych z jej wyglądem podróżników. W botanice zalicza się do rodziny *bromeliaceae*, owocem jej jest kapsła, a małe nasienie opatrzone jest skrzydełkami, kielich mięsisty, okwiat barwny. *Tillandsia* jest rośliną nadrzewną (epiphyta), ale nie pasorzytną; listki jej są spiralne, drobne, zielone tylko na ostatnim pędzie, zresztą cechuje się szaro-srebrną barwą. Widziałem drzewa wysokie na stóp 60 i 70, od czubków ich aż do ziemi sięgała kotara *tillandsii*, a pod srebrzystą jej szatą nie sposób było rozpoznać liści ani gałęzi okazu, dającego jej gościnę. Charakterystyczną cechą *tillandsii* jest upodobanie do wspólnego pożycia z dębami, cyprysami, klonami;

rzadko też na innych drzewach spotkać je można. Pod potężnymi pniami leśnych olbrzymów, ubranych, niby welonem, płaszczem delikatnym mchu hiszpańskiego, panuje półmrok tajemniczy i czarowny. Promienie słońca dyskretnie prześlizgują się poprzez zwarte listki *tillandsii* i gdy nad głową łączą się, tworząc łuki i ukwiecone arkady, dokoła ciemne otwierają się kurytarze—niby bóstw leśnych przybytki. Pomimo że lasy nigdzie nie tworzą nieprzebytych gąszczy, zwierzostan jest bardzo bogaty; oprócz jeleni i niedźwiedzi, napotykamy i pумы, i kuguary, zawzięcie przez myśliwych tropione.

W przystani rozmówiłem się z kapitanem łodzi parowej, którą dnia następnego miałem wyruszyć na pięciodniową podróż po rzekach i jeziorach hrabstwa Osceala, Palk i Deoto. Kapitan przyjął mnie grzecznie, chociaż odrazu zaznaczył, że z powodu płytkiego stanu wód, nie będzie mógł wziąć żadnych pasażerów i pojedzie tylko z czterema ludźmi załogi i towarami dla osadników. Słowa te mocno mnie zaniepokoiły—rzeczywiście cała moja podróż do Kissimee poszłaby na marne, gdybym nie zrobił wycieczki ku Okeechobee i jedyna sposobność, jaka się przedstawiała, mogła mi się wysłiznąć. Kapitan naleganiom moim ustąpił, ale oświadczył, że będę musiał patrzeć przez szpary na niewygodę. „Będzie pan zmuszony spać pod gołym niebem, bo kajut u mnie niema, jeść byle co, wachać zgniłe powietrze moczarów oraz chemicznych nawozów, które wiozę z sobą, a pora roku zniewala mnie do bardzo powolnej, uciążliwej przeprawy; nie wiem nawet, czy nie ugrzęźniemy gdzie po drodze i nie umiałbym powiedzieć, w jakim czasie powrócimy.“ Za całą odpowiedź uściśnałem kapitanowi rękę i obiecałem stawić się nazajutrz o siódmej rano. Wszelkie prywacye i niebezpieczeństwa nigdy mnie od wykonania moich zamiarów nie oddalały, przeciwnie, zawsze je przewyciężyć pragnąłem. Obaczyć Florydę nieznaną, dziką, taką, jak ją pierwsi podróżnicy ujrzeli, zapoznać się z bogatą jej fauną, zmierzyć okiem moczary, oznaczone białą plamą na mapach, spać, słuchając koncertu świerszczy i nocnych ptaków, plusku aligatorów, złowrogiego szelestu grzechotników—czyż tego nie dość było, aby do podobnej podróży zachęcić? Obawiałem się jednak pewnego „ale“ dostania malaryi, wiadomo bowiem, że okolice tej części półwyspu uchodzą za niezdrowe. Lecz kapitan uspokoił mnie, mówiąc, że na łodzi spać będziemy pod moskiterami, a podczas dnia smarować szyję i ręce naftą dla ochrony od ukąszeń komarów, więc zakupiwszy nieco żywności, nazajutrz rano skierowałem się ku przystani. Łódź nasza stała już u drewnianego

pontonu, po którego spróchniałych belkach dostałem się na pokład. Łódź była specjalnie zbudowana do żeglugi po płytkich kanałach i krętych rzekach, dno jej zanurzało się na 6 stóp ponad poziom wody. W miejscach płytkich łódź przedostawała się, idąc tyłem, t. j. sterem naprzód i pogłębiając zaopatrzoną w szufle szrubą mulaste dno wody. Środek zajmowała maszyna, koło niej umieszczono wory z towarami, obok znajdowała się kuchnia, dołączana przez niechlujnego murzyna, na górnym pomoście wznosiła się kajuta kapitana, który sam, naprzemian ze swym synem, sterował łodzią i wydawał rozkazy z właściwą anglo-sasom flegmą. Załoga składała się z dwóch majtków, „słodkiej“ oczywiście wody, obu wesółych chłopaków, usłużnych i pracowitych. Kucharz-murzyn pomagał swym towarzyszom, o ile nie był zajęty przyrządzaniem befsztyków, które jednak nigdy do naszych żołądków nie dochodziły, mięso bowiem tak było przyprawione i woń miało tak nieprzyjemną, że prosto z talerza zrzucaliśmy je do wody na pokarm rybom. Oprócz befsztyków mieliśmy zepsutą szynkę, mleko z konserw, wreszcie owsiankę gorącą trzy razy dziennie. Mimo że kapitan zapewniał, że żadnych innych pasażerów nie przyjmie, to jednak przy odjeździe znalazłem dwu towarzyszków podróży — ceglarza z Georgii, oraz cowboya z Saltportu herkulesowej postawy. Miejsca dla pasażerów nie było wcale. Na pokładzie, w części osłoniętej górnym pomostem, panowało gorąco straszliwe z powodu sąsiedztwa kotła, a nieco dalej prażyło słońce. Z komina co chwila padały iskry, które paliły nasze ubranie, oraz pozostawiały dotkliwe ślady na rękach i twarzy, z rur zaś parowych nieoczyszczonych rozchodziła się woń gryząca i wstrętna, nierównie gorsza od mdłych kuchennych zapachów. Do łodzi przywiązana była duża tratwa, naładowana przeróżnemi workami, beczkami i t. p.

O godzinie 7 opuszczamy Kissimee i powoli zaczynamy pruć powierzchnię jeziora Tohopekaliga. Na wybrzeżu przesuwają się przed nami lasy, łąki, pastwiska i tylko zrzadka drewniane domki osadników. Im dalej płynie, tem brzegi są mniej widoczne, ciągnie się olbrzymia tafla wody, a w niej przegładają się białe chmury. Po dwóch godzinach łódź zbliża się do wąskiego kanału, łączącego Tohopekaliga z jeziorem Cypress. W miejscu gdzie zaczyna się szeroki na 4 metry kanał, znajduje się osada z kilku chat złożona — Saltport. Mieszkańcy Saltport trudnią się rybołówstwem oraz hodowlą bydła. W Saltport zostawiamy pocztę, część naszego ładunku i z niezwykłą ostrożnością zapuszczamy się w wązki, płytki kanał. Łódź co chwila uderza o dno, posu-

wając się z istic żółwią szybkością i czasem tracimy pół godziny, aby o parę kroków dalej ugrzęznąć na nowej mieliźnie. Kapitan klnie, lecz nie opuszcza steru, majtkowie grubemi kijami, pogrążonemi w wodę, odbijają od dna kanału. Dzięki osobliwej budowie łodzi oraz pogłębianiu przez szrubę zaopatrzoną w szufle, zwalczamy każdą przeszkodę. Roślinność kanału jest dość ciekawa — oprócz traw i sitowi spostrzegam tu gatunek *arum* o żółtych kwiatach, na brzegu wznoszą się pojedyncze dęby wieczno-zielone lub klony drobnolistne. Dalej widać olbrzymie mokre pastwiska, na których żyją stada bydła i owiec. Zdawałoby się, że podróż w tak niewygodnych warunkach, przy nadzwyczaj powolnym chodzie statku, musiała mi się wydać istną męczarnią. Tymczasem wręcz przeciwnie, widok krajów nieznanych działa potężnie na wyobraźnię i wszystkie przedmioty dziwną aureolą otacza. W wązkim kanale pełno było ryb, które szruba statku z mulastego dna wyrzucała. Nasz towarzysz ceglarczyk coraz to wyciągał z wody srebrną jak pstrąg trout, długą na pół łokcia, to *bass* lub inny jaki okaz, podawany nam potem na wieczerzę przez nadwornego czarnego kucharza.

Patrzałem przed siebie, ogarniając wzrokiem nieskończony horyzont zielonych traw sawanny — nagle ujrzałem, że jakiś zielony długi potwór z pluskiem wskoczył do wody, równocześnie prawie rozległ się strzał, oraz okrzyk jednego z majtków „kill him! kill him“ (zabij go)... było to moje pierwsze spotkanie z aligatorem we Florydzie. Jaszczur długi na 5 stóp, śmiertelnie ugodzony kulą, przewrócił się żółtawym brzuchem do góry, począł machać ogonem, wijąc się z bólu, a krew obfita sączyła się z rany pod żebrem i na czerwono barwiła mętną wodę kanału. Staraliśmy się wciągnąć go do łodzi, naraziłoby to nas jednak na znaczną stratę czasu, bo ugrzązł w mule, żałować zaś nie było czego, gdyż sposobności nie brakło upolować innego tych stron ziennokrwistego jaszczura. Kapitan mówił mi, że od czasu zaprowadzenia parowej żeglugi, aligatory wyprowadzają się powoli w bardziej niedostępne okolice, jednak na rzece Kissimee oraz w błotach koło Okeechobee są ich jeszcze setki tysięcy. Aligator je ryby, żaby, węże, nierzadko napada na cielęta, chętnie też spożywa młode ptaki. Dawniej widywano okazy długie na stóp 15—17, dziś większe niż 12 uważane są już za kolosy. Aligator rodzi się z jajka, spędza zimę ukryty w norze i dopiero gdy słońce dobrze grzać zacznie i noce są ciepłe, wychodzi ze swego legowiska. Na Florydzie aligator często zimuje w jednej norze z żółwiem *terrapin*, o czem przyrodnicy nieraz wspominają, po-

dziwiająco wzruszającą gościnność tego żarłoka. Na człowieka nie napada, chyba w wodzie, ciągle zaś prześladowanie, jakiego od strzelców doznaje, czyni go nieśmiałym. Aligator skoro usłyszy kroki człowieka lub plusk wiosel, natychmiast wskakuje do wody i ukrywa się na dnie, wypływając na powierzchnię o kilkadziesiąt kroków dalej wśród traw i zarośli, gdzie zielony jego grzbiet uchodzi prawie niepostrzeżenie. Cała sztuka polowania polega na trafieniu go w chwili, gdy do rzeki wskakuje. Podczas upału dziennego jaszczury drzemią na słońcu, zawsze na samym skraju wybrzeża — aby je śmiertelnie ugodzić, należy celować w oko, pod łopatkę lub w brzuch, grzbiet bowiem pokrywa twarda łuska, od której kula odskakuje. Na lądzie jest aligator do pewnego stopnia niewinnem stworzeniem, szczególnie na Florydzie, w Ameryce jednak południowej kaimany i *jacare* Orenoku i wiele rzek Brazylii smutną się cieszą sławą. Środek ciężkości posiada jaszczur w tylnych nogach, siłę zaś w ogonie i straszne nim zadaje ciosy. W takich razach należy ratować się ucieczką, ale nie w prostej linii, tylko w zygzak, gdyż ruchy jego na lądzie nie są zwinne.

Obecność aligatorów dziwną się nam wydawała wśród krajobrazów, odtwarzających holenderskie widoki... gdzieś z pod Botterdamu lub Utrechtu. Te same pola zielone, pokryte bujną roślinnością traw i kwiatów, te same kępy drzew, przerywające monotony horyzont łąk zatopionych, rzeki pełne po brzegi, jeziora, wreszcie kanały ludzką ręką przeprowadzone. Złudzenie wzmagają jeszcze stada tłustych krów i wołów oraz pola ograniczone drewnianymi płotami, zbudowanymi przez tow. Lee & Parson Cattle Comp.—jedno z najbogatszych na półwyspie. Z roślin spostrzegam białe *water lilies*, fioletowe „flays.“ Po kilku godzinach żeglugi kanał kończy się i jesteśmy na jeziorze Cypress Lake, bardzo również płytkiem. Pejzaż nieciekawy, nuży monotonym doborem barw, niebo usiane białymi chmurami, ma jasnoniebieski od wilgoci kolor. Zielone błonia i moczary, brązowe wody jeziora, ciemniejsze plany lasów odległych — stanowią tu główne cechy krajobrazu. Strony te są mało zaludnione i nigdzie prawie nie widać śladu ludzkiej istoty. Za Cypress Lake ciągnie się inny, również wązki i płytki kanał, mało podatny do żeglugi. W miarę jak łódź posuwa się naprzód, stada dzikich kaczek, czaple zwane *cross*, szare, wysokie na metr z długim, ostro zakończonym dziobem, znikają w sitowiacz. Od czasu do czasu widzimy aligatora, zawsze do skoku przygotowanego — raz i drugi strzelamy do niego i z niemałym trudem dobijamy go na pokła-

dzie tratwy. Obdarłszy co prędzej jaszczura ze skóry, pakujemy ją do beczki—a zimne, pokrwawione cielsko wyrzucamy do wody. Operacya ta wymaga oczywiście pewnej wprawy—majątkowie nasi doskonale się ze swego zadania wywiązują i w przeciągu 15 minut wyjmują „bestyę“ z szarooliwnego futerału, który, przerobiony później na portfel lub walizkę podrózną, znajdzie się w pokójku jakiego nowojorskiego, boję się rzec... warszawskiego dandy. Skóra aligatora na Florydzie niema ceny; widziałem jak za długie na 6 stóp aligatory płacono franka, większe 8—9 stóp kosztują od 50 ct. do 1 dolara.

Zmęczeni upałem siedzieliśmy na tratwie, zasłoniwszy się od słońca parasolem. Towarzysze moi łowili ryby, co do mnie śledziłem lot czapli i kaczek, spoglądałem jak ciemne żółwie uciekały zgrabnie, przebierając małemi nogami w wodzie. Kanał ten przeprowadzony był kosztem rządu kilka lat temu, chociaż zawsze istniało naturalne połączenie między jeziorami tej części półwyspu. Roboty dotychczas słaby dały rezultat, gdyż kanały nie są spławne podczas suszy i zamulają się łatwo lub zarastają osobliwą „watterrice“ czyli ryżem wodnym, co za lat kilka uczyni żeglugę wprost niemożliwą w tych stronach. Dowiedziałem się, że ów ryż wodny został tu sprowadzony, jako pasza dla bydła, rozmnożył się jednak tak szybko i tak nadspodziewanie, że dziś mieszkańcy Florydy przeklinają człowieka, który piekielnym tym chwastem ich ojczyznę obdarzył. Watterrice należy do rodziny *hydrohauwaceae*, wygląd jej przedstawia koszyk liści łyczkowatych, tłustych, o kwiatach fioletowo-różowych. Roślina ta, oderwana prądem wody od korzeni, płynie całemi tygodniami i gdy przybędzie do podatnego dla siebie miejsca, przyrasta do mulastego dna rzeki. Minąwszy kanał prosty i równy, przybywamy do jeziora Hatchnicho, tylko na niewielu bardzo dokładnych mapach oznaczonego. Wogóle cała ta część Florydy jest jeszcze *terra incognita*, a częste wylewy rzek i moczarów zmieniają corocznie postać kraju. Hatchnicho ma kilka kiln. kw. obszaru, brzegi jego są płaskie, w części pokryte lasami. Pośrodku wód wznosi się wyspa, Gardner Island, dość znacznych rozmiarów.

Ledwieśmy wyłynęli z kanału i ogarnęli wzrokiem powierzchnię Hatchnicho, nagle słońce ukryło się pod ciemnymi chmurami i począł padać deszcz rzęsimy. Ulewa zamiast ustawać, wzmagala się z każdą chwilą, daremnie staraliśmy się zobaczyć wybrzeże, zakryte białą mgłą—dokoła nas ciągnęła się tylko tafła wzburzonego jeziora, krótkie fale brudno-szarej wody podrzucały naszą łodzią i obryzgiwały ciepłą pianą. Naraz rozległ się

straszny łoskot gromu i prawie równocześnie ujrzeliśmy, jak czarna chmura zniżyła się ku powierzchni jeziora, z dołu powstał ku niej słup wody i połączywszy się z chmurą, począł się obracać wirowo na jednym miejscu i po chwili, porwany tańcem szalonym, oddalił się od nas... znikł jak widmo. Huk grzmotu powtórzył się znowu, prawdziwa burza podzwrotnikowa zakończyła osobliwe zjawisko trąby wodnej na jeziorze—co nie każdemu zdarza się oglądać. Być świadkiem trąby na morzu — to jeszcze nie szczególnego — ale na Lake Hatchnicho, niewymienionem na najnowszych mapach, to już rzecz całkiem nadzwyczajna! Po godzinie deszcz ustał, powietrze było wciąż parne i duszne, na niebie ukazała się tęcza o barwach nader wyraźnych, zwiastując rychłe wypogodzenie. Słońce wkrótce wyjrzało z poza ciemnego chmur płaszcza i wnet zajaśniało, darząc nas swemi promieniami.

Brzegi jeziora pokrywa piasek biały lub nędzna wegetacja, z tyłu ciągną się lasy czarne, ponure, które daleki horyzont mokrych łąk odgraniczają. Za Hatchnicho wpływamy znowu w kanał, tym razem szerszy a głębszy i zatrzymujemy się po chwili przed domem osadnika, otoczonym przewiewną werandą, na grubych wspartą palach. Dookoła wznoszą się rozsochate dęby, ubrane w srebrzyste szaty mchu hiszpańskiego. Właściciel domku, barczysty yankes, wybiega, posłyszawszy świst naszej łodzi, odbiera kilka worów z towarami i uściśnawszy w milczeniu rękę kapitana, powraca do swego samotnego mieszkania. Opuściwszy *Settlement*, płyniemy dalej kanałem obrosniętym kwiatami arum, szerokimi łodygami *carex*, *juncres dichotomus*, *effusus* i innych sitowi. Cały ten kraj zdatny jest do kolonizacji, hodowla bydła i owiec może przynieść korzyści, zimy są ciepłe, klimat znośny, pomimo że latem malarya panuje. Nieco dalej przybywamy do innej osady, zamieszkałej przez białych i murzynów. W cieniu lasu wznosi się parę domków drewnianych. Bosi murzyni zabierają ładunek z tratwy, którą tu zostawiamy i porozumiewają się flegmatycznie z nami co do stanu pogody. „Have you had a drop here? (czy mieliście deszcz tutaj)—zapytuje nasz kapitan, cedząc przez zęby każde słowo. „Yah“—brzmi odpowiedź. „Quite a heavy?“ (duży deszcz?). Ostatnie to pytanie czarni obywatele uporczywem spotykają milczeniem. W stanach Unii, nawet murzyn przejął flegmę swych dawnych panów, którzy pomimo całej energii i rzutkości, nie lubią wdawać się w dłuższe rozmowy. Krótkie „all right“ oznacza, że wyładowanie towarów jest już ukończone i bez dalszej zwłoki puszczamy się znowu w drogę, odprowadzani szczerkami kilku psów złośliwych, uganiających się po wy-

brzeżu. Po dłuższej przerwie przystajemy znowu, chociaż niema tu śladu ludzkiej istoty i pozostawiwszy 8 czy 9 worów ze sztucznym nawozem na piasku, pod osłoną drewnianej szopy, odjeżdżamy w przekonaniu, że dojdą one rąk swego właściciela. Wybrzeże jest teraz nieco wyższe, powietrze ochładza się stopniowo z nadejściem wieczornej pory. Słońce nisko nad horyzontem zwiśle śle ostatnie jeszcze promienie—jakaś dziwna słodycz rozlewa się w całym otoczeniu. Od czasu do czasu spotykamy aligatory 6—7 stóp długie, pojedynczo lub parami na wybrzeżu spoczywające. Nasi najtkowie spisują się dzielnie, nie przepuszczając żadnemu, nie zawsze jednak udaje im się strzelić w porę i najczęściej aligator posłyszawszy nasze zbliżanie, ukrywa się, z pośpiechem wskakując do wody. Nareszcie o siódmej wieczorem wydo-stajemy się z „kanału nr. 3” i uwiązawszy łódź do potężnego dębu, gotujemy się do spędzenia nocy nad brzegami jeziora Kissimee. Na pokładzie ustawiają łóżka opatrzone moskiterem i po skąpej wieczerzy, zmęczeni trudami powolnej podróży, kładziemy się z rozkoszą na posłanie, wsłuchując się w plusk żłowrogi krążących dokoła aligatorów, w szelest tajemniczy węży wśród sito-wi, rechotanie żab i jednostajne brzęczenie świerszczy na poblizkich łąkach. Dla mnie noc spędzona wśród moczarów środkowej Florydy miała czar niewysłowiony. Jakże dalekim się czułem od wygodnych hoteli Palm Beach i Miami. Jakże samotny byłem wobec ogromu stepów niezaludnionych i lasów ponurych, ciągnących się na setki mil dokoła. Nademną wznosiło się pogodne niebo, usiane miliardami gwiazd, a blask ich drżący migotał jasnym odbiciem na wodach jeziora Kissimee. Widnokrąg zasłonięty przez mgłę wilgotną ginał gdzieś w ciemnościach czarnych nocy, powietrze przesiąknięte zapachami wyziewów błotnych, pełne było ostrej woni piżina. Godziny mijały powoli. Czasem na powierzchni wód ujrzałem kręgi jakieś i ciemną głowę potwornego aligatora, pływającego nieruchomo—niby kłoda spróchniałego drzewa; czasem ryba gwałtownie plusnęła, na chwilę mącąc majestatyczną ciszę otoczenia; to znowu ptak nocny na gałęzi dębu odezwał się nagle przeraźliwym głosem — i znowu spokój zalegał dokoła, tylko miarowy óddech moich towarzyszy dolatywał mych uszu.

O piątej rano, z pierwszym brzaskiem jutrzni, zerwaliśmy się z posłania. Łagodne promienie słońca oświetlały już tafłę jeziora, którego brzegów odległych rozpoznać nie byliśmy w stanie. Jezioro Kissimee, odgraniczające hrabstwo Osceola od Polk na zachodzie, zajmuje około 250 kilm. kw. Na wschód znajdują

się jeziora Jackson i Marion, na zachód Pierce, Kostawi, Tiger Lake, oraz Weahyakopka i Crooked, które podczas pory deszczowej łączą się między sobą. Kolonizacya postępuje tu powoli, ale miarowo z północy z miasta Kissimee, a z zachodu od Haines City, Bartow, Winterhaven. Wschodnie okolice leżą jeszcze zupełnie odłogiem. Niedawno tow. East. C. R. zbudowało na 30 kiln. długą linię, wiodącą od Sebastian nad Indian River do Cincinatus Farms. Na wybrzeżu mało się spotyka lasów, rosną tam przeważnie krzewy *balton wood* z czerwoną nerwacyą, na wodzie zaś oprócz niebieskich *weelar hyacents*, spostrzegam *maidescane*, która wystaje o pół metra nad poziom wód. Płyniemy teraz środkiem jeziora, odgraniczzonego daleko na widnokręgu zieloną linią moczarów i łąk nieskończonych. Około południa przybywamy do opuszczonej osady pośród bezludnej okolicy. Korzystając z dłuższego przystanku, wyskakuję na wybrzeże. Opodał rośnie pień wina, które z powodu wilgotnego klimatu nie daje owoców, ale w zamian rozkrzewia się bujnie. Kapitan pokazuje mi wyspę, obejmującą 2,500 akrów, podarowaną przez rząd na kolonię pennemu odważnemu osadnikowi.

Nareszcie około trzeciej po południu ukazuje się nam ciemna rzeka, wypływająca w tem miejscu z jeziora—jest to Kissimee River, do dziś dnia geografom mało znana. Koryto jej jest chyba jedynem w swoim rodzaju co do kierunku biegu—nigdzie bowiem nie napotkałem tak krętej rzeki, jak Kissimee. Szerokość jej wynosi od 30—50 stóp, a oba brzegi pokrywają moczary i błota. Majtkowie dla krętości koryta nazywają ją „crooked river“ i rzeczywiście żegluga po niej jest niezwykle utrudnioną. Łódź nasza musi co chwila zwalniać bieg, aby nie uderzyć o półkolistą linię kapryśnie zagiętego wybrzeża. Nieraz, pomimo wszelkich usiłowań, nie mamy czasu zakręcić w porę i ugrzęzamy w sitowiacz lub zaroślach *waterrice'u* i dopiero przy pomocy całej siły pary oraz pracy dragami naszych majtków, ruszamy w dalszą drogę. Bez dokładnej mapy nie sposób zdać sobie sprawy z kierunku rzeki, wiodącej nieco krzywą linią na południe.

Pierwszym przystankiem jest Teggilhummock, nędzna chata na palach, wśród bagien i łąk bez końca. Wiatr północno-wschodni, mający wszelkie cechy *passatu*, wieje gwałtownie i wpływa na odświeżenie dusznego upału. Nad wodą krążą ptaki „*ricebird*“ z brązową głową, wydają one osobliwy dźwięk, niby trzaskanie z bicia. Zaczyna się wyładowanie towarów dla kolonistów, co do mnie przypatruję się robocie pajaków-krzyżaków, odmiennych od europejskich. Sieci ich podtrzymywane grubemi nitkami, od-

znaczą się wielce misterną budową—umieszczenie ich w kierunku przeciwnym do passatu, mogłoby służyć za wskazówkę, że wiatr ten istotnie jest tu częstszym niż inne, co zresztą niska szerokość geograficzna (27° 48') potwierdzać się zdaje. Za Teggi rzeka czyni setki zakrętów nagłych, niemal kołowych, co wydłuża niezmiernie naszą żeglugę. Brzegi jej pokryte bujną roślinnością, są prawie na równi z poziomem wód, tylko gdzie znajduje się większe drzewo, tam grunt jest suchszy. Koła na wodzie ostrzegają nas o obecności aligatorów, które się coraz częściej trafiają. W tem miejscu byłem świadkiem zdarzenia, mogącego posłużyć jako przykład zwinności tych gadów. Po spokojnej, ciemnej powierzchni Kissimee River płynął aligator dużych rozmiarów w pół zanurzony tak, że tylko głowa wystawała nad poziom rzeki. Właśnie w tejże chwili, z szybkością błyskawicy, nadleciał czarny ptak „blackbird“ wielkości naszego kosa i musnął skrzydłami po wodzie — tego właśnie czekał aligator... rozwarł swą paszczę i w oka mgnieniu pochwycił trzepoczącego się rozpaczliwie ptaka, poczem spłoszony naszym wystrzałem, ukrył się w bezpieczne miejsce.

Kto podróżuje po Kissimee, ten dopiero nabierze pojęcia o bogactwie i różnaitości pierzastego świata Florydy. Gdzie tylko na brzegu rosły drzewa lub większe krzaki battonwoodu, tam roiło się od wszelkiego ptactwa błotnego. Czerwonogłowe czaple ciężko zrywały się za naszym przybyciem i powoli ulatywały w górę, siadając o kilkadziesiąt kroków dalej na pniu jakiego dębu lub cyprysu luizyańskiego (*texodium distichum*), kaczki dzikie chmurami furkotały w sitowiacz, wielkie białe *white carloo* (*mexican budgers*), białe żórawie, *buzzard* czarny długoogoniasty sęp tutejszy, *canoo*, *coot*, *foceantle*, rzadkie *dusky duck*, kurki wodne, przepiórki. Godzinami całemi przypatrywałem się zaciętym bitwom, jakie stacza „sokół moczarów“ (*rothammus sociabilis*) z czarnemi „crows.“ Sokół ten, odznaczający się białą główką i ostrym dziobem, napada raptownie na crows i kuje je niemilosiernie po głowie. Wystraszone ptaki co prędzej ulatują, ale sokół czyha na nie i z podziwu godną zwinnością ponawia swe napady, doskakując to z przodu, to z tyłu do swej ofiary, to wypredza ją i odwraca się raptownie, trafiając za każdym razem. Bitwa trwała długo i nigdy nie widziałem, aby który z napastników złożył broń okrutną; przytem sokół piszczał dziwnie, może dla podniecenia swego gniewu.

Nieraz rzeka rozwidła się na odnogi, tworząc mnóstwo wysp i bagien; wiatr pochyla trzcinę nad wodą, która w jasnych pro-

mieniach zachodzącego słońca barwi się srebrzystym odcieniem. Rzeka ma teraz odcień brązowy, nieco złotawy u brzegu, miejscami płynie gładko, gdzieindziej znowu marszczy się nieco. Osobną cechą roślinności miejscowej stanowią żółte kwiaty „bonnet flower“ talerzykowate, wielopęcikowe, składające się z 3 płatków, przykrytych istotnie niby czapką. Na bagnach spostrzegam jeszcze „bulltongue“ t. j. „ozór“ o niebiesko-fioletowych kwiatach i jęczminkowatych liściach. Brzeg rzeki zawsze jest kręty i nierówny, w niektórych miejscach porobione sztuczne kanały „cut off“ znacznie skrócają nam drogę, niestety liczba ich jest jeszcze bardzo mała. Owiec i bydła, po brzuch ugrzęźłego w bagnie, pasącego się bez żadnej opieki, napotykamy mnóstwo; za to lasów lub osad ludzkich niewiele. Widzimy czasem na brzegu ścieżkę samotną lub ślady kół, po za tem nic — tylko ogrom bagien i ukwieconych moczarów. Pod wieczór, minawszy kilka pełnych po brzegi dopływów, przybywamy do większej osady—Orange-hummock. U stóp romantycznych dębów, ubranych aż do dołu zwieszającą się srebrzystego mchu kotarą, stoi parę domków drewnianych, zamieszkałych przez kilku odważnych kolonistów. Dookoła ciągną się plantacje pomarańcz i gojawa, grunt z natury żyzny, wymaga jednak pod owocowe drzewa nawozu złożonego z siarki, amonjaku, ości ryb i przetworów zwierzęcych. W Orange zaprowadzono niedawno pszczelnictwo, dające świetne zyski osadnikom, którzy, z zakasanemi rękawami i fajką w gębie, dopytują się o szczegóły naszej przeprawy.

Gdzie tylko znajdują się wyższe grunta, tam już dotarli koloniści i zbudowali sobie siedziby. Mijamy Long hummock, Mico Bluff. Jedna z tych osad zamieszkała jest wyłącznie przez *cowboyów* tęgich, silnie zbudowanych, którzy odziani w kolorowe koszule, zręcznie manewrują wątlymi czółnami. Przybycie nasze do takiej osady jest dla nich prawdziwym świętem—cała ludność wylega na nasze spotkanie, żadna nowin „ze świata,“ mężczyźni w oka mgnieniu wskakują na pokład, podczas gdy kobiety o zdrowej ogorzałej cerze trzymają na rękach przyszlą generację obywateli Florydy. Wdałem się w rozmowę z *cowboyami* i pomimo na wpół dzikiego trybu życia, jakie prowadzić na kresach cywilizowanego świata zwykli — ludzie ci wykazywali dużo wyrobienia politycznego, rozprawiali o wyborach, kolonizacji, osuszeniu moczarów i t. p. Pomiędzy nimi zauważyłem mężczyznę wysokiego wzrostu, o ciemnych oczach, z długą jasną brodą. Ubrany jak inni w barwną koszulę, spiętą pasem oraz grube buty—przedstawiał prawdziwy typ *cowboya*. Jakież było moje zdziwienie,

gdy mi oświadczył, że jest paryżaninem czystej wody i dopiero od lat 20 mieszka na Florydzie, gdzie mu się nieźle wiedzie i ma już liczną rodzinę. Ze łzami w oczach mówił mi, jak tęskni do bulwarów z nad Sekwany... a jednak na zapytanie moje czyby chciał wrócić do Europy, odparł, że tak przywykł do Florydy, że nigdy na długo opuścić jej nie jest w stanie. „Jestem zdrow, mówił, niezależny, mam duże stada bydła—w Paryżu byłbym tylko nędzarzem.“

Pod Micco Bluff wjeżdżamy w dawniej przez Indyan zajęte ziemie — jeszcze 15 lat temu mieszkali tu Seminole, dziś jednak wynieśli się na południe od Okeechobee do Big Cypress Swamp. Późno wieczorem, w miejscu noszącem miano „Rattlesnake Camp“ czyli obóz grzechotników, gotujemy się do spędzenia nocy. Dookoła nas, w ostatnim blasku zorzy, widzimy sylwetki palm wachlarzowatych, małemi kępkami rosnących na wybrzeżu; opodal kilka cyprysów z rozwianą brodą tillandsii, dopełniają dziwnego krajobrazu. Wśród moczarów przeświecają się wodne przestrzenie, okolica pusta i niezaludniona, nadzwyczaj dziki i niegościny ma charakter. Następuje noc ciepła i wilgotna, opary gęste wznoszą się nad bagnami, zapach zgnilizny i piżma przypomina mi niedawną wyprawę do Guyany. Nad brzegiem moczarów widzimy błędne ogniki, zapalające się w ciemności i gasnące nagle. Nazajutrz skoro tylko świt zajaśniał na niebie, łódź wolno puściła się w dalszą drogę i o szóstej byliśmy przed Fort Cabbaye Palm. Aby wejść do przystani, musimy opuścić wody Kissimee i czas jakiś płynąć wązkim kanałem. Fort zewsząd otoczony wysoką na 4 metry palisadą, komunikację zaś z odległą na kilkaset metrów przystanią zapewniają belki, wsparte na palach, ponad poziomem wylewów rzeki ustawione. W kilka godzin potem przybywamy do Lidpark, gdzie zbudowano drewnianą dla bydła zagrodę—*corral*. Mieszkańcy mówią mi, że wielka obfitość aligatorów jest prawdziwą plagą tej okolicy, z powodu, że żarłoczne, nieraz na 16 stóp długie, potwory zjadają cielaki i barany w chwili, gdy zwierzęta te idą pić wodę. Rzeka za Lidpark staje się niesłychanie krętą; nieraz widzimy dolny jej bieg oddalony zaledwie o 6 kroków za przesmykiem wązkiego ładu, a jednak aby doń przybyć, zmuszeni jesteśmy tysiąc razy tyle drogi nadrobić. Powierzchnia wód zarasta coraz bardziej koszyczkami watterrice, prawie co godzina łódź ugrzęza w szlamie lub liściach arum. Pod Lamiers mijamy plantacye pomarańcz i znów stada bydła pasącego się na sawannach. Dzikie wino obrasta drzewa i przerzuca się na wiotkie pnie sobali, dając nam pojęcie o urodzajności tej

gleby. W południe jesteśmy w przystani Bassenger, położonej w niższej części Kissimee. Osada ma koło 100 mieszkańców, między innymi przebywa tu znakomity myśliwy, p. Drigg, który w życiu swem zabił poważną liczbę 15,000 aligatorów. Z lewej strony, nieco wyżej od Bassenger, rzeka wbiera w siebie szeroki na 20 stóp przypływ Istokpoga Creek, przynoszący jej w daninie wody wielkiego jeziora Istokpoga. Wreszcie około drugiej po południu przybywamy do kresu podróży — Lofton, gdzie od niedawna osadnicy zaczęli osuszać moczary i sadzić kukurydzę. Za Lofton żegluga, ze względu na płytki stan wody oraz zarośla watterrice, jest o tej porze roku niemożliwą, podczas zimy natomiast łódź idzie jeszcze dalej do Okeechobee i do rzeki Coloosahatchee, odbywając w ciągu 10 dni przeprawę do Fort Myers i z powrotem. Podczas wylewów Okeechobee pokrywa całą okolicę i ciągnie się aż do Lofton, zresztą bagna tutejsze stanowią przedłużenie everglądów ku północy. Przestrzeń od Lofton do Okeechobee wynosi łądem 18 mil ang. Jezioro to dotąd jest jeszcze mało znane, okolice jego niedostępne, zaludnione są tylko przez kilkadziesiąt rodzin Seminolów, którzy na wątych czółnach błakają się wśród lasów i moczarów. Obszar Okeechobee obejmuje w czasie suchej pory do 3,000 kiln. kw., wyniesienie nad poziom morza równa się tylko 16 stopom, a głębokość zaledwie 12. Gdy rząd Unii osuszy bagna, zmieni się i postać jeziora, miliony zaś akrów urodzajnej, zdatnej pod uprawę ziemi, oddane zostaną kolonistom.¹⁾ Klimat tutejszy, choć wilgotny, nie jest niezdrowy, lato zaś, odświeżane przez passaty, nie bywa gorętszem, niż na północy. Prawie okrągłej formy Okeechobee wydłużone jest nieco ku południowi, gdzie zatoka South Bay wrzyna się w everglady. Kapitan naszej łodzi, który zna jezioro jak nikt, bo przejechał je wszerz i wzdłuż, mówił mi, że granic jego z powodu zarośli oznaczyć niepodobna, żegluga zaś jest wogóle niebezpieczna z powodu gwałtownych burz i pustoszących huraganów, zrywających się nagle i podnoszących groźne fale na jego wodach.

W Lofton kończyła się nasza podróż — nie pozostawało nic więcej, tylko udać się w powrotną drogę. Z żalem opuszczałem dalekie te strony i rzucałem ostatnie spojrzenie na bagna nieskończone, ukryte wśród kwiatów. Rzeka Kissimee, porośnięta ziel-

¹⁾ Obecnie tow. Disston & Okeechobee podjęło się osuszenia tych gruntów.

skami, ginęła gdzieś daleko w tych moczarach tajemniczych, przezywanych wodnemi przestrzeniami. Po godzinnym postoju powracamy do Bassenger. Tu nowi nas oczekują podróżni: nauczyciel szkoły w Palatka, dentysta z Orlando oraz dwie kolonistki. Dzięki nowym towarzyszom, czas upływa prędko. Gramy w karty, strzelamy do aligatorów i ptactwa. Dowiaduję się, że polowanie nie na wszystkie ptaki jest dozwolone, np. na sępy uzbrojone pod karą 25 dol., na czaple również polować nie wolno. Dentysta nie wypuszcza fuzji z ręki i co zobaczy jaką zwierzyinę, już do niej pali, zakładając się o pieniądze, że trafi: „I bet you twenty dollars, I will get it“ (zakładam się o 20 dol.) wykrzykuje, celując do swej ofiary. „Zakładam się o 5 dolarów, że pan spudłuje,“ odpowiada z anglo-saską flegmą nauczyciel. Przybywszy do Micco Bluff, raczymy się czarnemi jagodami „hawkesberry.“ Po zachodzie słońca rozstawiono nam łózka; obok mnie rozciągnął się nauczyciel, nieco dalej dentysta. Wczesnym rankiem przybywamy do Orange, gdzie na łódź ładują setki blaszanych naczyń z miodem. Płyniemy dalej ku północy wśród nieznośnej spiekoty; upał srogo się nam daje we znaki i zmusza do zupełnej bezczynności. Nawpół omdlały z gorąca usiadłem na skraju łodzi, opuściwszy nogi nad wodę i zdrzemnąłem się na chwilę... gdy raptem syn kapitana chwycił mnie za rękę i równocześnie słyszę jakiś plusk złowrogi koło siebie: „O mało co nie stało się nieszczęście—mówi mi—żebym pana nie obudził, aligator schwyciłby go za nogę.“ W pierwszej chwili nie chciałem wierzyć, że tak było istotnie, ale na widok poważnego wyrazu twarzy mych towarzyszy przekonałem się, że nie żartowali wcale — nieraz bowiem podobne wypadki się tutaj zdarzały. Innym razem wpadł do wody mój parasol z szarego płótna, jedyna zasłona od żaru słońca i zniknął na dnie. Napróżno obiecywałem nagrodę, kapitan nie chciał się zatrzymać, pomimo że niedawno zawracaliśmy, aby wydobyć starą czapkę któregoś z majtków, zresztą podróż upływała bez przygód i czwartego dnia pod wieczór ujrzelśmy już brzegi jeziora Kissimee, na którym spotkaliśmy kilka łodzi z żaglami. Ostatnią noc spędziliśmy na wodach kanału Hatchni-cho, w pobliżu lasu sosnowego, skąd zabraliśmy cały ładunek żywicy. Im dalej na północ, tem wiatr wschodni stawał się słabszym, a upał przez to trudniejszym do zniesienia. Po nieskończenie mozolnem przepławianiu się przez kanały, dotarliśmy wreszcie do miasta Kissimee, z bogatym łupem ubitych dwudziestu kilku aligatorów.

Podróż moja po środkowej Florydzie była skończona—pozostało mi jeszcze zwiedzić Silver Springs, gdzie średniowieczne legendy umieściły źródło „Wiecznej Młodości“ oraz San Augustine i rozpocząć długą wędrówkę po Ameryce Północnej. Zwiedziłem dolinę Shenandoch, „natural bridge“—most przez przyrodę utworzony w Wirginii, groty Lurray'u, wielkie grody jak Washington, Baltimore, Philadelphia, Buffalo i t. d. i zatrzymawszy się dłużej nad wodospadami Niagary, przyczem poznałem część Kanady, udałem się przez urodzajne równiny Ohio, Indiana, Illinois do S-t Louis, nad czarne wody „ojca rzek amerykańskich“ — Mississippi.

WITOLD SZYSZŁO.

Dramat muzyczny Ryszarda Straussa.

Powiedział jeden z najgorętszych wielbicieli Straussa, że Strauss nie jest nawskróś naturą dramatyczną. Jeśli zważymy, że dzisiaj Strauss jest najwybitniejszym przedstawicielem nowoczesnego dramatu muzycznego, to zdanie to wyda nam się chyba śmiałym paradoksem, rzuconym może dla rozognienia w wir walki, toczącej się dzisiaj o twórczość Straussa z równem roznamietnieniem, z jakim w swoim czasie walczone przeciw Wagnerowi. Tymczasem, jeśli się głębiej wniknie w treść przytoczonego zdania, nie da się zaprzeczyć, że ten paradoksalny na pozór sąd nie pozbawiony słuszności: twórczość dramatyczna bowiem Straussa wyrosła z ducha twórczości symfonicznej, jako jej ostateczna konsekwencya. Straussa-dramaturga nie można zrozumieć i wyobrazić sobie bez jego twórczości symfonicznej—orkiestralnej.

Strauss, wykształcony na klasycznych wzorach i przejęty wpływem Brahmsa, przez długi czas stał zdala od postępowych prądów, skryształizowanych w muzyce Wagnera i Liszta; zasadniczy przełom w jego poglądach estetyczno-muzycznych dokonał się za sprawą Aleksandra Rittersa, entuzjastycznego apostoła wagnerowskich idei: wstąpiwszy na drogę neoromantyzmu, stał się Strauss fanatycznym zwolennikiem postępu i radykalnym przedstawicielem „modernizmu“ w muzyce.

U schyłku XIX stulecia nastąpił znamienny zwrot w życiu i w sztuce: obudziła się tęsknota za nowymi wartościami uczuciowymi, odwrócenie się od realnego bytu, pragnienie samotności i ucieczka w świat idealny, szukanie nastroju, metafizyczna tęsknota, urastająca w mistyczną ekstazę; życie i sztuka przybrały wizyonerski, mistyczny ton. Nieokreślone stany, pełne przeczuć tajemnych, mroczne nastroje—oto treść poezji, która swe ponure

skrzydła rozpięta nad duszą pokolenia. Malarstwo impresjonistyczne starało się nie za pomocą ostrych konturów, lecz przez zatarcie wyrazistych linii, przez subtelny koloryt delikatnych odcieni wywołać miękki nastrój uczuciowy, pełen dziwnego uroku: obraz, spowity nieuchwytną mgłą, odsłania jakby odległe zaświaty, budzi wizyonerski ton. Z tej sfery uczuć zaczerpnięta i muzyka nowych ożywczych źródeł i nowych pierwiastków dla swego wyrazu. Podobnie jak malarstwo, tak i nowa muzyka, pragnąc odtworzyć nową treść uczuciową i nastrojową, musiała położyć nacisk na koloryt dźwięków, *na barwę muzyczną* w przeciwieństwie do muzyki przeszłości, opartej na prostych, jasno określonych liniach melodyjnych: w miejsce plastyki dawniejszej muzyki wyłania się nastrojowy *impresjonizm muzyczny*; muzyka staje się sztuką wewnętrzną, intymną, mającą odtwarzać nie zewnętrzne przeżycia i ulegać zewnętrznym pobudkom, lecz czerpać swą treść z najpoufniejszych, subiektywnych wrażeń i uczuć, drgnienia duszy własnej przetapiać na dźwięki.

Strauss nawiązał twórczość swoją bezpośrednio do tendencji muzyki „programowej,” stworzonej przez Berlioza i Liszta. W przeciwieństwie do dawnego poglądu, uważającego muzykę za formę, działającą architektoniką, zmysłowym dźwiękiem, wyrazistą melodią i plastyką, Berlioz i Liszt uważają dźwięk jedynie za środek duchowego wyrazu i z pełną świadomością starają się o wierne odtworzenie i odmalowanie tonami muzycznymi pewnego z góry zakreślonego „programu,” przyczem Liszt wprowadza na miejsce dawniejszej, schematycznej formy sonatowej, krępującej swobodny lot wyobraźni, nową formę muzyczną: *poemat symfoniczny* (*symphonische Dichtung*), stapiający poszczególne ustępy instrumentalne w jeden obraz nastrojowy. Strauss przejął formę, stworzoną przez Liszta, wykształcił ją samodzielnie i przeobraził w coś indywidualnie nowego. Podczas gdy u Liszta przeważa styl homofoniczny, budowa „poematów” jest prosta i nie dość silnie spojona, czasami nawet luźna, koloryt orkiestralny skromny, to u Straussa występuje jako charakterystyczna cecha, bogata, organicznie spojona i psychologicznie umotywowana polifonia i olśniewający przepychem barw koloryt muzyczny. Śmiałe, pełne polotu i namiętnego żaru melodye płyną szerokim, rozlewnym strumieniem, splatają się, przenikają wzajemnie i łączą w polifoniczny organizm, uderzający nieubłaganą logiką i elementarną siłą wyrazu. Struktura tych melodyi wyrasta z uczuciowej treści muzyki i wiąże się z ogólnym wyrazem i charakterem utworu: chwilami — to krótkie, zwięzłe motywy, przyoblekające się w co-

raz to nowe formy, to znowu szerokie, pełne tematy o swobodnej, pulsującej życiem rytmicie. Każdy z tematów melodyjnych Straussa posiada charakterystyczną barwę dźwięku; wszystkie te barwne linie łączy Strauss w jedną całość nastrojową, lśniąca nadzwyczaj świetną kolorystyką; na palecie swej posiada Strauss przebogatą skalę barw, których używa nie dla wydobycia niespodzianych efektów kolorystycznych, lecz jako środka do wywołania subtelných nastrojów i odmalowania uczuć i wrażeń. Dalszym środkiem, służącym do odtworzenia psychicznego wyrazu, jest w muzyce Straussa dysonansowa harmonia, która w pogoni za charakterystyką nie cofa się przed jaskrawymi efektami kakofonii, będącej niejednokrotnie negacją wszelkich prawideł harmoniczných. Strauss przeprowadza praktycznie zasadę, że dla prawdy wyrazu psychologicznego poświęcić należy piękno, gdyż sfera estetyki obejmuje zarówno pojęcia piękna jak i brzydoty; brzydota więc jest samodzielnym czynnikiem estetycznym, równouprawnionym z pięknem. Z niezrównanym realizmem maluje Strauss najdrobniejsze szczegóły, lecz mimo akcentowania drobnych momentów nie traci z oka całości, pewnym rzutem ogarnia ogólny nastrój i nie popadając w rozwlekły, wodnisty ton, ujmuje myśl i treść utworu w zwięzłą, skoncentrowaną formę: stąd ten znamienny, szeroki gest w kompozycjach Straussa. Opanowawszy z niebywałem wirtuozostwem wszystkie środki muzycznej techniki, nagiął je Strauss do celów charakterystyki muzycznej i nadał im taką zdolność odtwarzania najbardziej skomplikowanych przejawów psychiczných, że jego „poematom symfonicznym“ brak tylko poetyckich słów i widomej akcji, by działały jak — *dramaty*: jest to zatem konsekwencją naturalnego procesu, że Strauss od muzyki symfonicznej zwrócił się do sceny. Jego twórczość dramatyczna rozwija się po linii wyrazistej, wijącej się niemal bez załamania i ogarnia coraz to nowe problemy; główne etapy tej linii rozwojowej wyznacza chronologiczny porządek dramatycznych utworów Straussa. Ażeby należycie ocenić jego dramatyczną twórczość, pamiętać należy, że zanim Strauss wystąpił z pierwszym dziełem dramatycznym, w symfonii „Aus Italien“ i poematach symfoniczných „Makbeth“, „Don Juan“, „Tod und Verklärung“, stworzył własny, indywidualny styl i formę instrumentalną. Mimo to pierwszy jego dramat muzyczny, „Guntram“ (Weimar, 1894), wykazuje tak w koncepcji poetyckiej, jak i w technice muzycznej nietylko silny wpływ Wagnera, lecz wprost daleko idące reminiscencye wagnerowskie. Bohater dramatu, Guntram, należy do religijno-mistycznego związku, którego celem jest

obudzenie w sercach ludzkich uczuć miłości zapomocą muzyki i śpiewów. By spełnić jego wysokie posłannictwo i „natchnioną pieśnią głosić słowo Zbawiciela,“ wyrusza Guntram w życie i przybywa do kraju, wyzyskanego i gnębnego przez bezwzględneho tyrana; tu znajduje pole dla swego dzieła: ratuje życie księżnej Freihildy, pragnącej w nurtach jeziora wyzwolić się z pod ucisku zmienawidzonego tyrana, z którym ją łączy nierozzerwalny ślub małżeński. Książę, urażony słowami Guntrama, rzuca się na wybawiciela swej żony; Guntram zastania się mieczem i rani śmiertelnie wroga. Wprawdzie zmuszony, stanął we własnej obronie, lecz dopuścił się zbrodni i złamał regułę swego zakonu; wtrącony do więzienia, rozważa wśród wyrzutów sumienia pobudki swego czynu: wina jego — zewnętrzna, na pozór zbrodnia, w rzeczywistości przyczyniła się do wyzwolenia ludu z niewoli i wyratowania kobiety z rąk tyrana, lecz Guntram dochodzi do przekonania, że główną pobudką działania była grzeszna miłość do Freihildy i w tem tkwi jego zbrodnia. Pod wpływem tej świadomości dokonywa się w nim potężny zwrot psychologiczny: Guntram poddaje się dobrowolnej pokucie, wyrzeka się Freihildy i w samotnej askezie postanawia zmasać winę swego życia.

Wpływ Wagnera uderzający: przedewszystkiem w myśl zasad mistrza, Strauss nie użył do kompozycyi obcego tekstu, lecz sam stworzył poemat, przyoblekając równocześnie słowo poetyckie w dźwięki muzyczne; nadto sam temat zawiera mnóstwo analogii ze światem dramatów wagnerowskich: ów symboliczny związek „apostołów miłosierdzia“ przypomina rycerzy św. Grała z „Lohengrina“ i „Parsifala,“ zewnętrzne środowisko w dramacie Straussa, toczącym się w połowie XIII wieku, nadzwyczaj zbliżone do mistyczno-średniowiecznej atmosfery w „Tannhäuserze“ i „Lohengrinie.“ W trzecim akcie „Guntrama,“ w którym bohater uwięziony analizuje swój czyn, a zatem w rzeczywistości nie się na scenie nie dzieje, lecz akcja dramatyczna ma wyłącznie wewnętrzny, psychiczny charakter, gdyż jest to proces, odbywający się w duszy działającej osoby, tutaj przebija się niewątpliwy wpływ „Tristana.“ Nawet snująca się przez wszystkie dramaty Wagnera idea wyzwolenia (das Erlösungsmotiv) znajduje swój wyraz i w „Guntramie,“ gdyż Guntram wyzwala się przez własne postanowienie, by wyrzec się miłości Freihildy, która również poświęca swe namiętne uczucia dla jego szczęścia i zmasania jego winy. I w muzyce „Guntrama“ znajdziemy oddźwięk wagnerowskiego stylu, zwłaszcza z „Lohengrina,“ i „Parsifala“: by we wstępie dramatu odtworzyć mistyczny nastrój średniowiecza, prze-

sycony kadzielnym dymem religijnej atmosfery, używa Strauss podobnych, jak Wagner, środków instrumentalnych; scena, w której Guntram wyrusza z zakonu, by rozpocząć swą szczytną działalność i samotny wsłuchuje się w lesie w szum liści i śpiew ptaków, przypomina pod względem sytuacji i nastroju słynną scenę z „Siegfrieda“: „Waldweben.“ Lecz nie da się zaprzeczyć, że mimo tych jaskrawych analogii i reminiscencji przebija się w „Guntramie“ wyraźnie własny, instrumentalny styl straussowski: w wyrafinowanej instrumentacji i kolorycie orkiestralnym, a zwłaszcza w strukturze melodyjnych tematów, noszących odrębną cechę, aniżeli „motywy przewodnie“ Wagnera, występuje subiektywny ton i wiele samodzielnych pierwiastków o wysokiej wartości artystycznej. Podczas gdy jeszcze w utworach symfonicznych, jak przedewszystkiem w poemacie „Śmierć i wyzwolenie,“ Strauss nurza się w chromatyce, przejętej z Wagnera, to w motywach „Guntrama“ przeważają formy dyatoniczne, pełne prostoty i świeżości, o indywidualnie rzeźbionych konturach; w przeciwieństwie do zwięzłych i z precyzją ujętych motywów wagnerowskich, mają melodyjne tematy Straussa szeroko zakreśloną, przepyszną linię, odznaczającą się patetycznym gestem.

„Guntram“ może stanowić najlepszy dowód, że dramat muzyczny Straussa wyrósł z jego twórczości symfonicznej: nie licząc się bowiem ze względami scenicznymi, powierza kompozytor główną rolę orkiestrze, w której tkwi właściwie akcja dramatyczna; pierwiastek symfoniczny góruje wszechwładnie nad dziełem i osłabia niejednokrotnie wrażenie dramatyczne: to jest niezaprzeczo- nym powodem, dlaczego ze wszystkich utworów Straussa „Guntram,“ mimo swych zalet i głębokiej wartości muzyczno-dramatycznej, dzisiaj zapomniany, zeszedł zupełnie ze sceny. Krzywdzącą przesadą jest to, co mówi R. Louis („Deutsche Musik der Gegenwart“ str. 99), że „znaczna część późniejszej twórczości Straussa w porównaniu z „Guntramem“ schodzi do śmiesznej komedy i że Strauss, doznawszy niepowodzenia, postanowił za wszelką cenę zdobyć uznanie i w pogoni za błyskotliwym efektem ośniewać i wzbudzać podziw.“

Po tej pierwszej próbie dramatycznej wrócił Strauss do twórczości symfonicznej. W poematach symfonicznych: „Zaratustra,“ „Heldenleben,“ „Tieck - Eulenspiegel,“ „Don-Kiszot,“ wspiał się Strauss na szczyty zdolności twórczej i uczynił muzykę środkiem technicznym, idącym za najlżejszym podmuchem woli artysty. Dopiero po stworzeniu tych poematów, będących kulminacyjnym punktem straussowskiej twórczości, przystąpił Strauss do drugie-

go dzieła dramatycznego, które wywołało najsprzeczniesze sądy, do jednoaktowej komedii muzycznej: „Die Feuersnot“ („Wygasy ogień“, Drezno 1901), opartej na tekście Ernesta Wolzogena, twórcy i głośnego przedstawiciela współczesnej „nadsценki“ („Überbrettl“). Temat utworu zaczerpnięty z podań ludowych. Tłem akcji dramatycznej jest wieczór Sobótek w Monachium. W rozbawionym tłumie znajduje się obcy przybysz, Kunrad der Ebener, marzyciel-samotnik; porwany ogólną wesołością, rzuca się i on w wir zabawy: zrywa drzewo z własnego domu, jako ofiarę na Sobótki i kradnie całusa z ust córki burmistrza, uroczej Diemut. Obrażona w swoich uczuciach Diemut poprzysięga mu zemstę; przyrzeka mu, że, skoro wszyscy wyruszą za miasto, by zapalić stos Sobótek, ona wciągnie go w koszu do swojej izdebki na piętrze; istotnie dotrzymuje obietnicy, lecz w połowie drogi zatrzymuje kosz; romantyczny bohater zawisnął między niebem a ziemią i stał się przedmiotem ogólnego pośmiewiska tłumu, zwołanego przez złośliwą mieszczkę. Lecz oto budzi się w Kunradzie czarodziejska moc: uniesiony gniewem, podnosi ramiona i rzuca zaklęcie; w tej chwili gasną w całym mieście światła i gaśnie płonący za miastem stos. Obywateli ogarnia przerażenie i popłoch, zaś Kunrad wygłasza do nich mowę i powiada, że dom, który on dzisiaj zburzył, zamieszkiwał dawniej mistrz Reichhart, który nietylko nie znalazł uznania wśród obywateli, lecz nawet padł ofiarą zawiści; jego dzieło ma dalej prowadzić Kunrad, ale swe szczytne zadanie może spełnić, jeśli zajaśnieje nad nim światło kobiecej miłości. Kunrad pragnie serca pięknej Diemut i oświadcza, że ogień Sobótek zabłyśnie znowu tylko wtedy, gdy mściwa patrycyszka—odda mu się dobrowolnie. Pod naciskiem ogólnego żądania upokorzona Diemut wciąga Kunrada do swej izdebki, gdzie rozegrać się ma miłosna scena; gdy zniecierpliwiony tłum wyczekuje pod oknami pierwszego blasku, zapalają się światła i ognie w mieście. Bez zaprzeczenia treść niezbyt budująca i drastyczna wytwarza niejednokrotnie sytuację, która trąci kabaretem, lecz zasadniczym tonem utworu jest rys satyryczny: mistrz Reichhart—to Wagner, który wskutek intryg Monachijczyków oddalić się musiał z dworu swego protektora, króla Ludwika II, zaś pod postacią Kunrada ukrywa się sam Strauss, jako spadkobierca i następcę Wagnera. Satyra nie ogranicza się tylko do tego momentu, lecz rzucając akcję na tło zmysłowe parodjuje w dyskretny sposób wagnerowską ideę „wyzwolenia przez miłość kobiety.“ Do charakterystyki mistrza Reichharta używa Strauss motywów, zaczerpniętych z „Błędnego

Holendra“ i „Nibelungów,“ zaś siebie charakteryzuje motywem z „Guntrama,“ podczas gdy filisterskie mieszczaństwo monachijskie znajduje swój wyraz w popularnych piosenkach ludowych. W przeciwieństwie do „Guntrama,“ powstałego pod silnym wpływem wagnerowskiego świata, muzyka do „Feuersnot“ odznacza się znaczną samodzielnością i oryginalnością. Odrębną, wybitnie straussowską cechą nosi na sobie kolorystyka orkiestralna i zespolenie owych różnorodnych pierwiastków, ludowych i artystycznych motywów, w jedną organiczną całość; nadto odmiennie od utworów współczesnej muzyki, śpiew traktowany jest tutaj nie jako myzyczna recytacja, lecz płynie szeroką wstęgą rozlewnej, szlachetnej melodyi. Ostatnia scena, rozgrywająca się w mieszkaniu pięknej Diemut (Liebesscene), pełna czarownych woni i erotycznego upojenia, urasta do roli samodzielnego „poematu symfonicznego,“ zamkniętego w ramach dramatu. Można się na poetycki tekst utworu patrzeć z dowolnego stanowiska, potępiać go i oburzać się na niemoralny ton i wplecioną w utwór niesmaczną, własną gloryfikację autora, jedno wszelako uznać trzeba, że w dziele tem staje przed nami Strauss, jako niezrównany liryk o przebogatej inwencji, zdolnej dostosować się do każdego nastroju i stwarza muzykę, pełną trafnej charakterystyki, temperamentu i życia.

W „Feuersnot“ zadokumentował Strauss—jak trafnie zaznaczył O. Bie—w dyskretny sposób wyzwolenie się z pod wpływu Wagnera. Zupełne zerwanie z Wagnerem nastąpiło w dramatycznym dziele Straussa, w którym najwierniej przebija się jego indywidualny styl i które niezawodnie na długo pozostanie symbolem jego twórczości: mówię o muzyce do Wilde’a „Salome“ (Drezno, 1905). Prócz nieznaczących skrótów w dyalogu, wziął Strauss cały poemat dramatyczny Wilde’a za podstawę swojej kompozycji; wiedziony trafnym instynktem i subtelnym odczuciem, że wszelkie zmiany i przeróbki, podjęte dla celów muzycznych i praktyki scenicznej, rozproszyłyby ów nieuchwytny czar poematu, niemal bez zmiany przetopił słowa poetyckie w dźwięki muzyczne. W kazirodczej, zbrodniczej atmosferze na dworze Heroda żyje Salome, jaśniejąca precudnym wdziękiem, przejęta wstrętem dla swego otoczenia, pławiącego się w orgiach zmysłowego rozpasania; z pałacu, w którym rozlegają się krzyki ucztujących, wybiega Salome, pragnąc odetchnąć spokojem czarownej nocy. Do uszu jej dochodzi dziwnie uroczysty śpiew: to głos Johanana; jego ascetyczna postać, stercząca wśród tej zgniłej i nawskroś stoczonyj atmosfery, jakby symbol nieznaney przy-

szłości, jego surowa powaga, pełna podniosłej prostoty, budzą w królewnej nieokreśloną nutę uczucia. Spragniona miłości, garnie się do niego i jawnie ofiaruje mu swą miłość; jego opór podnieca ją; coraz natarczywiej pożąda Salome jego ciała, jego włosów, ust. Gdy Johanan, pomny jedynie swego wysokiego posłannictwa, odpowiada wzgardą na wszystkie jej zabiegi, budzi się w niej tygrysia natura: nie mogąc proroka osiąść żywym, postanawia odebrać mu życie i zdobyć to, czego pragnie. Podczas ucztę tańczy; zachwycony i porwany jej zmysłowym urokiem, Herodes przyrzeka jej, że spełni każde jej życzenie; Salome, ogarnięta szałem zemsty, żąda głowy proroka; a gdy dostała w swe ręce ściętą głowę, budzi się w niej namiętne pożądanie: gorącym pocałunkiem miłosnym wpija się w martwe usta proroka. Herod, który był świadkiem tej sceny, przerażony i przejęty odrazą, rozkazuje swym żołdakom zmiażdżyć ją tarczami. Tę ponurą otchłań zbrodni i przewrotności odmalował Strauss z kongenialną siłą i opromienił blaskiem muzyki, zadziwiającej głębią psychologicznej prawdy: nęcił go kontrast owych dwóch odrębnych światów, anielskiej czystości i zmysłowego wyuzdania, tu bowiem mógł Strauss, niezrównany kolorysta orkiestralny, użyć najświeższych barw swej malarskiej palety, by odtworzyć niemi przemijający demoniczny obraz schyłkowej kultury orientalnej.

Powszechnie dowodzi się, że poemat Wilde'a porusza problem seksualnego zбочenia, „perversité.“ Zarzucano więc Straussowi, że odtworzenie tego problemu zapomocą muzyki sprzeczne jest z wymogami estetyki wogóle, a w szczególności estetyki muzycznej. Podobne zarzuty są—zdaniem mojem—bezprzedmiotowe: artyście nie można zakreślić granic, po których ma kroczyć jego twórczy duch, ni z góry stwarzać prawideł, krępujących jego wyobraźnię i narzucających mu przedmiot jego artystycznej koncepcyi. Nie teoretyczne formuły dyktują sztuce prawidła, lecz z żywych dzieł sztuki wysnuwa estetyka teoretyczne wnioski. To jeden powód, dla którego powyższy zarzut odpada; wtóry powód—to fakt, że Strauss nie zamierzał wcale odtwarzać muzyką zmysłowej przewrotności czy zбочenia, lecz biorąc poemat Wilde'a jako poetycki substrat swego utworu, chciał jedynie wyśpiewać własne wrażenia i uczucia, które się w nim obudziły pod wpływem „Salomy“ i owego demonicznego środowiska, pełnego jaskrawych i przerafinowanych kontrastów, zupełnie tak samo, jak genialny, przedwcześnie zgasły rysownik angielski, Aubrey Beardsley, sięgnął do tego samego poematu „po wizye swoich ornamentalnych światów.“ Muzyka Straussa nie jest ani ilustracją

tekstu, ani przetworzoną na dźwięki kopią poematu, lecz—tętniącym życiem kawałem duszy, z ducha poematu wyrosłym obrazem, skrzącym się od płomiennych barw. Sam dramat Wilde'a ma—jak powiada Oskar Bie—tyle w sobie muzyki i taki rytmiczny styl, że całość układa się jakby tryptyk muzyczny w trzy kontrastujące nastrojem obrazy, które już z góry nadają dramatowi architektoniczną symetrię.

W muzyce „Salome“ uderza niezwykle bogactwo środków technicznych, które kompozytor piętrzy z jakimś dziwnym upodobaniem i olśniewającym wirtuozostwem. Lecz środki te nie są celem samym dla siebie; to poezja techniki, oddana w służbę dramatycznego wyrazu. Rzecz jasna, że punkt ciężkości dramatu spoczywa w orkiestrze: pod względem liczebnym jest to zespół, z którym nawet wagnerowska orkiestra mierzyć się nie może; skomplikowany organizm, posługujący się nawet nowymi instrumentami, gdyż dawniejsze instrumenty nie wystarczają kompozytorowi do oddania wszystkich intencji; nie licząc się ze stopniem trudności, wymaga Strauss od orkiestry wirtuozowskiego opanowania każdego instrumentu. Z orkiestry wynurzają się tematy i motywy, snujące się przez cały dramat w coraz to nowych instrumentalnych szatach, w najrozmaitszych rytmicznych i tonalnych przemianach. Motywy, występujące w „Salome“ — to nie melodye tematyczne, lecz raczej efekty harmonijne i kontrapunkcyjne, oparte na świetnej pod względem kolorystyki orkiestralnej polifonii. W porównaniu z motywami „Guntrama“, a zwłaszcza „Feuersnot“, motywy, występujące w „Salome“, są krótkie, bez silnie zarysowanych konturów i rozplývają się we mgle nastrojowej kolorystyki. O „motywach przewodnich“ w znaczeniu wagnerowskim nie można w „Salome“ mówić; przeciwnie, zauważyć można wyraźne zerwanie z zasadą wagnerowską, co pozostaje w genetycznym związku z ogólnym prądem, nurtującym współczesną muzykę: muzyka dzisiejsza odrzuca bowiem schematyczne rusztowanie, zbudowane na „motywach przewodnich“, uważając je za surogat dawniejszych architektonicznych form muzyki, a natomiast stara się tylko najogólniej podmałowywać psychologiczne tło utworu i rozplýwać się w sytuacjach bez wszelkiego schematycznego ograniczenia. Strauss nie zarzuca wprawdzie motywu zupełnie, lecz usuwa go na drugi plan i nie nadaje mu tak wyrazistego rysunku melodyjnego, jak Wagner. Jeden tylko motyw w „Salome“ płynie szeroką wstęgą melodyi: motyw Johanana, a raczej uroczysta kantylena, pełna choralnej prostoty i biblijnego patosu; uderza w niej ludowy, romantyczny ton,

przypominający melode Schumanna; obok niego snuje się drugi, pełen powagi, proroczy motyw, zwiastujący — jak fanfara — zwycięstwo wiary. R. Louis, który wobec muzyki „Salomy“ zajmuje nieprzychylnie stanowisko i upatruje w niej tylko „słodkawy sentymentalizm plebejskiej liryki, fałszywy patos i czczą teatralność,“ uważa motyw Johanana za trywialny i dowodzi, że Strauss w pogoni za efektem, hołdując upodobaniom tłumu, zamierzał ze śpiewu Johanana stworzyć „wdzięczną partyę barytonową.“ Jaskrawy kontrast wobec motywu Johanana stanowi śpiew Salomy: w jej motywach drga nuta zmysłowej namiętności, urastającej do demonicznego zapamiętania się i szału; jej obłądny motyw: „Ja chcę twoich ust, Johananie!“ („Ich will deinen Mund küssen, Johanaan!“) oznacza kulminacyjny punkt ekspozycji dramatu. Nawiasem wspomnieć należy, że ten motyw ma nadzwyczajne podobieństwo z motywem, występującym w słynnym Trio A-moll P. Czajkowskiego (op. 50); czy to świadoma, czy przypadkowa reminiscencja, trudno rozstrzygać. Taniec Salomy przed Herodem ujął kompozytor w rany symfonicznego Scherza, stanowiącego dla siebie zamknięty poemat dramatyczny, skupiający w sobie, jak w pryzmacie, wszystkie promienie dramatycznej akcji. Taniec o charakterze orientalnym, to istna orgia zmysłów, symbolizująca szalone crescendo namiętnej żądzy, spotęgowanej do obłądnego szału.

W ostatniej części dramatu rozwija kompozytor swe twórcze skrzydła do potężnego lotu: wszystkie motywy, snujące się w ciągu dramatu, spleta w polifoniczną całość, lśniąca tysiącem światła i refleksów i oszałamiającą wprost przepychem barw i czarem melodyi. Dawniejsze krótkie, urywane motywy przybierają szerokie, rozlewne formy, płyną pełnym korytem i stają się psychologicznym wyrazem uczuć Salomy, muzyką jej duszy, której struny rozbrzmiewają niepohamowaną orgią pożądania, urastającego do paroksyzmu zmysłowej rozkoszy. Twierdzenie, jakoby Strauss starał się muzyką swoją zatrzeć przykre wrażenie, które budzi w dramacie scena końcowa, odpychająca przewrotnością i grozą i zamierzał wyidealizować postać Salomy, oczyścić ją etycznie z grzechu i dokonać jej „wyzwolenia“ (por. O. Roese: „Salome“ Wegweiser durch die Oper) jest — jak słusznie podnosi R. Louis — bezpodstawne, a przede wszystkim sprzeczne z ideą dramatu i intencją poety: znaczyłoby to, że Strauss zmienił, wykoszławił myśl dramatu i nadał jej wręcz odmienne znaczenie, a więc w rzeczywistości nie zdołał przetworzyć na muzykę dramatu Wilde'a. Muzyka „Salomy“ nerwowa, niespokojna, wyeman-

cypowana z pod wszelkiej architektoniki i symetrii muzyki klasycznej, doprowadzona do krańcowej konsekwencji psychologicznej charakterystyki, nie cofa się przed żadnymi środkami, byle tylko znaleźć współdźwięczny ton dla poetyckiego słowa, jego uczuciowej treści, nastroju i myśli: stąd pochodzi owo nieustanne przelewanie się akordów wśród powodzi modulacyjnej bez jasno określonej tonacji, stąd wieczne zmiany rytmu i taktów. Dla plastycznego odmalowania wszelkich intencji kompozytora występują techniczne środki, których daremnieby szukać w dawniejszej muzyce: dysonansowe harmonie, złożone z czterech obok siebie leżących tonów, lub nawet zespoły dwóch różnych tonacji, jak np. w scenie, gdy Herodyada w bezsilnej wściekłości słuchać musi Johana, groniącego jej zbrodnicze występki: orkiestra prowadzi równocześnie melodye w dwóch obcych tonacjach D-moll i H-dur; zaś by odmalować grozę i odrazę chwili, w której Salome składa namiętny pocałunek na ustach odciętej głowy, używa Strauss bez najmniejszego skrupułu dwóch skal, biegnących obok siebie w małych nonach, co równa się niemożliwym dla ucha zgrzytom. Możliwość zarzucić, że to wykracza po za granice piękna, że to—chyba nie muzyka; tymczasem owe dysonanse usprawiedliwić się dadzą jako środki techniczne, mające z realistyczną wiernością odtwarzać odrażający nastrój potwornej chwili, a powtóre ze względu na brzmienie czysto fizyczne są one zupełnie możliwe, a nawet nie bez specyficznego wyrazu przez barwę dźwięku, wydobytą z najrozmaitszych instrumentów orkiestralnych, które nie tylko łagodzą szorstkość brzmienia, ale zespalają w barwną harmonię tony, wyłączające się zresztą wzajemnie; tu dopiero występuje w całej pełni wspomniany poprzednio impresjonizm malarski, znamienny dla nowoczesnej muzyki instrumentalnej, polegający na tem, że kompozytor nie posługuje się samą tylko melodyą i nie opiera jej na czystej, elementarnej podstawie harmonicznnej, lecz łączy wprost całe sploty harmoniczne, jakby samodzielne melodye, miesza je ze sobą i stwarza nowy środek, zdolny nagiąć się do wszystkich intencji kompozytora i odtworzyć każdy wyraz muzyczny. Nie da się jednak zaprzeczyć, że wskutek przeładowania orkiestry efektami instrumentalnymi, przytłacza orkiestra niejednokrotnie potęgą brzmienia głos ludzki, tem bardziej, że śpiew, pozbawiony wyraźnego rysunku melodyjnego, ma charakter dramatycznej deklamacji. Od głosu ludzkiego żąda Strauss nadzwyczajnych trudności, posługując się niezwyklejmi interwałami i starając się zbliżyć do dysonansu, drgającego w naszej mowie.

Oto są najbardziej znamienne cechy muzyki straussowskiej; niepodobna w ramach pobieżnego szkicu, mającego zresztą charakter informacyjny, omawiać ich szczegółowo, gdyż trzeba by na to wyczerpującej analizy krytycznej, by odsłonić wszystkie właściwości muzycznego stylu i techniki straussowskiej w dziele, będącym najbardziej skomplikowanym: utworem nowoczesnej muzyki. I gdy zdawało się, że „Salome“ pozostanie wyjątkowym zjawiskiem w literaturze muzycznej, że poza jej zdobycze techniczne posunąć się nie można, stworzył Strauss dzieło, przerażające poprzedni utwór nie tylko rozmachem dramatycznej siły i realizmem w odtworzeniu psychologicznych sytuacji, ale i śmiałością w użyciu technicznych środków; tem dziełem to muzyka do tragedji Hugona Hofmanstala: „Elektra.“ Jeśli w „Salome“ są sceny, odpychające przewrotnością i grozą, przejmujące wstrętem, to w „Elektrze“ staje przed nami potężny, demoniczny świat, nad którym unosi się widmo zbrodni i krwawi się łuna tragicznej zemsty, świat pełen trwogi i tajemnych przeczuć. Muzyka odtwarza ten tragiczny nastrój z przesubtelną wiernością, każdy odruch psychiczny przetapia na współdźwięczny ton; jest w niej szeroki, potężny gest, jakby technienie wyższej siły, przenikającej dramat i mającej z nieubłaganą koniecznością spełnić to, co postanowiło „przeznaczenie.“ Muzyka „Elektry“ rozstraja, wstrząsa, łamie i wywiera takie samo wrażenie, jakiego doznawać musiał Grek starożytny, gdy w teatrze ateńskim wchłaniał te sofoklesowe wizje tragiczne, snujące się przed jego wylęklą wyobraźnią.

Elektra żyje myślą zemsty; jak ścigane zwierzę ucieka w płochliwej trwodze przed ludźmi: w jej duszy tętnią bolesnym echem nieustannie uderzenia topora, którym wyrodna Klitemnestra zamordowała z kochankiem, Egistem, męża swego, Agamemnona. W pałacu królewskim unosi się atmosfera, przesycona wzywami krwi: gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widma, pławiące się w krwawej kałuży zamordowanego; z nadzwyczajną plastyką maluje muzyka za pomocą jaskrawych dysonansów, staczających się w dół z niezwykłą szybkością ten zbrodniczy, wstrętem przejmujący nastrój. Obludny, pełen historycznego demonizmu charakter Elektry przebija się wyraźnie w ślizkim, wykrętnym motywie, podczas gdy dla odmalowania grozy i przerażenia, trapiącego Klitemnestrę i scharakteryzowania jej zgniłej, występnej duszy i jej moralnego brudu ucieka się kompozytor do muzycznych środków, na które się nawet w „Salome“ nie odważył: są to akordy, a raczej rozdzierające uszy wycia dysonansowe, wynikłe z połączenia nieharmonicznych tonów lub równoczesnego zespole-

nia dwóch odmiennych tonacyi. Wśród tej przygnębiającej, smutkiem i trwogą brzemiennej atmosfery, wyłania się jedyny melodyjny i pogodny motyw, charakteryzujący dzieci Agamemnona i ich świetlaną miłość ku ojcu—to jakby oaza na tem cmentarzy-sku ludzkim bez serc i litości.

Elektra pragnie pomścić śmierć ojca: zamordować Klitemnestrę i Egista; to będzie chwila jej tryumfu: na grobie ojca złoży dziękczynne ofiary i zatańczy radosny taniec zwycięstwa z wdzięczności dla bogów. Jedyną nadzieję pokłada Elektra w swym bracie, Orestesie, którego, szarpana nieustanną trwogą, matka usunęła z domu; i oto rozbiega się mylna wiadomość, że Orestes zginął. Zrozpaczona Elektra postanawia sama spełnić dzieło zemsty i wygrzebuje topór, którym zamordowano jej ojca: w tej chwili orkiestra maluje łudzaco, jak Elektra, opętana szałem zemsty, kopie coraz gwałtowniej. Lecz wśród rozpaczego zwątpienia zajaśniał pierwszy promień radosny: Orestes żyje—i sam zjawia się w pałacu, by spełnić to, co mu obowiązek nakazuje. W duszy Elektry budzi się nadzieja zwycięstwa: ten sam motyw, który rozbrzmiewa na czele dramatu molowym dźwiękiem jakby bolesne wspomnienie królewskiej przeszłości, teraz występuje w durowej tonacyi dla oddania radosnego nastroju i nadziei tryumfu. Orestes wpada do komnaty matki, by tu dokonać czynu zemsty: w najwyższem napięciu niepewności i trwogi łowi Elektra zdławione głosy, dobywające się z wnętrza pałacu i biega ze schyloną głową, jak zwierzę w klatce, oszalała z bólu; wszak tutaj rozstrzyga się walka jej życia, tu rozgrywa się dramat jej duszy; z orkiestry wynurza się obłądana figura instrumentalna, ilustrująca dosadnie psychiczny stan Elektry. Orest zwyciężył! Radość, zmieszana z nienawiścią i tryumfen, dobywa się z niepomamowaną siłą; Elektra rozpoczyna dziękczynny, histeryczny taniec; obłądana szczęściem, wyczerpana tryumfem zemsty, upada wkońcu wśród orgiastycznego wybuchu orkiestry.

W „Elektrze“ dotarł Strauss do takiej granicy, że konsekwentny rozwój po tej linii doprowadziłby musiał do negacyi zasadniczych podstaw naszej muzyki. Przerafinowanie i przejawienie środków technicznych, nagromadzenie efektów orkiestralnych i barw instrumentalnych, usunięcie melodyjnej linii i zastąpienie jej wyłącznie „melodyą harmoniczną,“ słowem lekceważenie wszystkiego, co muzyczne, a oddanie go tylko w służbę dramatycznego i psychologicznego wyrazu, chociażby kosztem piękna, oto — co stworzyła „Elektra.“

I nagle po tej ponurej, wstrząsającej tragiczną grozą i demonizmem muzyce, sprawił Strauss światu muzycznemu niespodziankę, trudną do wytłómaczenia: napisał muzykę do komedii Hugona Hofmanstala: „Der Rosenkavalier“ („Kawaler srebrnej róży“). Ostatni utwór Straussa, skąpany w tęczy srebrzystych harmonii i czarownych melodi, pełnych uroku i finezyi, przelewa się od wesołości i humoru i swoim pogodnym tonem dziwnie kontrastuje z nastrojem poprzednich dzieł dramatycznych. Skąd ta zmiana? Sądzę, że należy wytłómaczyć ją sobie ogólnym zwrotem, jaki dokonał się w naszym życiu psychicznym i jaki przyniósł dzisiaj i muzykę: oto niezaprzeczoną jest rzeczą, że nastąpiło przesubtelnienie i przerafinowanie życia, żeśmy zatracili pierwotny zmysł dla zewnętrznego piękna, dla formy, gdyż żyliśmy zanadto wewnętrznym metafizycznym życiem. Reakcja była nieunikniona: obudziło się dzisiaj w nas pragnienie prostoty, szukamy zadowolenia zmysłów, znajdujemy upodobanie w samej zewnętrznej formie i technice. Z tych źródeł wypłynął może i czyn Straussa, odwrócenie się od demonicznych światów ducha, a zwrot ku życiu, prostocie i pogodzie. ¹⁾

D-R JÓZEF WŁADYSŁAW REISS.

¹⁾ Wstrzymałem się od wszelkich uwag krytycznych nad ostatniem dziełem Straussa, gdyż wrażenie moje, oparte wyłącznie tylko na znajomości wyciągu fortepianowego, jest zbyt fragmentaryczne i nieskrystalizowane.

PIŚMIENNICTWO.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER. *Gra fol*, powieść w związku z „Królem Andrzejem.“ Warszawa, 1911. Nakładem Kasy Przewozności i Pomocy warszawskich pracowników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Kraków, księgarnia G. Gebethnera i Spółki, 8-o, str. 308.

Ściśle biorąc, związek powieści niniejszej z „Królem Andrzejem“ jest dość luźny. Ogranicza się bowiem do tego, że obie są utworami fantastycznymi na tle zmyślonych stosunków społeczno-politycznych. Pozatem wspólność niektórych osób, jak np. zdetronizowany król państwa południowo-słowiańskiego, Andrzej, lub dyktator Zbigniew Polan, jak również wspólny wątek dziejów owej fantastycznej organizacji państwowej Słowiańszczyzny południowej, są to rzeczy raczej przypadkowe, niż zasadnicze.

Opowiada się wprawdzie o wielkiej wojnie, w której z jednej strony stają Niemcy i Węgrzy, z drugiej zaś — zjednoczeni Słowianie, o wielkiej klęsce nad Dunajem, wreszcie — o zwycięstwie w trójkącie między Driną a Sawą, o morderczych walkach i świetnych tryumfach, ale wątek ten, drugorzędny i nie pozostawający w bezpośrednim związku z główną osnową, urywa się, nie rozpraszając wątpliwości czytelników co do dalszego rozwoju wypadków.

To, co jest istotnie rdzeniem pacierzowym powieści, dzieje się w Rzymie i rozgrywa się między kilku osobami, którymi są: kardynał Jan Murri, syn chłopca z Kalabrii, piękna Polka, księżna Dorota Korecka, stolarz i malarz pokojowy Piotr Szafranski, rewolucjonista-anarchista Ziemomysł Łanowski.

Wszystkie te postacie naogół dobrze nakreślone: kardynał, człek mocnej ręki i silnego ducha, potężny, nieugięty, nie cofają-

cy się przed niczem, byle zadowolić swą nadludzką ambicję, co mu tem łatwiej przychodzi, że sam los staje się jego sprzymierzeńcem, wywyższając go ponad wszystkich i wszystko. Korecka, dumna pani, zwana „rubinową księżną,“ uzyskawszy zupełną swobodę od niedołęznego, narzuconego jej, a wstrętnego męża, jest panią swej woli, kierując się w życiu nie chłodnym rozumem, lecz gorącym temperamentem. Jest w Rzymie „ambasadorką Polski,“ starając się pozyskać Murrego dla sprawy polskiej; przytem kardynał jest pierwszym człowiekiem, którego pokochała całą mocą namiętności niepohamowanej.

Zawiodła się w swoich nadziejach: przyszłość Polski pozostawia żelaznego kardynała obojętnym, a miłość uroczej Polki roznieca wprawdzie żar jego zmysłowej natury, ale na krótko; nasyciwszy się, odrzuca to uczucie, jak wychyloną czarę.

Szafrąński należy do najudatniejszych figur w powieści. Cygan, abnegat, cynik i libertyn, ma w sobie jednak coś z hardorogatej duszy szlachcica polskiego; dziwny konglomerat cnót i ułomności, rewolucjonizmu i dogmatowości, jest mimo to naprawdę żywym człowiekiem, a przytem figurą sympatyczną.

Nie można tego powiedzieć o Łanowskim, chociaż jest on jedną z głównych sprężyn akcji. Nie znamy duszy tego człowieka, nie wiemy, czy jest w tej duszy coś poza doktryną. Jego postęпки dziwią nas, bo nie znamy dokładnie ich pobudek. Kiedy wielka demonstracya socyalistyczna w Rzymie nie udała mu się należycie, postanowił wstrząsnąć sumieniem świata: wysadzić w powietrze bazylikę św. Piotra, jak anarchiści w „Paryżu“ Zoli katedrę Notre Dame de Paris. Potrzebne do tego 5,000,000 franków wyłudza od księżnej Koreckiej pod pozorem, że chce spełnić jakiś czyn doniosły, mający uszczęśliwić ludzkość, nie wyjawia jednak przytem, jakiego rodzaju ma być ten czyn. A potem groźbą zamordowania kardynała doprowadza Korecką do tego, że — ofiarowuje mu swą miłość, którą on z pogardą, teatralnym gestem, odrzuca. Łanowski wogóle ma więcej gestów, niż istotnych drgnięć duszy, a jego wielka rozmowa z Murrim (coś niby dyalog hr. Henryka z Pankracym) nie ma w sobie żywiołowej mocy.

Pozostaje nam jeszcze jedna figura w „Grze fał,“ ukryta zdala od wiru namiętności ludzkich, w cichem, uroczem ustroniu nad jeziorem Szczyrbskiem, u stóp Tatr niebotycznych: to Seweryn Toszczyński, szlachetny marzyciel, dostoyny samotnik, którego podniosła korespondencya z Korecką wypełnia najpoetyczniejsze stronicę w tej, brutalnej często w swych epizodach powieści.

„Gra fal“ jest czystem zmyśleniem. W „Królu Andrzeju“ były jeszcze pewne aluzye, pewne wspomnienia faktów rzeczywistych, można się było doszukiwać jakiejś, zresztą dość złudnej alegoryi. Nic podobnego w „Grze fal,“ która chce być tylko bajką—niczem więcej.

Jako bajka, jest to utwór, przyznać należy, zajmujący i zawiera wiele momentów silnych i niezwykłych. Wadą jego główną jest to, że różnorodne motywy, z których się splata, nie są z sobą w dostatecznej mierze skoordynowane, nie tworzą żadnej całości architektonicznej. Tetmajer-liryk daje się unosić dygresyom, nie unie, a może nie chce, trzymać swej wyobraźni na wodzy, zamykać jej w szrankach jakiegoś z góry nakreślonego planu.

HENRYK GALLE.

LUBAWSKIJ M. K. prof. *Oczerk istorii Litowsko-russkawo Gosudarstwa.* Moskwa 1910, str. 376.

Prof. M. K. Lubawskij należy do tych historyków cudzoziemskich, których nazwiska znane są każdemu Polakowi, zajmującemu się poważnie dziejami ojczystemi. Od lat kilkunastu uczony ten pracuje nad dziejami wewnętrznymi Litwy. Z bezprzykładną iście pracowitością zbadał on księgi Metryki Litewskiej z doby przed Unią Lubelską, usystematyzował zawarty w nich materiał i stworzył dwie potężne monografie: „Obłastnoje dielenije i miestnoje uprawlenije Litowsko-russkawo Gosudarstwa ko wremieni izdanija pierwawo Litowskawo Statuta“ i „Litowsko-Russkij sejm.“ Prace te mają iście pomnikowe znaczenie dla dziejów Litwy; od nich obecnie każdy badacz studia swe rozpoczynać musi, układ ich jednak jest tego rodzaju, że są one mało dostępne dla szerszej sfery czytelników. I oto prof. Lubawskij postanowił rezultaty swych badań nad dziejami wewnętrznymi Litwy udostępnić szerszemu ogółowi, drukując „Zarys historii państwa litewsko-russkiego.“ Zużytkował tu uczony rosyjski swoje prace oraz monografie innych uczonych rosyjskich i całą odnośną polską literaturę i wreszcie własne wykłady uniwersyteckie. Mamy tu więc kompendium historii ustroju państwa litewskiego (dzieje zewnętrzne, jak również historię kultury traktuje Lubawskij pobieżnie) tudzież kwintesencję półwiekowej pracy uczonych polskich i rosyjskich. „Zarys“ prof. Lubawskiego odznacza się obiektywizmem, który cechował już i poprzednie prace tego uczonego. Obiek-

tywizm ten odzwierciadla się zarówno w przedstawianiu takich faktów, jak unia Litwy z Polską, jak i w tem, że w przytaczanej na końcu każdego rozdziału literaturze, prace polskie uwzględniane są narówni z rosyjskimi (nie dostrzegliśmy tylko pracy prof. Czermaka „Sprawa równouprawnienia schizmatyków i katolików,“ która bądź co bądź powinna być wymieniona w takim dziele).

Zarówno dla Polaka, jak i dla Rosyanina, przystępującego do badania historii Litwy, najważniejszą będzie zawsze kwestya Unii Lubelskiej. To też zaznajamiając czytelników z dziełem Lubawskiego, uważamy sobie za obowiązek wskazać przedewszystkiem jego pogląd na Unię. Lubawskij daleki jest od tego, by Unię Lubelską przypisywać wyłącznie naciskowi Polaków lub też niebezpieczeństwu ze strony Moskwy. Jak słusznie zaznacza, w latach 1492 - 1544 Litwa prowadziła niemniej zaciętą walkę z Moskwą, a jednak wówczas do Unii nie przyszło, a to dlatego, że nie był jeszcze skończony proces asymilacyjny Wielkiego Księstwa Litewskiego z Polską. Więć wewnętrzna asymilacya Litwy była, jeśli nie główną przyczyną, to nieodzownym warunkiem trwałej Unii. Drugim koniecznym warunkiem pomyślnego załatwienia sprawy Unii było przychylnie stanowisko szlachty, która w połączeniu z Polską widziała z jednej strony gwarancję zdobytych przywilejów, na które z zawiścią patrzyli magnaci, a z drugiej strony zmniejszenie ucisku podatkowego, wywołanego wskutek wojny inflanckiej. Nadzwyczaj charakterystyczny jest pogląd Lubawskiego na opozycję magnatów litewskich na sejmie uniałnym 1569 r. „Autonomiczne państwo litewskie — pisze Lubawskij — było przedsięwzięciem, w które magnaci litewscy włożyli swe ogromne kapitały rodzinne pod postacią pożyczek, udzielanych skarbowi państwa pod zastaw dóbr narodowych, i oczywiście chcieli oni po dawnemu rządzić się i gospodarować w tem przedsięwzięciu. Unia, tak, jak pojmowali Polacy, mogła położyć kres tej gospodarce i dlatego magnaci byli jej przeciwni. Najzaciętszymi przeciwnikami Unii byli właśnie ci panowie, którzy znaczne sumy użyli na potrzeby Wielkiego Księstwa. Rzecz prosta, że troszczyli się oni nietylko o swe stanowisko w przyszłej połączonej Rzeczypospolitej, ale i o swe „pieniązi,“ wypożyczone skarbowi i zagwarantowane zastawem dóbr gospodarskich.“ Głębokością odznacza się pogląd Lubawskiego na przyczyny, które sprawiły, iż dwie Rusie, wschodnia i zachodnia, poszły tak różnemi drogami, wyrobiły tak różne od siebie formy państwowości.

„Północno-wschodnia Ruś — pisze Lubawskij — była krajem, w którym ludność przekoczowywała z jednego końca do drugiego, zdobywając sobie wciąż nowe i nowe siedziby na północy, wschodzie i południu. Ludność północno-wschodniej Rusi była w ciągłym ruchu, brakło tam trwałości i miejscowym organizacyom politycznym i tworzącym się stosunkom społecznym. Rozwijająca się wielka własność nie wrastała głęboko w środowisko, nie przytrzymywała go swojemi korzeniami i niciami. Rzecz prosta, iż wielki książę moskiewski, zagarnawszy władzę nad takim niezasiedziałem, ruchomem społeczeństwem, z łatwością wziął nad niem górę, otoczywszy go żelaznemi obręczami administracyjnej dyscypliny, nadając mu takie formy, jakie uznawał za stosowne ze względu na potrzeby państwowe. Inny był materyał, który posłużył do utworzenia państwa litewsko ruskiego. Litwa i Ruś zachodnia siedziały na starym pniu, zwartą masą zamieszkując terytoryum, otoczone ze wszystkich stron przez silnych sąsiadów. W takich warunkach wszystkie stosunki i związki społeczne były tu stalsze, mocniejsze, niż na Rusi północno-wschodniej.“ „Nad takim, silnie uorganizowanem społeczeństwem — pisze dalej Lubawskij — można było ustanowić władzę centralną ponad organizacyami miejscowemi, nie burząc, ale sankcyonując i regulując stosunki, króre się wytworzyły, co i robili wielcy książęta litewscy od chwili utworzenia się państwa litewskiego.“

Przytoczone tu ustępy dowodzą najlepiej, iż prof. Lubawskij, staranny analityk, umie się wznieść i na wyżyny syntezy; najnowsze też jego dzieło powinno być poznane i przez społeczeństwo polskie.

IG. B.

MACISZEWSKI MAURYCY D-r. *Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej.*
Monografia historyczna. Str. 224. Brody 1910. Henryk West.

W ostatnich latach stwierdzić się daje rozwój naszej historiografii lokalnej. Każdy rok przynosi nowe monografie historyczne naszych miast i miasteczek, pisane przez ludzi o różnym przygotowaniu naukowem, to też monografie te różnią się bardzo pod względem swej wewnętrznej wartości. Do najlepszych prac tego rodzaju, jakie ukazały się w ostatnich latach, należy pięknie wydana monografia Brzeżan, będąca owocem trzydziestoletnich studyów d-ra Maurycego Maciszewskiego. W czasie tyloletnich badań zdołał autor zbadać dokładnie archiwum miejskie w Brze-

zanach, w którym przechowuje się pięć tomów ksiąg radzieckich, zawierających akta od r. 1625, dalej archiwum hr. hr. Potockich w Raju pod Przeżanami, zawierające między innymi inwentarze gospodarcze od r. 1658, przewertował miejscowe archiwa cerkiewne, kościelne i klasztorne, porobił wreszcie odpowiednie kwerendy w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Opierając się na tak zdobytych materiałach, zdołał dr. Maciszewski dać małym Brzeżanom taką monografię, jakiejby im mogło pozazdrościć niejedno nasze miasto gubernialne.

Brzeżany były typowym miasteczkiem czerwonoruskiem. Obdarzone prawem miejskim w r. 1530, dzięki staraniom ówczesnego swego dziedzica Mikołaja Sieniawskiego, przetrwały w jego rodzie do początków wieku XVIII. Ostatnia Sieniawska wniosła je w posagu księciu Augustowi Czartoryskiemu, po którym przeszły na ród Potockich. Jako typowe miasteczko, położone na Czerwonej Rusi, miały Brzeżany ludność różnoplemienną: istnieją więc tam obok siebie gminy — polsko-ruska, żydowska i ormiańska. Żydzi nie mają oddzielnej dzielnicy, lecz mieszkają pomiędzy ludnością chrześcijańską, ponosząc takie same, jak ona, ciężary na rzecz dworu. Rolnictwo nie było głównym zajęciem mieszkańców, jak to się zdarzało w większości miasteczek, leżących na terytorium Rzeczypospolitej, przeciwnie, mieszczanie żyli z handlu i rzemiosł, ubocznie jedynie zajmując się uprawą roli. Rzemieślnicy, zorganizowani w cechy, tracą siły w bezpłodnej walce obrony swych monopolów. Pod tym względem wielce charakterystyczny jest spór, prowadzony w r. 1639 przez mistrzów cechu kuśnierskiego z członkami zgromadzenia krawieckiego, a zakończony rezolucją, aby „krawcy kuśnierzom w rzemiośle ich w niczem przeszkadzać nie ważyli się, coby się się tchnąć dało, ani żadnymi podszewkami, co do futra należy, podszywać nie ważyli się, tak samym sobie, jako i małżonkom swoim. Ciż kuśnierze nie powinni tak sobie, jako i małżonkom i dziatkom swoim sukien krajać, coby się na igłę wzięść miało, pod winą dziesięciu grzywnien pańskiej winy.“ Trudno chyba o rezolucję, charakteryzującą dosadniej życie przeżywającej się cechowej reglamentacji.

Każda z narodowości, mieszkających w Brzeżanach, posiadała swoją szkołę, to też oświata stała tam dosyć wysoko, dr Maciszewski przypuszcza nawet, iż w wieku XVII umiejętność czytania i pisania była wśród brzeżanian powszechną.

Cenny materiał do historyi kultury i obyczajów mieszczan znalazł dr Maciszewski w księgach sądów miejskich. Dowiadujemy się więc, że życie brzeżanian w owych czasach nie było

skomplikowane, posiadłości nieruchome nie przedstawiały wielkiej wartości, a chcący się budować, dostawał łatwo plac, ogród bezpłatnie, rezultatem tego była niewielka ilość spraw spornych cywilnych. Ze spraw karnych najliczniejszymi są sprawy o obrazę honoru, procesy o czary zdarzają się od czasu do czasu, sądy jednak landwójtowskie zapatrują się na nie sceptycznie już w wieku XVII. Krewkości mieszczanom nie brakło, często się też skarżono o pobicie i poranienie. Zdarzały się i procesy o uwodzenie, a nawet i o zabójstwo, zazwyczaj jednakże kończyły się ugodą. Wydawanie wyroków śmierci, równie jak i uciekanie się do tortur podczas śledztw, nie szło w smak ławnikom brzeżańskim.

Wiązkę szczegółów o materyalnem położeniu mieszczan w Brzeżanach dostarczyły autorowi testamenty i interczyzy ślubne, zapisywane w księgach radzieckich. Dowiadujemy się więc, że wartość majątku ruchomego i nieruchomego mieszczan w wieku XVII nie przewyższała 900 złp., o względnej zamożności świadczą stroje nie tylko barwne, ale i kosztowne.

Oprócz właściwej monografii Brzeżan podał d-r Maciszewski w swem dziele także zarys dziejów domu Sieniawskich, jako fundatorów i dobrodziejów miasta, oddzielne wreszcie rozdziały poświęcił zamkowi brzeżańskiemu, istniejącemu od r. 1550, a będącemu obronną twierdzą, nadto kościołowi zamkowemu, ozdobionemu szeregiem pomników Sieniawskich. W dodatku umieścił autor szereg dokumentów odnalezionych przez siebie, na których czele stoi przywilej erekcyjny miasta z r. 1530.

I. B.

OTTONÓWNA. „Z Bożej łaski.“ Cykl wielkopolskich szkiców. 8-o, str. 329, l. Kraków 1911, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Szkice p. Ottonówny, jak zresztą uprzedza nas autorka, są „równianką drobnych powieści, luźnie związanych w całość.“ Co do materyału jednak, z którego wysnute są wspomniane powieści, autorka zastrzega się wyraźnie, iż „żaden fakt nie jest tu ani zmyślony, ani przesadzony,“ iż „historyczne zajścia (w tem, co jest w nich istotnego) dzieją się co do słowa w swoim czasie.“ Autorka zaledwie grupuje z pewną swobodą fakty i zwykle, acz nie zawsze, przesłania je (niekiedy bardzo przejrzyście) zmyśloną nazwą, uboczną okolicznością i t. p. Mimo to wszystko, nie da

się zaprzeczyć, że forma szkiców jest beletrystyczna; w zasadzie jednak mamy do czynienia nie z powieścią ani z nowelami, lecz z naracją widza... Widza zgoła nieobojętnego, lecz biorącego całym sercem udział w zdarzeniach, przesuujących się przed jego oczyma, pragnącego rzeczy widziane wyjaśnić i zaczerpnąć z nich wskazań praktycznych na przyszłość. Tak tedy niepodobna nam przykładać do „szkiców wielkopolskich“ p. Ottonówny takiej miary, jaką się stosuje do twórców fantazyi, do dzieł sztuki. Musimy raczej zdać sobie sprawę z tego, co nam ukazuje autorka, jaki wybór czyni w zdarzeniach, jak je oświetla.

Że pragnie nas przenieść w Poznańskie i dać obraz życia na ziemi wielkopolskiej, zaznaczyła to w podtytule. Jakie zaś strony życia malować będzie, uprzedza nas gorzka ironia, zawarta w nazwie książki: „Z Bożej łaski“... Z „Bożej łaski“ królowie Prus władają ziemią polską i z „Bożej to łaski“ Prusacy, jako rasa wyższa, otrzymali dziejowe posłannictwo zniszczenia barbarzyńskiej Słowian kultury... Treścią zatem książki—w jej części rzeczowej—będzie obraz walki zaciętej, okrutnej żywiołu polskiego z naporem eksterminacyjnym władz i społeczeństwa w Prusach, dokonywanym w imię wyższości kultury germańskiej. Przesuną się przed nami fakty poprostu potworne, niestety, dobrze nam znane, czyny, dokonywane się w państwie bojaźni Bożej, w dzielnicy polskiej... Lecz w miarę potęgującego się nacisku w społeczeństwie polskiem wzrasta odporność wytwarzają się cechy, świadczące o żywotności narodu; te cechy, których mu brakło dotąd: zdolność do wysiłków ciągłych, pracy wytwórczej, korzystanie z nabytków kultury, umiejętność zastosowania stopy życiowej do warunków, solidarność społeczna.

Obraz stosunków w książce p. Ottonówny nie jest zupełnie wyczerpujący. Wpływa na to przedewszystkiem specjalny kąt widzenia. Autorka ukazuje nam żywioł polski nietyle sam w sobie, ile zawsze w stosunku do wrogiej siły. Nie wszystkie warstwy zostały również uwzględnione. Nie widzi miasta i najróżnorodniejszych jego elementów, od których przecież w znacznej mierze zależy byt i przyszłość narodu. Dla autorki zdawałoby się istnieje tylko wieś; a we wsi są przeważnie dwory i rezydencje pańskie. Wprawdzie lud występuje na scenę nieraz, lecz tylko albo w stosunku do hakaty w rządzie czy społeczeństwie niemieckiem, lub też w stosunku do swych panów, których uważa za przewodników i opiekunów, od Boga mu danych, i względem których okazuje zawsze zupełne oddanie, cześć, miłość. Pod tym względem, według autorki, panują w Księstwie najzupełniej ideal-

ne stosunki. Już to trzeba przyznać, że o ile akcja germanizacyjna przejmując autorce namiętne oburzeniem, posiadającym bardzo często moc suggestywną (zob. np. obrazek: „Jak uczą Prusacy“), to znowu wszystko, co dotyczy Polaków w Księstwie, wydaje się autorce idealnym i pięknym, wzorowym... A jeżeli nawet zdarzy się coś mniej wzorowego, autorka zawsze znajdzie bądź usprawiedliwienie, bądź przeciwwagę w popędach i czynach dobrych... Ta idealizacja prowadzi ją nieraz do tego, że przestaje odróżniać drobiazgi od rzeczy donioślejszego znaczenia, jak gdyby wszystko, cokolwiek dzieje się we dworze pańskim (gra w karty, ale umiarkowana, uczta niedorostków blagujących, ale poczytych i t. d.), było sprawą narodową...

Obraz stosunków w Poznańskim, jak się rzekło, zamknięty jest w formę beletrystyczną. Ale bardzo często wtrącane przez autorkę komentarze i refleksje, zarówno jak bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne dyalogi osób powieściowych, odsłaniają inną stronę książki, mianowicie jej tendencję dydaktyczną. Według autorki, prześladowania żywiołu polskiego w Niemczech wynikają z żywiołowej niechęci, nawet nienawiści, rasy germańskiej do słowiańskiej, nienawiści, zrodzonej z poczucia własnego przeżycia się i z tłumionego przeświadczenia, iż do młodzieńczej rasy należy przyszłość... Jak uważamy, z górnego tonu zaczyna autorka. W każdym razie dostarczony przez nią materiał stanowi zbyt szczupłe oparcie do tak rozległej syntezy. Skądinąd niebezpieczne są wnioski, poczynione ze wspomnianej przesłanki. Autorka radaby przeciwstawić germańszczyźnie zjednoczoną słowiańszczyznę, a zapatrzona w tę perspektywę, gotowa równoważyć „przygodną przewagę jednego szczepu słowiańskiego nad drugim...“ Tu znowu, jak się zdaje, mistyczny idealizm zbyt daleko pociąga autorkę.

A. DROGOSZEWSKI.

Kronika miesięczna.

W imię interesów drobnej własności rolnej. — Nowe prawo o komasacyi. — Interpretacyjna instrukcyja i jej krytyka. — Kredyt dla własności drobnej za pośrednictwem Banku włościańskiego. — Projekt kredytu melioracyjnego dla gospodarstw drobnych. — Ziemstwa na Litwie i Rusi. — Epilog sprawy Rapperswyłu. — Drożyzna współczesna, jako zagadnienie społeczne.

Z napotykanego rzadko wzgórza spoglądamy na płaską równinę mazowiecką. Oko malarza ucieszy masa pól, malowanych „zbożem rozmaitem“, drobnych różnokolorowych zagonów. Malowniczość w życiu często jednak przeczy praktyczności. Te szare ugory, zielone łąki, złote łany zbóż zdala przedstawiają się oku, niby olbrzymia szachownica. I tem też mianem ochrzczone zostało największe bodaj niedomaganie naszego rolnictwa. Nie w tem rzecz oczywiście, że ze wzgórza widzimy drobno pokrajane kawałki ziemi, bo to jest wogóle cechą przewagi drobnej własności, lecz w tem, że te drobne kawałki, nieraz do jednego właściciela należące, położone są osobno, w różnych odległościach od jego zagrody, w sąsiedzkiem otoczeniu gruntów obcych, często granicznych wrogów, czasem dworskich. Nietylko ekonomiczna stąd szkoda, że na rozrzuconych kawałkach racjonalnego gospodarstwa prowadzić niepodobna, ale i moralna, bo obce blizkie sąsiedztwo stałą jest pokusą do wzajemnych szkód, wypasań, sporów, których wieś nasza jest codziennym teatrem.

Na zło — szachownicę — było jedno lekarstwo — zcalenie gruntów. To lekarstwo było oddawna dążeniem naszego ziemiaństwa, dążeniem bezpłodnem zresztą, ponieważ wszelkie usiłowania zainteresowania tą sprawą władz rządowych były płonne. Uwłaszczenie włościan naszych przed pół wiekiem dokonane zostało przeciw szlachcie i w tej myśli, ażeby stałe zarzewie nienawiści mię-

dzy dworem i chatą utrzymać. Celowi temu służyły skuteczniej służebności, ale dosyć skutecznie i szachownica. Znoszenie i pierwszych i drugiej czyniło prawo zależnem od zgody interesowanych, wymagając jednak ich jednomyślności—nieosiągalnej, innemi słowy czyniło je prawie niemożliwem. A tymczasem rolnictwo nasze rozwijało się technicznie, przechodziło ciężkie czasy, stawało się coraz bardziej podobnem do zachodnio-europejskiego, więc i półwiekowe przeżytki stawały się coraz cięższymi kajdanami.

Zaradza do pewnego stopnia złemu prawo o komasacyi, uchwalone w roku ubiegłym przez Izbę Państwową, przeznaczone początkowo jedynie dla Cesarstwa, a następnie rozszerzone na Królestwo przez dodatek, uchwalony dzięki przeważnym zabiegom pośła Grabskiego oraz staraniom reprezentacyi naszej w Petersburgu. Jest to od pół wieku pierwszy ważniejszy krok w dziedzinie obowiązującego u nas prawa agrarnego. Nowe prawo dotyczy komasacyi gruntów nietylko włościańskich, ale i drobnoszlacheckich, „nieukazowych“ wogóle, co podnosi jego znaczenie, cechy bowiem, które w gruntach włościańskich występowały skutkiem zbyt pospiesznego wprowadzenia prawa o uwłaszczeniu, wystąpiły wśród posiadłości drobnoszlacheckich skutkiem działów, niedbalstwa i złego przykładu otaczających stosunków, uważanych za zło konieczne i nieuniknione. Nowe prawo pozwala nareszcie na podjęcie szerszej walki w imię zcalenia gruntów, a zatem i urzędzenia racjonalnego wsi naszej; pozwala—pomimo, że jest niezupełne, nie dość szczegółowo opracowane, nie dość przystosowane do naszych zupełnie odrębnych stosunków, pozostawiające wreszcie duże pole do interpretacyi władzom wykonawczym. A można je uważać za wprowadzone w życie dziś dopiero — po roku—dopiero obecnie bowiem wydana została przez ministerjum spraw wewnętrznych instrukcyja dla komisarzy i komisji gubernialnych do spraw włościańskich, zawierająca szczegółowe przepisy i wskazówki postępowania przy stosowaniu nowego prawa.

Z nowego prawa korzystać mają przedewszystkiem włościanie, przyczem punktem wyjścia dla komasacyi ma być faktyczny stan posiadania a nie tabele likwidacyjne, innemi słowy, jeżeli jednostka jest właścicielem paru osad, otrzymuje potem grunt w jednym dziale, jeżeli zaś jedna osada podzielona została na kilka części między kilku właścicieli, to każda z tych części uważana jest za odrębną jednostkę gospodarczą. Co się zaś tyczy wsi drobnoszlacheckich i właścicieli gruntów „nieukazowych“ np. włościan, którzy nabyli grunty z parcelacyi przy pośrednictwie Banku włościańskiego, to do uchwał w sprawie komasacyi upraw-

nione są zebrania wszystkich zamieszkałych w danej wsi gospodarzy, zebrania takiego samego typu, jak te, które obierają w takich wsiach sołtysów. Do gruntów tych nie stosują się ograniczenia, dotyczące jednolitości i figury działek, o których niżej. Osady wreszcie są pozbawione dobrodziejstw nowego prawa; jak poprzednio, tak i teraz, do zcalenia gruntów potrzebna jest jednomyślność ogółu wszystkich mieszkańców osad.

Zasadniczą cechą nowego prawa o komasacyi — różniącą je od poprzedniego stanu rzeczy — jest wymaganie do zcalenia gruntów nie jednomyślności, lecz większości głosów zainteresowanych w niem właścicieli. Procedura zaś samych czynności jest taka: kiedy dana wieś zgodzi się na zcalenie gruntów, występuje z odpowiedniem podaniem do komisarza włościańskiego, który zjeżdża na grunt i przy udziale zainteresowanych opracowuje ogólny plan komasacyi, zasady szacowania gruntów przy zamianach i t. d. Tak opracowany zarys projektu idzie do rozpatrzenia i zatwierdzenia najpierw gubernatora, a następnie komisji gubernialnej do spraw włościańskich, która corocznie przed 15 marca ustala plan robót dla całej danej okolicy. Dopiero po tem zatwierdzeniu geometra sporządza projekt właściwy, już na ścisłych granicach oparty i ten projekt musi być przyjęty przez zebranie gromadzkie prostą większością głosów. Zażalenia na te uchwały należy wnosić do komisji gubernialnych do spraw włościańskich, a jeżeli uchwała jest niezgodna z przepisami prawa obowiązującego, zostaje przez komisję unieważniona.

Ciekawe w tem prawie i w dopełniającej je instrukcyi jest pojęcie samej „komasacyi.“ Rozróżniamy tu dwa typy: skolonizowanie wsi, czyli zupełne zcalenie wszystkich użytków rolnych, nowy podział i przeniesienie budowli na nowoutworzone działki, do czego jednak potrzebna jest zgoda wszystkich gospodarzy, których zabudowania mają być przeniesione, i — zcalenie przy pozostawieniu bez zmiany samych siedlisk, przyczem jednak zcaleniu muszą ulegć wszystkie grunty orne. Wszelkie uchwały gromadzkie, które nie odpowiadałyby temu pojęciu komasacyi, mają być unieważnione.

W interpretacyi takiej widzimy poważny szkopuł do przeprowadzania w życiu masowego zcalenia gruntów włościańskich. Nie trzeba zapominać o wrodzonym konserwatyzmie włościan naszych, o tem, że już się żyli z szachownicą, że nieraz trudno ich do zcalenia gruntów namówić, cóż dopiero, gdy prawo stawia trudności przy przeprowadzeniu tegoż. Praktycznie — znoszenie szachownicy odbywało się u nas w ten sposób, że gospodarze

otrzymywali grunty w dwóch lub trzech osobnych działkach, co było jednakże już bardzo znacznym postępem gospodarczym w stosunku do poprzednich kilkunastu czy kilkudziesięciu. Praktyka wykazywała przytem czasem konieczność takiego częściowego zcalenia. Wyobraźmy sobie naprzykład wieś o gruntach dwóch zupełnie różnych typów oraz niemożność faktyczną, aby każdy z gospodarzy otrzymał w jednym kawale grunt obu typów; przecież o wiele lepiej będzie, że dostanie obydwu grunty w dwu kawałach, niż ażeby zcalenie wcale nie przyszło do skutku. A jednak doktrynerska instrukcyja wybiera to drugie.

Idźmy dalej. Znajdujemy zastrzeżenie co do konfiguracyi nowych działek, a mianowicie, w celu zapobieżenia nadmiernemu ich wydłużaniu, mamy przepis, że stosunek szerokości do długości nie powinien być mniejszy, niż jeden do pięciu. Nie zastosowanie się do tego przepisu nie pociąga wprawdzie za sobą unieważnienia uchwały, ale tylko pozbawia wieś korzystania z pomocy bezpłatnego geometry rządowego, czyli znowu utrudnia zcalenie. A przepis powyższy znajduje się w rażącej sprzeczności z poprzednim: skoro bowiem zostało postawione żądanie komasacyi zupełnej, to nieraz konieczne jest nadmierne wydłużanie działek w celu ogarnięcia w jednym kawale wszystkich różnej wartości gruntów.

Już sam pobieżny opis procedury zcalenia wystarcza, aby ocenić ją jako powolną, zawilą, trudną, bo zależną od zbyt wielu instancyi. Przy wielkiem—jak widzieliśmy wyżej—skrępowaniu co do typu komasacyi i kształtu działek, musi wywoływać zdumienie zupełnie pobieżne i ogólnikowe traktowanie tak ważnej kwestyi, jak szacowanie i podział gruntów, które wobec braku ustalonych zasad może łatwo prowadzić do gwałtu zamożnej i wpływowej większości nad uboższą mniejszością, krzywdy, jakiej tyle przykładów dostarcza nam życie gminy wielkorosyjskiej. Wreszcie—ostatni to zarzut, jakkolwiek nie najmniejszy i z ducha czasu wynikający—w instrukcyi ministryalnej pominięte zostały zupełnie przy kierownictwie akcyą komasacyjną żywioły obywatelskie. U nas, w Królestwie, cała sprawa oddana została w ręce komisarzy do spraw włościańskich i komisyi gubernialnych, czyli urzędników, nie posiadających ani dostatecznych kwalifikacyi, ani dostatecznej znajomości stosunków, podczas gdy w Cesarstwie wszystkie czynności komasacyjne prowadzą komisye urzędów rolnych, w których obok urzędników zasiadają także i wybrani przedstawiciele społeczeństwa. Słusznie też mówi specjalista w spra-

wach społeczno-agrarnych, p. Jerzy Gościcki, którego oceną zakończyć chcemy:

„Dla naszkicowania projektu zniesienia szachownicy, ustalenia zasad przeszacowania gruntów, zjednania dostatecznej większości dla przyjęcia opracowanego już planu, trzeba posiadać odpowiednie przygotowanie teoretyczne rolnicze, duże doświadczenie i znajomość naszych stosunków wiejskich, dużo dobrej woli i zaufania miejscowej ludności. Tym warunkom komisarze naogół nie odpowiadają: nie mają oni ani właściwego wykształcenia, ani dostatecznej znajomości rolnictwa i życia wiejskiego, nie są dość blizcy tym, którym radzić i na których wpływać mają, w wielu wypadkach nie będą mieli zapewne i dosyć zapału i energii do sprawnego wykonywania tych nowych, trudnych obowiązków.

„Gdyby też pozostawić wyłącznie samym właścianom troskę o komasację gruntów, to bez przesady przewidywać można, że znoszenie szachownicy odbywałoby się w bardzo wolnem tempie. Przyspieszyć ten proces można jedynie wtedy, gdy zaczną pracować w tym kierunku zamieszkałe na prowincyi czynne siły obywatelskie. Wprawdzie instrukcja ministeryalna pomija zupełnie te czynniki, ale faktycznie mogą one i powinny decydująco wpływać na ilość i jakość przeprowadzonych komasacyi.

„Udział czynników obywatelskich jest szczególnie ważny w dwóch momentach. Przedewszystkiem miejscowe żywioty, a więc instruktorzy rolniczy, przewodniczący kółek, więksi właściciele ziemscy powinni w jak najszerszym zakresie wziąć na siebie wykonanie tych czynności, jakie instrukcja nakłada na komisarza włościańskiego, a więc nakreślenie ogólnego projektu komasacyi, zbadania kwestyi, zaopatrzenia nowych osad w wodę, ustalenia zasad szacowania i zmiany gruntów. Wszystko to może być lepiej i dokładniej zrobione przez ludzi, znających rolnictwo i miejscowe warunki; jednocześnie osiągnie się na tej drodze przyspieszenie robót, ponieważ komisarz, zjeżdżając na grunt, zastanie już wszystko przygotowane i będzie mógł poprzestać jedynie na zaprotokółowaniu wyraźnie określonych propozycyi i postanowień gromady. Równie ważny jest współudział odpowiednich żywiotów obywatelskich przy oszacowaniu i zamianie gruntów. Według instrukcyi czynność tę spełnia geometra przy udziale zainteresowanych lub ich pełnomocników. Doświadczenie uczy jednak, że do wykonywania tych funkcyi najbardziej powołane są osoby nie zainteresowane bezpośrednio w przeprowadzanych działaniach, a więc nie należące do gromady i posiadające przytem duże zaufanie i szacunek w danej okolicy. Dążąc do pozyskania takich osób,

gromada powinna, wybierając ze swego grona wskazanych przez instrukcye pełnomocników, zaprosić jednocześnie do pomocy przy robieniu przeszacowania i planu zamiany gruntów, dwie zamieszkałe w danej okolicy, lecz stojące poza gromadą, osoby. To postanowienie gromady powinno być również wciągnięte do protokołu zebrania gromadzkiego.

„Wyrażający się w tych formach udział żywiołów społecznych pozwoli na racjonalne i zgodne z wymaganiami kultury rolnej przeprowadzenie komasacyi, a zarazem pozwoli na znaczne przyspieszenie prac nad zniesieniem szachownicy w kraju naszym. Osiągnięcie tego celu jest zadaniem pierwszorzędnej doniosłości i spodziewać się należy, że czynne żywioły obywatelskie, zdając sobie sprawę z całej doniosłości nowych przepisów o komasacyi, dołożą starań do jak najszerszego zastosowania ich w życiu. Przepisy te, jak to już zaznaczyliśmy, nie są wolne od poważnych braków i wad, ale bądź co bądź dają możność zcalania gruntów w znacznie szerszym, niż dotychczas, zakresie i od nas samych będzie przedewszystkiem zależało, w jakim zakresie i w jaki sposób zdołamy z nich skorzystać dla zniesienia szachownicy, a tem samem stworzenia nowych warunków bytu dla ogromnej liczby wsi włościańskich.“

*

*

*

Z zakresu usiłowań podniesienia gospodarczego własności drobnej mamy dziś jeszcze do zanotowania dwa projekty kredytowe. Jeden z nich dotyczy udzielania na grunty włościańskie pożyczek niewypowiedzialnych, długoterminowych, takich słowem, jakie posiada większa własność ziemska od r. 1825 w postaci Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Długoletnie usiłowania tegoż, aby w drodze zmiany, względnie rozszerzenia ustawy, uzyskać możność rozciągnięcia swoich operacyi i na grunty włościańskie nie zostały uwieńczone powodzeniem. Obecnie zaś udzielanie włościanom kredytu długoterminowego ma być wciągnięte w zakres działalności Banku włościańskiego. I dotychczas wprawdzie Bank ten posiadał pożyczki, oparte na nieruchomościach włościańskich, ale wynikały one tylko z jego operacyi parcelacyjnych; dłużnikami jego byli tylko ci włościanie, którzy grunty swoje

nabyli w drodze parcelacji, grunta t. zw. ukazowe były pozbawione możności korzystania z jego pożyczek. Tymczasem grunty te, których obszar już w chwili obdarowania wynosił 7,219,426 mórg, czyli 38.5% całej własności prywatnej w Królestwie Polskiem, przez regulację służebności zwiększył się w okresie blisko pięćdziesięcioletnim o 15% i dziś zajmuje blisko połowę całej własności prywatnej Królestwa czyli 9—9½ mil. mórg; są to w znacznej przewadze grunty użytkowe, czyli przedstawiające dużą wartość i dobrą podstawę do operacji kredytowych.

Z drugiej strony współczynnik przyrostu ludności jest bardzo znaczny wśród naszej klasy włościańskiej, a rozwiązanie zagadnienia dziedzictwa nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Prawo zastrzega niepodzielność osad ukazowych sześciomorgowych; zatem większość włościan naszych ma do wyboru, albo pozbywać się ojcowizny i dzielić się otrzymaną ze sprzedaży gotówką, albo też dokonywać nielegalnego podziału ziemi bez żadnej nadziei otrzymania na posiadaną w drodze takich działów ziemi prawnych tytułów własności, zawsze na łasce niezgodnego krewniaka, który legalnego działu zażąda, a nielegalny układ obali. Jeden i drugi sposób, stosowany obecnie, jest dla włościan bardzo niekorzystny, pierwszy bowiem wyzuwa tysiące ludzi z ziemi, drugi zaś niszczy w zarodku pewność władania, która jest jedynym źródłem i podstawą wszelkiego podniesienia ekonomicznego i kulturalnego. Upoważnienie Banku włościańskiego do udzielania pożyczek na grunty ukazowe zapobiega złemu i umożliwi przechodzenie ziemi z ojca na jedno z dzieci, ułatwiając spłaty rodzeństwa. W r. 1906 otwarto kredyt taki jedynie w Cesarstwie; obecnie działalność ta ma być rozszerzona także i na Królestwo, a rozpoczęcie czynności spodziewane jest już za kilka miesięcy. Obecnie układane są tabele szacunkowe, a wysokość pożyczek wynosić ma 50—60% szacunku.

Tu mamy do czynienia z projektem, który urzeczywistni się niebawem; w sprawie kredytu melioracyjnego dla drobnej własności postawiono dopiero pierwsze kroki. Nie trzeba tracić wiele słów na uzasadnienie wielkiej wagi i doniosłości tego rodzaju kredytu. Wystarczy stwierdzić, że ogromne podniesienie kultury rolnej w majątkach średnich i większych świci chętnie naśladowanym przykładem drobnej własności, że szerzone przez kółka rolnicze, przez instruktorów objazdowych zdrowe zasady wyższej kultury rolnej przenikają w coraz szersze warstwy naszego włościanstwa, że w wielu—z każdym rokiem—coraz bardziej wielu wypadkach nie potrzeba już włościan przekonywać o konieczności

melioracyi rolnych, lecz trzeba im poprostu ułatwić tylko zdobycie na te melioracye środków, które stokrotnie opłacić się będą mogły.

Wychodząc z tego założenia, Centralne Towarzystwo Rolnicze wystąpiło do głównego zarządu rolnictwa z przedstawieniem o konieczności rozciągnięcia na Królestwo Polskie kredytu na cele melioracyjne, udzielonego ze specjalnych funduszy, pozostających w rozporządzeniu tegoż zarządu. Rezultatem tych starań było zwołanie specjalnej narady, która ustaliła w tej sprawie zasady następujące: Z kredytu melioracyjnego mogliby korzystać właściciele zagród nie większych nad 90 mrg., gdyż osady włościańskie, których obszar przekracza tę normę, mogą już korzystać z pożyczek Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Pożyczki byłyby udzielane na osuszanie, nawadnianie pól, umacnianie brzegów rzek, wąwozów i lotnych piasków. Pożyczki przyznawane być mają indywidualnie lub zbiorowo; w drugim wypadku na skutek uchwały zebrania gromadzkiego, powziętej dwoma trzeciami głosów; w pierwszym wypadku pożyczka musi być zabezpieczona hipotecznie, w drugim zaś—wszyscy członkowie gromady są za nią solidarnie odpowiedzialni. Widzimy tu zatem indywidualnie dla włościan, pragnących korzystać z kredytu melioracyjnego, pewne koszty dodatkowe, wynikające z uporządkowania hipotek, ale koszty te nie powinny nas przerażać, gdyż kredyt melioracyjny, udzielany przez zarząd rolnictwa, jest bardzo tani, bo czteroprocentowy, a termin amortyzacji, czyli, co za tem idzie, wysokość rat corocznych, jest w każdym wypadku określony specjalnie, nie może wszakże być dłuższy nad lat dwadzieścia; wysokość pożyczki nie może przekraczać 75% kosztorysu dokonywanych robót. Pożyczki w Cesarstwie przyznają komitety gubernialne, w których uczestniczą przedstawiciele ziemstw; u nas projektowane jest utworzenie trzech komitetów lokalnych przy trzech zarządach dóbr Państwa, z udziałem przedstawicieli towarzystw rolniczych miejscowych. Komitety te decydują o pożyczkach do wysokości 500 rb.; od teje do 5,000 rb. posyłają uchwały swoje do zatwierdzenia komitetu głównego w Petersburgu, o pożyczkach zaś wyższych ponad 5 tys. rb. decyduje sam komitet główny.

Takie są zasady projektu. Jeżeli trzeba będzie przeprowadzić go w drodze prawodawczej, to oczywiście sprawa cała będzie odwleczona na lat kilka. Jeżeli zaś — jak tego pragnie zarząd rolnictwa — uda się załatwić ją w drodze rozporządzenia ministeryalnego, to może już na rok przyszyły włościanie nasi

będą mogli korzystać z dobrodziejstw kredytu melioracyjnego. I nasze życzenia zatem muszą iść tym razem w kierunku skróconego postępowania biurokratycznego.

Jakiegokolwiek mielibyśmy osobiście żale i zarzuty, dotyczące zwłaszcza obniżenia kultury umysłowej i zewnętrznej wsi, faktem jest, że zmienia ona ciągle i nieubłagane swoje oblicze, że ubywa dworów a przybywa chat, że w dość gwałtowny sposób, niemal w oczach naszych, dokonywa się proces rozdrabniania własności ziemskiej. Wszelkie środki zatem, zmierzające do podniesienia chociażby tylko kultury materialnej drobnej własności, trzeba powitać z uznaniem, chociażby nasuwały się nawet słowa ostrej krytyki, jak przy prawie nowem o komasacyi. Jeżeli za pół wieku kraj nasz ma być — jak Dania — krajem gospodarstw drobnych, niechże ci drobni rolnicy będą uposażeni w jaknajlepsze narzędzia i środki do utrzymania ziemi ojców w garści i do jaknajwiększego przynależania dobrobytu. Bo kultura moralna, umysłowa i zewnętrzna, kultura uczuć i myśli jest pięknym kwiatem, który wyrasta i hoduje się tylko na podłożu nadmiaru w zaspokojeniu najprostszycch potrzeb cielesnych, czyli rozwoju kultury materialnej.

*

*

*

Sztuczne ziemstwa na Rusi i Białorusi — arcydzieło arytmetyki wyborczej — rozpoczęły już funkcjonować. Prawie we wszystkich powiatach, objętych dobrodziejstwami nowej ustawy, odbyły się już wybory do ziemstw powiatowych i do zarządów ziemskich; po wyborze radnych do ziemstw gubernialnych i te zbiorą się niebawem, a wtedy całą organizację ziemską można będzie uważać za fakt dokonany.

Prasa rosyjska tej części państwa, którą objęła nowa ustawa, jest z rezultatu wyborów naogół zadowolona. Trzeba jednak zaznaczyć, że prasa to mniej lub więcej skrajnie nacjonalistyczna, że zatem stanowisko jej wygląda czasem na dobrą minę przy złych kartach. Że Rosyanie przy wyborach zwyciężyli — niema w tem nic niespodziewanego ani mogącego spowodować niezwykłą radość — przewagę tę bowiem przepisuje ustawa. Ważniejszą rzeczą jest szczegół, jacy mianowicie Rosyanie weszli do

ziemstw. Otóż w tym względzie nacyonalisci nie mają powodu do radości, nie mają bowiem większości, a ubocznym wskaźnikiem tego są umizgi w niektórych pismach do Polaków, bo głosy ich, jakkolwiek nieliczne, mogą przy walce stronnictw rosyjskich odegrać przeważającą rolę w wyborach na urzędy ziemskie gubernialne. Nacyonalisci nie mają tu wielkich szans powodzenia, do ziemstw bowiem weszły przeważnie żywioły bardzo zachowawcze, spokojne, dla których są oni zbyt jaskrawi, zbyt krzykliwi, żywioły, nie usposobione bynajmniej przychylnie dla Polaków, ale rozumiejące, że w pracy gospodarczej wszelkie podszczuwanie może być tylko przeszkodą niepożądaną. Ze względu na interesy gospodarcze tych gubernii życzyliby należało, aby właśnie ta grupa rosyjska wycisnęła piętno swych poglądów i swej działalności na przyszłych ziemstwach. Niestety, wątpić wolno, czy się tak stanie, będą one bowiem przeważnie oddane w ręce urzędnikom z nominacji, a jacy będą ci urzędnicy, łatwo wyrozumieć z obecnego nastroju ministerjum spraw wewnętrznych oraz poglądów autora i twórcy całej ustawy ziemskiej.

Zewnętrzny, daleki obserwator wyborów ziemskich musiały uderzyć przedewszystkiem dwa szczegóły. W całym państwie rosyjskiem, o ile w danej okolicy istnieje organizacja szlachecka, przewodniczą wyborom i obradom ziemskim przedstawiciele z wyboru, obieralni marszałkowie szlachty. Na Litwie i Rusi istnieje organizacja stanowa, ale marszałkowie powiatowi i gubernialni są nominowani od powstania — aż dotąd, pomimo że w zasadzie wybory szlacheckie swobodne zostały przywrócone; czynnikiem hamującym jest tu obawa, aby przeważna część marszałków nie rekrutowała się z Polaków, ponieważ wszędzie prawie przeważa szlachta polska. Z tego względu wyborom i zebraniom ziemskim na Rusi i Białorusi przewodniczyli urzędnicy ministerjum spraw wewnętrznych, marszałkowie szlachty z nominacji, co było pogwałceniem wszelkiej zasady samorządu, nawet tak ograniczonego, jakim jest ziemski, i wybitną akcentacją ich charakteru czysto biurokratycznego. Drugi szczegół — niemniej charakterystyczny dla środowiska — to fakt, że żywsze zainteresowanie i rozprawy wywoływała jedna tylko kwestya — wynagrodzenia członków zarządów ziemskich powiatowych. Daje to miarę dążeń i ideałów tych członków, zarówno jak pieczy, którą otaczać będą interesy miejscowe — oczywiście sobie najbliższe.

Rola Polaków miejscowych w tych ziemstwach jest bardzo z natury ustawy ograniczona. Nieliczne jednostki, cieszące się zaufaniem powszechnem, zostały wybrane do zarządów ziemskich,

ale nie wiadomo, czy zostaną na tych stanowiskach zatwierdzone. Postępowanie wszystkich radnych Polaków zaznaczyło się w jednym tylko kierunku—odmową podpisywania telegramów dziękczynnych do prezesa ministrów za nowe ziemstwa. Stanowisko to—bardzo surowo krytykowane przez prasę nacjonalistyczną rosyjską i chrzczone nawet mianem „nowej intrygi polskiej“ — jest chyba zupełnie uzasadnione; trudno jeszcze dziękować za postawienie w położeniu od prawa wyjątkowem.

Nie obiecywaliśmy i nie obiecujemy sobie nic po tych ziemstwach; nie wierzymy, aby tak poczęte i tak zorganizowane mogły wywrzeć chociaż najmniejszy wpływ na podniesienie kultury kraju. Pomimo to, pomimo praw wyjątkowych, uważamy, że Polacy miejscowi dobrze zrobili, nie usuwając się od udziału w wyborach i od pracy w ziemstwach, chociaż i udział ten i pracę tę uważamy tylko za spełnienie ciężkiego i przykrego obowiązku obywatelskiego. Przedewszystkiem — nieobecni nigdy nie mają słuszności, a następnie Polacy muszą uczestniczyć w ziemstwach dla spełnienia jedyne go swego zadania — o którym pisaliśmy na tem miejscu, rozbiegając szczegółowo projekt prawodawczy — dla nadzoru nad możliwie czystą i uczciwą gospodarką ziemską.

*

*

*

Epilog sprawy Rapperswylskiej—jeżeli epilogiem jest i można tak nazwać doroczne posiedzenie Komitetu muzealnego z szeregiem zaproszonych z różnych dzielnic Polski, z wysadzeniem komisji śledczej do zbadania zarzutów, komisji statutowej do reform i t. d.—dowodnie stwierdził słuszność stanowiska ostrożnego, jakie zajęliśmy na tem miejscu w spornej sprawie. Bezstronne i wyczerpujące badania komisji śledczej stwierdziły braki fachowego kierownictwa oraz pewne niedbalstwo z jednej strony, natomiast z drugiej zupełną uczciwość i czystość intencji i czynów kierowników Muzeum, dbałość o całość zbiorów, i — co najważniejsza — zupełną nicość najgrubszego kalibru zarzutów, jakimi nudzono nas od paru miesięcy; więc nikt nie strzelał do elzewirów, nikt nie wyrzucał na śmiecie zbioru wycinków gazet Chodźki, nikt wreszcie nie niszczył ciekawych maszyn pomysłu Baranowskiego. Główny oskarżony, kustosz, wychodzi z całej

sprawy takim, jakim go tu przedstawiliśmy, jako człowiek bezwzględnie uczciwy, czujny stróż zbiorów, ale zarazem człowiek starej daty, uparty, despotyczny. Nie można powiedzieć, aby rezultaty badań wypadły równie szczęśliwie dla niektórych oskarżycieli. Nie będziemy wdawali się w szczegóły znanej dokładnie z pism codziennych sprawy sprzedaży dubletów bibliotecznych. Ale musimy zrobić uwagę, że pomiędzy etyką zawodową kupca, który z natury swego zawodu, bez względu na okoliczności, kupuje towar najtaniej, aby go sprzedać najdrożej, a etyką człowieka, który — jak przypuszczać chcemy — nabywa książki od instytucji publicznej na swój użytek prywatny, przedział jest dość znaczny. Świadomości tej różnicy właśnie brakło niektórym z tych, którzy tak śmiało i bezwzględnie na cudzą cześć i dobre imię godzili, a od nich chyba mielibyśmy prawo wymagać jej przede wszystkim.

A rezultaty? Kustosz ma zostać konserwatorem zbiorów, na miejsce kustosza zaś ma być mianowany człowiek fachowy; statut zapewne będzie zreformowany w tym kierunku, aby oddzielić przewodnictwo w radzie muzealnej od dyrektorstwa muzeum. Zmiany to pożądane, ale czy będą wykonane — wątpić wolno. Z kilku względów. Przede wszystkim finansowych, bo najtańszy fachowiec będzie zawsze jeszcze dla Muzeum zbyt drogi; nie sądzimy zaś, aby kampania tych, którzy zawiązali się w towarzystwo pod nazwą „Przyjaciół Rapperswylu“ wpłynęła na wzmożenie zaufania społeczeństwa, a więc na zwiększenie liczby darowizn i zapisów, któreby budżet instytucji zasilić mogły, a przez to na zbytek fachowego kierownictwa pozwolić mogły. Następnie — tegoroczna sesja, sprawozdanie komisji śledczej — to niewątpliwe zwycięstwo moralne Rady; wina w tem znowu rzekomych „przyjaciół Rapperswylu“, że nie wzięli dokładnie prawdziwości konkretnych zarzutów, które czynili. Otóż dzisiejsi zwycięscy mało będą skłonni do istotnego przeprowadzenia uchwalonych reform — niemniej dokonać ich powinni. Nad tem czuwać trzeba. A czuwać powinno nie bezimienne społeczeństwo, nie „przyjaciele“, których po tegorocznych doświadczeniach nikt już słuchać nie będzie, lecz ci, którzy zostali w tym roku zaszczytnie wezwani przez Radę do rady, którzy, jak nikt, mieli sposobność najdokładniejszego przekonania się o stanie rzeczy i którzy także wzięli na siebie moralną odpowiedzialność za tegoroczne uchwały. Mandat ich nie może być krótkotrwały i jednoroczny. Zdobyli wobec Rady powagę, niechże ją w przyszłości zu-

żytkują dla dobra Muzeum, dla pilnego i ścisłego przeprowadzenia koniecznych w niem zmian.

Ostateczne wrażenie, jakie cała sprawa wywołuje, jest wrażeniem niesmaku i beznadziejności, beznadziejności co do tego, że lata biegną, a my pozostajemy zawsze ci sami, z tymi samymi błędami narodowymi, nic niestety nie zapominając i niczego się niestety nie ucząc. Jesteśmy ciągle społeczeństwem kobieco-dziecinem; bo mężowie winni poczuwać się do odpowiedzialności za wypowiedane słowa, za szarpanie czci cudzej, a długi plotkarski język bywał podobno zwykle przymiotem tylko kobiet, póki się nie stał na nieszczęście cechą wybitnych, bardzo wybitnych Polaków; bo tylko rozgrymaszone dziecko, żądając z tupaniem gwiazdki z nieba, wyznaje *implicite* zasadę „wszystko albo nic.“ Taki wniosek wyprowadzić trzeba z niesłychanego tonu i treści kampanii. A tymczasem najprostszy zdrowy rozsądek uczy, że przy prowadzeniu poważnem każdej instytucji trzeba się przedewszystkiem liczyć z warunkami materyalnymi i z określonymi statutami jej, czyli z prawem pisanem, że w tych warunkach, jakie dziś istnieją, Muzeum w miarę sił i możliwości spełnia skromne swoje zadanie drobnego posterunku kultury i przeszłości polskiej na obczyźnie, spełnia ją oddawna, o wiele dawniej, niż datują zarzuty ciężkie „przyjaciół“ i że takie kampanie, jak ostatnia, nie do rozwoju przyczynić się, ale tylko byt jej podkopać mogą.

*

*

*

Pora jesienna—dla wieśniaka pomyślna pora obliczania pierwszych rezultatów pracy—jest dla mieszczucha porą cięższego obliczenia finansowego. Z lekką myślą opuszczał przed dwoma miesiącami kurz bruków miejskich, dając na dobrze zasłużony odpoczynek; teraz, gdy wraca, chmurami fatduje mu czoło kwestya ułożenia budżetu domowego. A kwestya to coraz cięższa, z każdym rokiem bowiem Warszawa staje się miastem kosztowniejszem — bezzasadnie, bo bardzo mało za to zwiększenie kosztów utrzymania dającym.

Zacznijmy od mieszkań. W normalnym budżecie wydatek na mieszkanie powinien wynosić $\frac{1}{6}$ — $\frac{1}{8}$ rocznego dochodu; w Warszawie wynosi $\frac{1}{5}$, $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{3}$. Znany nawet wypadki, gdzie zarob-

kowanie zawodowe jest ściśle związane z mieszkaniem, że mieszkanie pochłania *połowę* budżetu! Różne na to wpływają przyczyny. Nadmiernie szybki wzrost ludności w obu wielkich miastach Królestwa, któremu nie może sprostać ruch budowlany; wedle p. Raubala w ciągu ubiegłego stulecia Berlin powiększył ludność swoją 6 $\frac{1}{2}$ raza, Londyn i Moskwa 4 razy, Paryż i Wiedeń 3 $\frac{1}{2}$ raza, a Warszawa wzrosła prawie dziesięciokrotnie; w r. 1800 liczyła 74,590, w r. 1900 zaś 688,500 mieszkańców; a Łódź wzrosła pięćsetkrotnie, z 800 na 400,000 mieszkańców. Cyfry na tak dalekiej przestrzeni mają tylko przymiot ciekawości; wystarczy stwierdzenie, że główny przyrost przypada na ostatnie dziesiątki lat ubiegłego stulecia. Druga przyczyna — brak mieszkań — jest poniekąd przypadkową, spowodowaną bowiem w ciągu ostatnich lat sztucznie wywoływanymi strejkami robotników budowlanych; ogólne zaś podniesienie płac i kosztów budowy nie usprawiedliwia zbyt w stosunku wysokiego zwiększenia czynszu. Daleko istotniejsza i silniej działająca od lat wielu—to spekulacja budowlana z jednej strony, a kupowanie domów bez kapitału z drugiej. Gdzieindziej budowa domów to najpewniejsza lokata funduszów ojców rodzin, najpewniejsza, ale najniższe dająca oprocentowanie kapitału; u nas dom—co jest objawem bardzo niezdrowym—na równi ze wszystkim jest przedmiotem spekulacji; stąd sztuczne podnoszenie czynszów, aby wykazać większą dochodowość i, co za tem idzie, uzyskać wyższą cenę sprzedażną. Z drugiej strony słusznie ktoś zwrócił uwagę, że u nas przeważnie właściciel jest właściwie tylko wierzycielem ostatniego numeru zamazanej hipoteki, innemi słowy, że ludzie kupują domy bez pieniędzy i w wysokich czynszach widzą jedyny środek opłaty wysokich procentów hipotecznych oraz rat Towarzystwa.

Wszelkie proponowane środki zaradcze należy przyjmować wzruszeniem ramionami, opierają się bowiem na przykładach i wzorach z wysoko-cywilizowanej zachodniej Europy, podczas gdy my żyjemy w epoce zupełnego barbarzyństwa. Pewną równowagę w rozkładzie czynszów wprowadza na Zachodzie polityka municipalna przez budowę tanich mieszkań i pomoc finansową odpowiednim instytucyom współdzielczym; tymczasem u nas samorządu miejskiego niema. Obniżenie pewne czynszów w śródmieściach wywołuje rozszerzanie się miast poza ich krańce; czyż można myśleć o tem u nas, w mieście o braku komunikacji tramwajowej ze wszystkimi krańcami i poza krańce, z najwyższą jej ceną na świecie, z niedołącznemi kolejkami i kolejami, wreszcie z zupełnym brakiem bezpieczeństwa poza rogatkami? czyż w walce

z powyższymi czynnikami może ostać się chociażby najbardziej racjonalnie skądinąd obmyślony projekt?

Mieszkać trzeba, gotować obiad i palić w piecach także trzeba. Tymczasem ceny węgla są coraz wyższe i zupełnie przypadkowe. Znowu mamy do czynienia z niezdrowym objawem spekulacji podwójnej. Najpierw kopalń: z ogólnej produkcji około 300,000,000 pudów zużywamy w kraju 200,000,000; reszta idzie zagranicę, gdzie sprzedawana jest o połowę taniej, niż na rynku miejscowym! Dalej — składników Warszawa posiada 1,850, gdy trzy razy większy Berlin liczy około 300. Kolej Wiedeńska dostarcza około 200 wagonów dziennie, co pokrywa zapotrzebowania miejskie; kolej Nadwiślańska nie przewozi węgla wcale, fracht bowiem wynosi na korcu o 7 kop. drożej — czy to także nie objaw barbarzyństwa? O te 200 wagonów licytuje się 1,850 składników, aby schwytać po kilkanaście korcy i obdzierać spożywców. Ta operacja odbywa się w sposób specyficzny: ustaliła się zwyczajowo sprzedaż na korce, czyli na miarę, podczas gdy węgiel w założeniu nie nadaje się do miary; nadaje się doskonale dla sprzedawcy, umiejętnie bowiem układanie brył dopomaga do oszukania spożywcy o 20—30%. Środki zaradcze w postaci współdzielczości znowu wywołują tylko wzruszenie ramion, posiadają bowiem bardzo ograniczony zakres działania i nikną w ogólnej drożyznie.

A inne pozycje budżetu? Wpisy, żywność, ubranie? Musimy się pogodzić z koniecznością wysokich wpisów; równoważę je poczęści szeroka pomoc dla uczniów biednych. O wszystkich innych potrzebach życia codziennego powiemy ogólnikowo, że podwyższanie ich cen jest także w części wynikiem spekulacji, poczęści zaś następstwem oplakanych strejków, które wprowadziły bardzo nieznaczną, w następstwie przeważnie cofniętą, podwyżkę w pracy robotników różnych zawodów, natomiast zupełnie stałą i postępową zwyżkę w cenach wszystkich artykułów. I znowu środki zaradcze — współdzielczość ma bardzo ograniczony zakres działania; wogóle obrona spożywcy jest prawie zawsze zgoła iluzoryczną.

Stoimy więc wobec faktu wznmagającej się nieustannie drożyzny i liczyć się z nim musimy. Jakkolwiekbyśmy ją potępiali, musimy się także liczyć z jednym z czynników, który ją wywołuje, mianowicie ze spekulacją. Nadmierna chciwość żywiołu żydowskiego, który wycisnął niezatarte piętno na całym życiu ekonomicznym naszego kraju, znalazła grunt podatny we wrodzonym lenistwie polskim, w chęci wielkich doraźnych zysków bez pracy, a spekulacja nie jest niczem innym. Staje się ona zjawiskiem

powszechnem, z całym korowodem oplakanych następstw, jakie zawsze ze sobą sprowadza.

Drożyzna i wzrost cen nie idzie wcale równolegle ze wzrostem płac, owszem wyprzedza go znacznie. I tu dochodzimy do społeczno-moralnego, nie indywidualnego, lecz ogólnego znaczenia zjawiska. Wobec tego, że wzrost zarobków nie idzie w parze ze wzrostem cen utrzymania, jednostka ma do wyboru trzy drogi: nadmierne ograniczenie potrzeb, co z konieczności prowadzi do osłabienia zdrowia, a więc i do zmniejszenia sprawności roboczej; nadmierną pracę, która wywołuje też same następstwa, co wyżej; wreszcie drogę najmniejszego oporu, czyli wyrównywanie budżetu zapomocą nadużyć. Nie można wątpić, że przy współczesnym braku podstaw moralnych większość pracowników, o ile mają do tego sposobność, wybiera drogę ostatnią. Mielśmy tego ujawnione i nieulegające wątpliwości dowody. Minęły niestety czasy, kiedy łapownictwo i złodziejstwo w urzędach mogliśmy uważać za cechę jedynie obcą, napływową. Natomiast codziennie na skrzyżowaniu dróg życia spotykamy coraz więcej zagadkowych egzystencyi, których źródła normalnych dochodów znamy dokładnie, ale nie tłumaczą nam one w najmniejszej mierze stopy życia. Wzrastająca drożyzna przy utrzymaniu w mierze poziomu płac zarobkowych będzie ilość takich zagadkowych egzystencyi wzmagała. I dlatego widzimy w niej objaw nie tylko ekonomiczny, ale gorzej — zagrażający wprost zdrowiu moralnemu narodu.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Józef Kościelski.

Zmarł człowiek, którego imię przez czas jakiś było bardzo rozgłoszone, który cieszył się osobistą przyjaźnią jednego z największych władców świata i na tej przyjaźni budował—może raczej budowano w jego imieniu—wielkie nadzieje, eboćby niewielkiego polepszenia bytu jego narodu. A kiedy nadzieje te okazały się kruchemi, kiedy chorągiewka łask panującego w inną zwróciła się stronę, zmarły dobry obywatel miał odwagę i zasługę cofnięcia się z obranej drogi, złożenia wszystkich godności politycznych, ustąpienia w zacisze życia prywatnego i poświęcenia się pracy publicznej na mniejszej arenie.

Nazwisko Józefa Kościelskiego wiąże historia z erą polityki t. zw. „ugodowej“ w zaborze pruskim. Tak dalece nadużywano u nas tego określenia w znaczeniu obelżywym, że zastrzedz się trzeba, iż używamy go tu tylko w znaczeniu metody działania, z którą można zgadzać się albo nie zgadzać, ale przyznać trzeba, że przez zmarłego działacza stosowana była z zupełną dobrą wiarą i z wielką miłością ojczyzny.

Kościelski był wówczas członkiem Izby Panów Sejmu Pruskiego i posłem do Sejmu Rzeszy, kiedy Wilhelm II, poróżniony ze starym kanclerzem żelaznym, przy zmianie najwyższego urzędnika państwa, zmieniał kurs dawnej polityki wogóle, co miało się odbić także na złagodzeniu stosowania środków antypolskich. Młody monarcha, ujęty czarem osobistym, który zmarły rozrzucał we wszystkich kołach, w jakich się obracał, zaszczycał go niedwuznacznymi oznakami swej wielkiej życzliwości. Wzajemność i nadzieje lepszej przyszłości wyraziły się z jednej strony w gło-

sowaniu Koła Polskiego za projektami rządowymi, zwłaszcza za powiększeniem floty, z drugiej zaś istotnem złagodzeniem chwilowem kursu antypolskiego i nominacją Polaka — posła ks. d-ra Stablewskiego — na opróżnioną stolicę prymasowską. Polityka Kościelskiego — w stosunkach miejscowych zupełnie nowa — miała przeciw sobie przeważną opinię zaboru pruskiego; złączenie w celu zyskania potężnego poparcia Kościelskiego ze zmarłym Arcybiskupem było powodem ogłoszenia zmarłego polityka za przywódcę klerykalizmu, gdy właściwie w poglądach swoich ogólnych był on raczej przedstawicielem umiarkowanego liberalizmu.

Przyjaźń cesarska trwała zaledwie lat parę. W r. 1894 nastąpiło zerwanie. Dlaczego — może to kiedyś wyjaśni historia. Współcześnie — mylnie zapewne — przypisywano zmianę kursu płomiennej mowie polskiej, patriotycznej Kościelskiego na wystawie lwowskiej, po której — niby odpowiedź — rozległy się w Toruniu ostre słowa o Polakach Wilhelma II. Zdaje się, że mamy tu jednak do czynienia tylko ze zjawiskami współzrędnymi, a nie w związku przyczynowym będącymi. Z jednej strony uniesienie patriotyczne gorącego Polaka, jakim zawsze był Kościelski, na widok dorobku kulturalnego polskiego na najwolniejszym kawałku ziemi naszej, z drugiej — owoc długich zabiegów klikki dworaków, osławionych Eulenburgów, zazdrosnych o powodzenie osobiste Polaka.

Zaszła wówczas zmiana kursu była probierzem charakteru Kościelskiego. Wobec doznanego zawodu ani chwili nie wahał się; skoro na dworze cesarskim nie można było nic zrobić dla Polski, nie było tam miejsca dla Polaka. Usunięcie się Kościelskiego z życia politycznego odgrodziło go raz na zawsze od kilku pozornych polityków „ugodowych“, a właściwie próżnych pyśzałków, goniących za kluczami szambelańskimi i orderami.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu dzielił Kościelski czas swój między Poznań a uroczy Miłosław. Był prezesem radykalnej „Straży“ i tu rozszedł się ze swym dawnym sojusznikiem, ks. Stablewskim; był prezesem poznańskiego towarzystwa literatów i dziennikarzy, a park Miłosławski był zawsze otwarty dla zebrań publicznych, że wymienimy głośny zlot Sokolów, którego epilog rozegrał się przed kratkami sądu poznańskiego. Nade wszystko — w szarym bycie poznańskim — ten wielki pan, ten estetyk, ten miłośnik piękna i hedonista był rzadkim przedstawicielem radości życia i ten czar radości naokoło siebie roztaczał. Ujmującym obejściem, zawsze zajmującą rozmową, opartą o sze-

roka kulturę umysłu, wielką prostotą, brakiem wszelkiej pozy, zjednywał sobie łatwo każdego, do kogo się zbliżał. Zajmowali go ludzie, kochał ich—to też znał mnóstwo osób. I dlatego, kiedy umarł, wywołał ten zgon nietylko konwencyjonalne wyrazy poczucia straty dobrego Polaka, dobrze zasłużonego obywatela swego kraju, ale i szczery, serdeczny żal wszystkich tych, tak bardzo licznych, którzy go osobiście znali i którym smutno dziś, że zabrakło w Poznańskiem jednej z najciekawszych i najwybitniejszych indywidualności tej części Polski.

*

*

*

Józef Kościelski urodził się w Służewie, w W. Ks. Poznańskiem w r. 1845; studia uniwersyteckie odbywał w Heidelbergu i w Berlinie, poczem osiadł w majątku rodzinnym Szarleju na Kujawach; później już odziedziczył znaczny majątek po stryju, Seferze baszy. Obdarowany talentem poetyckim, napisał szereg poezyi i dramatów, z których wymieniamy: „Sonety nadgoplańskie“ (1859), „Władysław Biały,“ dramat (1874), „Arya,“ tragedia (1875), „Nierówne prawa,“ komedia, grana w Warszawie, „Laura,“ dramat, „Poezye,“ serya I (1883), „Dwie miłości,“ dramat, grany w Warszawie w r. 1884. Czynna polityka wytrąciła mu potem na długo pióro z ręki. W r. 1884 został członkiem Izby Panów Sejmu pruskiego, a w Sejmie Rzeszy reprezentował powiaty inowrocławski i mogilnicki. W Miłostawiu, gdzie osiadł później, wystawił piękny pomnik Słowackiego, dłuta Marcinkowskiego. Ostatnie jego utwory poetyckie drukowały pisma warszawskie jeszcze w roku zeszłym.

ś. p. Edmund Bogdanowicz.

Tak często używany i nadużywany frazes o szarej, ciężkiej doli pracowników piśmiennictwa polskiego jest smutną, ciężką prawdą w zastosowaniu do życia zmarłego przedwcześnie publicysty i poety. Urodzony w Warszawie w r. 1859, ś. p. Edmund Bogdanowicz tu ukończył gimnazjum oraz wydział matematycz-

ny na uniwersytecie, poczem ukończył jeszcze politechnikę w Dreźnie. Po powrocie do Warszawy oddał się pracy pedagogicznej i literackiej, głównie w „Wieku“ i „Kuryerze Warszawskim.“ Poezye jego, podpisywane pseudonimem Bożydara, odznaczały się zawsze piękną formą, szlachetnością ideałów, wysoką kulturą moralną i rozumiałym zupełnie lekkim, melancholijnym pesymizmem. Zrozumiałym, bo ciężka praca zarobkowa nie pozwoliła mu rozwinąć szerzej niewątpliwego, znacznego talentu. Dla zarobku musiał się zaprzężyć do pracy dziennikarskiej. Był bardzo ceniony w redakcyach, miał bowiem wielką łatwość pisania, bardzo rozległe wykształcenie, które pozwalało mu pisać o wszystkim, wreszcie niezmierną pracowitość. Szara i ciężka była dola Bogdanowicza właśnie z powodu tej nadmiernej pracy, która w końcu poderwała zdrowie i siły. Znają i pamiętają go koledzy z tej właśnie niezwykłej pracy i sumiennosci, ale i także z serdecznej uczynności i złotego serca. Przez trzydzieści blisko lat ciężkiego i ślizkiego zawodu przeszedł zacie, czysty, jak łąza, i powszechnym otoczony szacunkiem. Niechże mu to będzie najlepszym wspomnieniem pośmiertnem i wyrazem żalu, żeśmy go przedwcześnie utracili.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— POLSKA SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH. Staraniem krakowskiego Towarzystwa Polskiej Szkoły Nauk Politycznych, przy poparciu Sejmu krajowego i przy udziale profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej i wybitnych praktyków, otwartą zostaje w jesieni 1911 roku polska szkoła nauk politycznych w Krakowie.

Naczelne kierownictwo szkoły należy do Głównego Zarządu Towarzystwa „Polska Szkoła Nauk Politycznych,“ w którego skład wchodzi: prof. d-r Michał Rostworowski, jako przewodniczący, poseł prof. d-r Władysław Leopold Jaworski, jako zastępca, prof. d-r Włodzimierz Czerkawski, prof. d-r Jerzy Michalski, poseł d-r Stanisław Starowieyski i prof. d-r Stanisław Kutrzeba, jako sekretarz Towarzystwa. Sekretarzem szkoły jest jej asystent d-r Bohdan Winiarski.

Zadanie szkoły polega nietylko na dostarczaniu swym uczniom wiadomości, składających się na wyższe wykształcenie obywatelskie, za pomocą wykładów o poziomie uniwersyteckim z dziedziny geografii, historii, prawa politycznego i administracyjnego, polityki ekonomicznej, statystyki i skarbowości, ze szczególnem uwzględnieniem współczesnych w trzech zaborach stunków polskich — zadaniem jej jest też zachęcenie słuchaczy do dalszych samodzielnych teoretycznych i praktycznych badań i ułatwienie im tychże pod kierunkiem profesorów i asystentów.

Wykłady objęte niżej podanym dwuletnim programem, odbywać się będą w godzinach popołudniowych, od 5 — 7, ażeby umożliwić uczniom czy to uczęszczanie w godzinach rannych do innego zakładu naukowego, czy też pracę samoistną w bibliotekach publicznych, lub zbiorową w pracowniach szkoły. Wykłady trwają od 3 listopada do 24 czerwca.

Zapis na rok szkolny 1911—12 rozpoczyna się dnia 15 października r. b. i trwać będzie do końca tegoż miesiąca — w dyrekcji szkoły (Kraków, ul. Stu-

deneka № 8) od godziny 2 — 3. Dyrektor przyjmuje do szkoły słuchaczów i słuchaczki, którzy mają: przedstawić świadectwo ukończenia szkoły średniej lub w braku tegoż wykazać niezbędną dojrzałość umysłową do słuchania z korzyścią wykładów i brania udziału w pracach seminaryjnych; złożyć opłatę roczną w kwocie 200 koron (80 rubli); dołączyć swą fotografię na kartonie w formacie wizytowym w dwóch egzemplarzach.

Dyplomy wydawane będą po wysłuchaniu całkowitych dwóch kursów i złożeniu przepisanych egzaminów.

Plan studyów dwuletnich obejmuje następujące przedmioty w roku szkolnym 1911—12: geografia ekonomiczna ziem polskich, d-r Franciszek Bujak, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; ustroj państwowy Polski za Stanisława Augusta, d-r Stanisław Kutrzeba, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; rozwój gospodarczy na ziemiach polskich w XIX i XX stuleciu (Część I), d-r Włodzimierz Czerkawski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; rozwój pruskiej polityki ekonomicznej w W. Ks. Poznańskim i Prusach Zachodnich, ks. d-r Kazimierz Zimmermann, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; ustroj państwowy austriacki, d-r Michał Rostworowski, prof. Uniw. Jag.; ustroj państwowy rosyjski, d-r Bohdan Winiarski, prof. Uniw. Jag.; ustroj administracyjny austriacki, d-r Władysław Wróblewski, docent Uniw. Jag.; ustroj administracyjny niemiecki i pruski, d-r Konrad Kolszewski, adwokat w Poznaniu; szkolnictwo ludowe i średnie, d-r Tadeusz Łopuszański, inspektor szkolny okręgowy; prawo emigracyjne, d-r Leopold Caro, adwokat krajowy; administracja górnictwa, p. Józef Bocheński, starszy radca górniczy; główne zadania polityki ekonomicznej ze szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich, d-r Włodzimierz Czerkawski, prof. Uniw. Jag.; polityka społeczna (Część I), d-r Włodzimierz Czerkawski, prof. Uniw. Jag.; polityka ludnościowa i administracyjna osobowa, d-r Kazimierz Władysław Kumaniecki, naczelnik miejskiego Biura statystycznego; polityka agrarna, d-r Adam Krzyżanowski, docent Uniw. Jag.; zasady skarbowości austriackiej, d-r Władysław Patkiewicz, radca skarbu; statystyka ziem polskich (Część I, Ludność), d-r Włodzimierz Czerkawski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH rozwijał się w roku ubiegłym pomyślnie.

Przedewszystkiem wymienić należy wykaz nowych nabytków pierwszorzędnej wartości. W roku ubiegłym ukończono w zupełności katalogowanie biblioteki, подарowanej przez Nargielewiczów z Wojnowa na Litwie. Ze źródła tego przybyło zakładowi 3,684 dzieła w 8,790 tomach. Skatalogowano dary: Doroty Straszewskiej z Florencyi (615 dzieł w 791 tomach) i Adolfa Wiesiołowskiego z Prelipsza na Bukowinie (698 dzieł w 879 tomach). Do najdonioślejszych faktów w roku zeszłym zaliczyć należy objęcie przez zakład archiwum książąt Sapiehów z Krasiczyna. Poza tem między rękopisami znalazły się godne uwagi listy Teofila Lenartowicza i Narcyzy Żmichowskiej, darowane przez Izabelę Zbiegniewską z Włocławka. W muzeum im. Lubo-

mirskich uporządkowano w dalszym ciągu przeszło 2,000 sztychów i rysunków. Biblioteka muzealna powiększyła się o 107 dzieł, dochodząc do liczby 1,000 dzieł, w tem wiele rzadkich wydawnictw.

Zbiory biblioteczne i muzealne przedstawiają się nadzwyczaj bogato. Inwentarz dzieł drukowanych (unikatów) doszedł do liczby 131,200 (+ 2,200, niż w roku 1909), inwentarz dubletów 3,031 (+ 775), dzieł z „Czytelni młodzieży“ 652, atlasów i map 2,226, rękopisów 4,809, autografów 5,278, dyplomatów 1,667, obrazów i rycin 29,003, rzeźb 451, inwentarz zbrojowni przeworskiej 724, zbioru archeologicznego i historycznego 2,601, biblioteki muzealnej 1077, monet 17,110, w tem monet polskich 5,448, medali 4,356, w tem polskich 1,329, polskich banknotów 90. Biblioteka zgromadziła również komplety 288 czasopism, przeważnie polskich.

Zwiększa się również frekwencya publiczności, pracującej naukowo w pracowni naukowej. Pracownia naukowa otwarta była w 1910 roku przez 264 dni i służyła 13,547 osobom, na których użytek wydano 42,685 dzieł w 60,302 tomach, 2,251 rękopisów, 539 autografów i 12 dyplomatów. W porównaniu z r. 1909 okazuje się wzrost osób pracujących o 748. Do domu, nie licząc urzędników zakładu, otrzymało 487 osób 2,623 dzieła w 4,069 tomach. Największa frekwencya w pracowni naukowej była w miesiącach zimowych. „Czytelnia dla młodzieży“ otwarta była przez 220 dni; korzystało z niej 6,306 osób.

Muzeum zwiedziło w tym czasie 7,230 osób, a 881 podejmowało w niem naukowe studia. W porównaniu z rokiem 1909 liczba osób zwiedzających wzrosła o 1,081, liczba studujących o 307.

Co się tyczy stosunków zewnętrznych — zakład utrzymywał jaknajszersze związki z instytucjami naukowymi polskimi i zagranicznymi, z uczonymi i z dyrekcjami szkół wyższych, ułatwiając im korzystanie ze zbiorów, lub służąc pomocą w przedsięwziętych pracach naukowych. Jednocześnie dla pracujących w zakładzie sprowadzano rękopisy i książki z instytucji polskich i zagranicznych.

Oprócz gmachu bibliotecznego z ogrodem, wsi Rakowca z przynależnymi lasami, drukarni własnej, zbiorów bibliotecznych i muzealnych, tudzież stałego zasiłku od kuratorji ekonomicznej w corocznej kwocie 12,600 koron, stanowiły majątek zakładu kapitały w papierach wartościowych z funduszu Brodzkiego, Chołoniewskiego, Kłodzińskiego, Kopystyńskiego, Małeckiego (niedawny zapis w kwocie 60,000 koron), fundusz Przeworski, Rakowieckiego, Sanguszkowej, Sanguszki, Skrzyńskiego, Stadnickiego i fundusz zapasowy, w łącznej kwocie 949,239 koron.

W bieżących dochodach zwyczajnych i nadzwyczajnych miał zakład w roku sprawozdawczym 241,271 koron, w tem 25,000 koron, jako ratę stałą, i 150,000 kor., jako dochód nadzwyczajny z opłaty od wydawnictwa książek szkolnych. Między wydatkami, które doszły do sumy 227,500 kor., pozycyca na zakupno książek i rękopisów stanowi 6,564 kor., na prenumeratę czasopism 2,221 kor., na oprawę książek 3,958 kor., naprawy i ulepszenia w gmachu zakładowym 3,486 kor., podatki od gmachu 3,422 kor., koszty administracyjne 1,035 kor., płace urzędników i służących 37,304 kor. Jak widać stąd,

uposażenie finansowe jest stosunkowo bardzo szczupłe i nie pozwala zakładowi tak się rozwijać, jak to leży w jego intencjach i jak wymagałoby tego dobro pracujących tam naukowo.

NOWE KSIĄŻKI.

— WYDANIE JUBILEUSZOWE KRASIŃSKIEGO.

Przypadająca na rok 1912 setna rocznica urodzin Zygmunta Krasińskiego zostanie uczczona nowem wyczerpującem wydaniem jego pism, do których wejdzie cała spuścizna literacka poety, przechowywana w zbiorach rodzinnych, oraz przyczynki, nadesłane przez różne osoby wskutek ogłoszonej w swoim czasie odezwy. Jubileuszowe wydanie mieścić się będzie w ośmiu tomach i prawdopodobnie ukaże się już w jesieni bieżącego roku. Zawierać będzie bardzo wiele nieznanych pism Krasińskiego, oraz wiele utworów, znanych dotychczas jedynie w fragmentach. Tak więc ukażą się po raz pierwszy w druku wszystkie utwory młodzieńcze poety, które zajmą tom pierwszy. Wymienić tu należy najpierwszy, nieznaną dotychczas, utwór dwunastoletniego chłopca p. t. „Rozmowa roku 1824 z 1825,“ oraz nieznaną również, o dwa lata późniejszy (1826) płomienny utwór: „Polska.“ Tom II obejmie powieści historyczne, następne dwa tomy—dzieła najbardziej znane, jak „Nieboska komedia,“ „Irydyon“ i t. d. W tomie V znajdują się utwory drobne, w postaci częstokroć dokompletowanej z nieogłoszonych rękopisów. Całkowicie nieznaną materjał zawierać będzie tom VI. Są to dzieła treści politycznej, wśród których wielkie znaczenie zarówno pod względem literackim jak i historycznym posiadają relacje z posłuchanń poety u Napoleona III. Ostatnie wreszcie tomy obejmą utwory francuskie, w większej części nieznaną, datujące się przeważnie z czasów genewskich, i łączące się niekiedy z nazwiskiem serdecznego przyjaciela poety z tego okresu—Reeve'a. Wszystkie teksty francuskie zaopatrzone będą w przekłady polskie; tłumaczenia pism politycznych dokonać ma Stanisław hr. Tarnowski. Na zakończenie, z utworów dotychczas nieznanych podnieść należy: datującą się z r. 1831 powieść p. t. „Panie Kochanku,“ oraz z r. 1837: „Herbert.“ Z r. 1846 pozostał dramat, osnuty na tle wypadków z tego roku, nie dokończony, lecz dość daleko posunięty. Po raz pierwszy również wyjdzie drukiem druga część rozprawy „O Trójcy św.“

Wydawnictwo powierzone zostało prof. Janowi Czubkowi, członkowi Akademii Umiejętności, znanemu zaszczytnie z licznych prac i wydawnictw naukowych w zakresie historii i literatury.

— NOWE WYDANIE SZEKSPIRA. Firma Gebethnera i Wolffa przystępuje do nowego wydania dzieł Szekspira. Życiorys nieśmiertelnego poety oraz wstępy do poszczególnych jego utworów opracowuje prof. dr Roman Dybowski, profesor literatury angielskiej na uniwersytecie Jagiellońskim, znakomity znawca Szekspira i pisarz, obdarzony wytwornym smakiem literackim. Wyboru przekładów dokonał Stanisław Krzemiński. Więc obok dawnych najlep-

szych przekładów Korzeniowskiego, Koźmiana, Ostrowskiego, Pajgerta, Paszkowskiego i Ulricha znajdują się i najnowsze, tyle przez krytykę cenione przekłady Kasprowicza i Porębowicza. Tak wykonane nowe wydanie dzieł genialnego poety angielskiego zapełni wielką lukę w literaturze. Wszystkie dawne wydania Szekspira są wyczerpane; każdy zatem, kto chce się dziś zapoznać z jego dziełami, natrafia na nieprzezwyciężone trudności. To nowe wydanie czyni tedy zadość palącej potrzebie i napewno liczyć może na powodzenie. Całość obejmie dwanaście tomów, a tom pierwszy ukaże się w jesieni roku bieżącego.

— PRZEKŁADY SIENKIEWICZA. W Paryżu ukazały się dwa nowe przekłady „Quo vadis.“ Pierwszy przekład, wkrótce po ukazaniu się utworu w języku polskim dokonany, wyszedł z pod pióra p.p. Kozakiewicza i Janasza. Jednego z przekładów nowych dokonał p. J. Ferenczy, a książka wyszła w szeregu wydawnictw popularnych: „Le roman succès,“ nakładem paryskiej firmy księgarskiej Albin Michel. Książka wydana jest bardzo starannie, ozdobiona 100 blisko ilustracjami Jana Styki, a kosztuje tylko 95 cent. Drugi nowy przekład „Quo vadis,“ dokonany przez p. de Roncey'a, wyszedł nakładem firmy Garnier frères. Wydanie jest również bardzo staranne, zaopatrzone w rysunki Tofani'ego; książka zawiera 730 stronik zwykłej ósemki i kosztuje 3 fran. 50 cent.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa, 1911. Sierpień. Treść: Stan dotychczasowej pracy nad historią literatury polskiej wobec zadań jej naukowych i społecznych (dok.);— Krytyka: Arcydzieła malarskie w reprodukcjach barwnych;—Arnsztajnowa F.: Poezye. Serya druga;—Ćwik Władysław, d-r: Pierwsza redakcyja „Wallenroda“;—Doleżan Wiktor: Wychowanie młodzieży;—Gianini Fortunato i Moscheni Carlo: Praktyczna metoda języka włoskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela;—Grzymała-Siedlecki Adam: Galerya moich bliźnich;—Hulewicz Jerzy: Dyalogi estetyczne;—Jankowski Stefan: Uprawa ziemniaków;—Kaliniowski Wacław, ks. d-r: Pragnienie powrotu;—Konopnicka Marya: Jak się dzieci w Bronowie bawiły?;—Kurnatowski Jerzy: Robotnicze związki zawodowe—praktyka i teoria;—Lagerlöf Selma: Cudowna podróż;—Łukasiewicz Jan: O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa;—Mochacki Maurycy: O literaturze polskiej w wieku XIX;—Otfinowski Wojciech: Znaczenie buraka cukrowego w rolnictwie;—Pelczar Józef, d-r biskup: Jezus Chrystus wzorem i mistrzem kapłana;—Prażmowska Teresa (Wołowska): Z domów niewoli. Pokłon ziemi;—Raubal August, adw. prz.: Drożyzna mieszkaniowa, jej przyczyny, następstwa i środki zaradcze za granicą i u nas;—Skarżyński Bolesław, ks.: Mały katechizm rzymsko-katolicki dla przygotowania dzieci do pierwszej spo-

wiedzi i prywatnej Komunii św.; — Takież dla przygotowania do spowiedzi i uroczystej Komunii św.; — Słoński Edward: Z pod szronu; — Smolarski Mieczysław: Pieśni i śpiewy rycerskie; — Szydelski, d-r ks.: Arcybiskup Sierakowski i szkoły parafialne w archidiecezyi lwowskiej; — Twardowski Kazimierz, prof. d-r: O metodzie psychologii; — Weychert-Szymanowska Wł.: Książeczka dla tych, co chcą dobrze mówić, czytać i pisać po polsku; — Zubrzycki J. S., d-r: Styl nadwiślański; — Pod prasą; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄZKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BOLESŁAWITA B.: Tułacze. Opowiadanie Historyczne. Tom szósty. Warszawa, 1911. „Biesiada Literacka.“

BUKOWIECKI STANISŁAW: O urządzeniu hipotek dla drobnej własności i o zabezpieczeniu hipotecznem należności Spółek pieniężnych. Staraniem Banku Towarzystw Współdzielczych. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

CIESZKOWSKI AUGUST: Ojciec Nasz. Streścił i przedmową zaopatrzył Adam Karpowicz. Wilno, 1911. Odbito w drukarni „Znicz.“

GRABIEC J.: Współczesna Polska w cyfrach i faktach. „Życie,“ wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych, tom XX. Kraków, b. r. (1911).

JANKOWSKI WŁADYSŁAW: „Dziady“ wileńsko-kowieńskie. (Oditka ze sprawozdania c. k. szkoły realnej w Śniatynie z r. 1910/11). Śniatyn, 1911.

KUCHARZEWSKI JAN: Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi, oraz na emigracji. Zarys bibliograficzno-historyczny. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

LIMANOWSKI BOLESŁAW: Szermierze wolności: Emilia Platerówna, Jan Olrych Szaniecki, Józef Zaliwski, Karol Bogumił Stolzman, Wiktor Heltman, Wojciech Darasz, Ludwik Mierosławski, Walery Wróblewski. Kraków, 1911. Spółka nakładowa „Książka.“

PISARZE DZIEJÓW POLSKICH. Tom XXI zawiera: Dyaryusze i akta sejmowe z roku 1591 — 1592. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Wydawnictwo Komisji Hist. Akademii Umiejętn. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej polskiej.

POSTNY OBIAD ABO ZABAWECZKA, wymyślona przez P. H. P. W. Wydał Józef Rostafiński. Wydawnictwo i nakład Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków, 1911. Skład główny w księgarni Spółki wydawn. polskiej.

ROZPRAWY Akademii Umiejętności. Wydział Filologiczny. Serya III. Tom II. Ogólnego zbioru tom czterdziesty ósmy. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawn. polskiej.

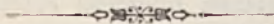
SŁOWNIK GWAR POLSKICH. Ułożył Jan Karłowicz. Tom szósty do druku przygotował J. Łoś. U—Ż. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

SZADLEROWSKI A., ks.: Rzym. Mozaika, jako chrześcijańska sztuka bazylikowa (IV w.—IX w.). Warszawa, 1911. „Biblioteka dzieł chrześcijańskich.“

TOŁSTOJ HR. LEW: Wojna i Pokój. Rok 1812. Romans historyczny. Część IV, V, VI, VII i VIII. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

WALEWSKA MARYA-JEHANNE (HR. WIELOPOLSKA): „Pani El.“ Cykl nowoczesny. Wstęp Andrzeja Niemojewskiego. Wydanie drugie. Kraków, r. b. (1911). Spółka nakładowa „Książka.“

WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcją: Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Henryka Gallego, Gabryela Korbuta, Stanisława Krzemińskiego. Tom VI. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

z roku 1911.

H I S T O R Y A.

	Str.
SĄSIEDZTWO HISTORYCZNE UKRAINY KOZACKIEJ, — przez <i>Fr. Rawitę-Gawrońskiego</i>	74
NOWOSILCOW A ŻYDZI,—przez <i>Dawida Kandla</i>	141
KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO	209 i 409
HETMAN JAN TARNOWSKI,—przez <i>d-ra Władysława Bogatyńskiego</i>	323
WARSZAWSKIE LICEUM KRÓLEWSKIE,—przez <i>Władysława Skupia</i>	489

HISTORIA LITERATURY.

SIELANKI KARPİŃSKIEGO,—przez <i>Witolda Zosta</i>	17
SONETY MIŁOSNE A. MICKIEWICZA A PANI KOWALSKA, — przez <i>prof. d-ra A. Pogodina</i>	156
KRASICKI A LA FONTAINE,—przez <i>W. Folkierskiego</i>	257

L I T E R A T U R A.

OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1
PSALTERZ DZIECKA,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	131
BĄDŹ MI ANIOŁEM,—przez <i>Zygmunta Krasińskiego</i>	241
W IMIONNIKU,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	344
NA OBCZYŻNIE,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	441

SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	Str.
HENRYK DE RÉGNIER,—przez <i>J. Szarotę</i>	95
W SPRAWIE FILOZOFII SZTUKI,—przez <i>Michała Sobieskiego</i>	120
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	345
SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	465
DRAMAT MUZYCZNY RYSZARDA STRAUSSA,—przez <i>Józefa Władysława Reissa</i>	563

SZKICE EKONOMICZNE I SPOŁECZNE.

STOPIEŃ WŁADANIA ZIEMIĄ A STOSUNKI LUDNOŚCIOWE W ZABORZE PRUSKIM,—przez <i>Józefa Frejlicha</i>	160
ZASADNICZE ZAGADNIENIA POLITYKI WYCHODŹCZEJ,—przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i>	243
ZE STOSUNKÓW POLSKO-RUSKICH W GALICYI WSCHODNIEJ,—przez <i>H. Wiercieńskiego i Leona Wasilewskiego</i>	448

SZKICE PODRÓŻNICZE.

WŚRÓD MOCZARÓW I JEZIOR FLORYDY,—przez <i>Witolda Szyszłę</i>	529
---	-----

R O Z M A I T O Ś C I.

UZBROJENIE PANCERNIKÓW DZISIEJSZYCH,—przez <i>St. B.</i>	168
--	-----

K R Y T Y K A.

ST. TARNOWSKI: „Julian Klaczko“ I i II,—przez <i>Miecz. Rollinger</i> a	173
BOLESŁAW LIMANOWSKI: „Sermierze wolności,—przez <i>St. Szpotkańskiego</i>	182
BRAWER A. J. DR.: „Galizien wie es an Oesterreich kam,—przez <i>I. B.</i>	184
ADAM SKAŁKOWSKI: „En marge de la correspondance de Napoléon I,—przez <i>H. M.</i>	186
MAURZYCY BOURGUIN: „Systemy socjalistyczne a rozwój ekonomiczny,—przez <i>Wacława Dunina</i>	374
EMIL KIPA: „Fryderyk Gentz a Polska 1794—1831,—przez <i>H. M.</i>	379
FR. RAWITA-GAWROŃSKI: „Henryka Pustowójtówna,—przez <i>H. M.</i>	382
„Monumenta Reformationis Polonicae et Lithuanicae.—przez <i>d-ra I. Baranowskiego</i>	384
SZELAŃGOWSKI ADAM: „Kwestya ruska w świetle historyi,—przez <i>I. B.</i>	386
KONOPCZYŃSKI WŁ.: „Dyaryusz Sejmu 1748,—przez <i>I. B.</i>	388
KUTRZĘBA STANISŁAW: „Unia Polski z Litwą,—przez <i>I. B.</i>	390

	Str.
BRONISŁAW CHLEBOWSKI: „Warszawa za Książąt Mazowieckich,—przez <i>J. Siemińskiego</i>	391
KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER: „Gra fal,—przez <i>Henryka Gallego</i> . . .	577
LUBAWSKIJ M. K. prof.: „Oczerk istorii Litowsko-russkawo Gosudarstwa,— przez <i>Ig. B.</i>	579
MACISZEWSKI MAURZYCY d-r: „Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Pol- skiej,—przez <i>I. B.</i>	581
OTTONÓWNA: „Z Bożej łaski,—przez <i>A. Drogoszewskiego</i>	583

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

Bilans sesyi Izb.—Referat komisji w sprawie chełmskiej.—Interpela- cya Koła w sprawie nauczania wspólnego. — Wyższa uczelnia rolnicza w Warszawie i jej znaczenie.—Prawa języka polskiego w sądach, w procedurze, w sprawach włościańskich i gminnych.—Zjednoczenie opinii polskiej na Litwie.—Oplakane wybory w Galicyi	189
---	-----

SIERPIEŃ:

Sprawa szkolna.—Z niedawnych dziejów strejku i bojkotu.—Gorszą- ce zajście.—Cztery popisy kulturalne.—Wystawa Starej Warszawy.—Wystawy rolnicze w Radzyminie i w Mła- wie.—Dorobek chwil wolnych kolejarzy.—Polska szko- ła nauk politycznych w Krakowie.—Jubileusz zasłużo- nej autorki	394
---	-----

WRZESIEŃ:

W imię interesów drobnej własności rolnej.—Nowe prawo o koma- sacyi.—Interpretacyjna instrukcya i jej krytyka.—Kre- dyt dla własności drobnej za pośrednictwem Banku włościańskiego.—Projekt kredytu melioracyjnego dla gospodarstw drobnych.—Ziemstwa na Litwie i Rusi.— Epilog sprawy Rapperswyłu.—Drożyzna współczesna, jako zagadnienie społeczne	586
---	-----

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Józef Kościelski i ś. p. Edmund Bogdanowicz,—przez <i>L. W.</i>	602
---	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC	204
SIERPIEŃ	404
WRZESIEŃ	606

„Dzieje Porozbiorowe

Litwy i Rusi“

w opracowaniu

Henryka Mościckiego

wychodzą zeszytami in 8-o po 2 arkusze druku z licznymi ilustracjami.

Cena zeszytu kop. 35, z przesyłką 40 kop.

Zamówienia wraz z opłatą na 24 zeszyty, 12 zeszytów, 6 zeszytów przyjmują:

Administracya wydawnictwa w Wilnie, Plac Katedralny № 4, Księgarnia Gebethnera w Warszawie, której powierzyliśmy skład główny na Królestwo Polskie, Galicyę i Księstwo Poznańskie, oraz wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą.

Celem unormowania nakładu wydawnictwa „Dziejów Porozbiorowych Litwy i Rusi“ uprzejmie prosimy o wczesne zapisy.

Szczegółowy prospekt na żądanie wysyła się bezpłatnie.

„BIBLIOTEKA WARSZAWSKA“

PISMO MIESIĘCZNE.

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,

rozpoczyna z rokiem 1911-ym

siedemdziesiąty pierwszy rok swojej działalności naukowo-literackiej
i wychodzi

w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.—
Przegląd literatury beletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne,** oceny dzieł sztuki.
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym.
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości naukowe i bibliograficzne.**

WARUNKI PRENUMERATY.

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rb. 10 kop. —
Półrocznie	„ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie	rb. 9 kop. —
Półrocznie	„ 4 „ 50
Kwartalnie	„ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Administracji „Biblioteki Warszawskiej,“ ulica Krakowskie Przedmieście Nr. 5,** gdyż to zapewnią najlepiej akuratańską ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Oplata za ogłoszenia w „BIBLIOTECE WARSZAWSKIEJ“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“ rubli 5. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicy, rubli 3. i za ogłoszenie, zapelniające 1/4 formatu, rubli 2.